

Aby rozpocząć lekturę,
kliknij na taki przycisk ,
który da ci pełny dostęp do spisu treści książki.

Jeśli chcesz połączyć się z Portem Wydawniczym
LITERATURA.NET.PL
kliknij na logo poniżej.



Honorius Balzac

Cierpienia wynalazcy

Stracone złudzenia

przełożył Tadeusz Żeleński – Boy

Tytuł oryginału „Les souffrances de l'inventeur”

Tower Press 2000

Copyright by Tower Press, Gdańsk 2000

Nazajutrz Lucjan zawizował paszport, kupił tęgi leszczynowy kij i wziął na ulicy d'Enfer biedkę, która za dziesięć su dowiozła go do Lonjumeau. Po pierwszym etapie podróży przemocował w jakiejś stajni, o dwie mile od Arpajon. Kiedy dobił do Orleanu, czuł się potężnie zmęczony i zbity; za trzy franki przewoźnik dowiózł go do Tours; na życie w drodze wydał tylko dwa franki. Z Tours do Poitiers Lucjan szedł pięć dni. Kawał za Poitiers posiadał już tylko pięć franków, ale zebrał resztę sił, aby wędrować dalej. Jednego dnia Lucjan, zaskoczony przez noc na równinie, postanowił tam rozbić obóz, kiedy ujrzał w parowie karocę ciągnącą się na wzgórze. Niespostrzeżony przez pocztylioną, podróżnych i lokaja na koźle, zdołał się wcisnąć z tyłu między dwa tłumoki i usnął ułożywszy się tak, aby uniknąć wstrząśnień. Rano, obudzony słońcem, które świeciło mu w oczy, i gwarem, poznał Mansle, ową miłośnicę, gdzie półtora roku temu spieszył oczekiwać na panią de Bargeton z sercem pełnym miłości, nadziei i radości. Znalazłszy się, okryty kurzem, w kręgu ciekawych i pocztylionów, zrozumiał, iż czeka go przeprawa; zerwał się na nogi, miał się odezwać, kiedy widok pary podróżnych, którzy w tej chwili wysiedli z karocy, odjął mu mowę: ujrzał świeżego prefekta Charenty, hrabiego Sykstusa du Châtelet, i żonę jego, Luizę de Nègrepelisse.

– Gdybyśmy byli wiedzieli, jakiego towarzysza zesłał nam przypadek! – rzekła hrabina. – Niechże pan będzie łaskaw się z nami.

Lucjan skłonił się zimno tej parze, rzucając jej pokorne zarazem i brzemiennie groźbą spojrzeń, i rzucił się w boczną drogę ku Mansle, chcąc dobić do zagrody, gdzie by mógł dostać nieco chleba i mleka, odpocząć, i w ciszy podumać nad przeszłością. Miał jeszcze trzy franki. Autor „Stokroci”, gnany gorączką, biegł długo bez odpoczynku; pędził równo z biegiem rzeczki, rozpatrując się w okolicy, która stawała się coraz bardziej malownicza. Około południa dotarł do miejsca, gdzie struga, otoczona wierzbami, tworzyła małe jezioro. Zatrzymał się, aby nasycić wzrok świeżą i bujną zielonością gajku, którego sielski urok oddziaływał na jego duszę. Jakiś domek, przylegający do młyna nad odnogą rzeczki, widniał między wierzchołkami drzew słomianą strzechą, strojną rozchodnikiem. Prosty ten budynek miał za jedyną ozdobę kilka krzewów jaśminu, przewiercienia i chmielu, dokoła zaś kwiaty floksu i wspaniałe jarzyny. Na kamiennej grobli, podpartej grubymi palami, która chroniła gościniec od wylewów, ujrzał sieci suszące się na słońcu. Kaczki pływały po przezroczej sadzawce za młynem, między dwoma strumieniami wody szumiącej w stawidłach. Słychać było drażniący swą monotonią turkot młyna. Na prostej ławie poeta ujrzał pocziwą, zażywną gosposię robiącą na drutach i czuwającą nad dzieckiem, które znęcało się nad kurami.

– Moja dobra kobieto – rzekł Lucjan podchodząc – jestem bardzo zmęczony, mam gorączkę, a posiadam tylko trzy franki; czy chcecie żywić mnie czarnym chlebem i mlekiem i dać mi legowisko na słomie przez tydzień? Będę miał czas napisać tymczasem do krewnych, którzy przyślą mi pieniędzy albo przyjadą po mnie tutaj.

– Chętnie – odparła – oczywiście, jeżeli mąż się zgodzi. Hej tam, stary, a chodź no!

Młynarz wyszedł, spojrzął na Lucjana i wyjął fajkę z ust, mówiąc:

– Trzy franki, tydzień? To już lepiej nic nie weźmiemy od pana.

„Kto wie, czy nie przystanę na parobka do młyna” – rzekł sobie poeta spoglądając na ten rozkoszny pejzaż, nim ułożył się w łóżku przygotowanym przez młynarkę, gdzie zasnął w sposób, który przeraził gospodarzy.

– Pietrze, idź no zobaczyć, czy ten młody pan nie umarł; już czternaście godzin, jak się położył, ja nie śmiem tam wejść – rzekła młynarka nazajutrz koło południa.

– Ja myślę – odparł młynarz kończąc rozciągać sieci i rozkładać inny sprzęt rybacki – że ten ładny chłopczyk to może jaki kompan od komediantów; ot golec.

– Z czegoż to myślisz, stary? – rzekła młynarka.

– Ano, przecież nie jest żaden książe, ani minister, ani deputat, ani biskup; czemuż ma ręce takie białe jak człowiek, co nic nie robi?

– Dziwno mi w takim razie, że głód go nie obudzi – rzekła młynarka, która właśnie przygotowała śniadanie dla gościa, zesłanego w wilię przypadkiem do domu. – Komediant? – powtórzyła. – Gdzież by szedł? Toć jeszcze nie pora na jarmark w Angoulême.

Ani młynarz, ani młynarka nie mogli podejrzewać, iż poza komediantem, księciem i biskupem istnieje człowiek, zarazem książe i komediant, człowiek obleczonego wspaniałym kapłaństwem, Poeta, który na pozór nic nie robi, a mimo to króluje nad ludzkością, kiedy ją umie odmalować. – Któż by to mógł być? – rzekł Piotr do żony.

– Może to niebezpiecznie go trzymać? – spytała gosposia.

– Ba, złodzieje mają szybsze ręce, już byłby nas oporządził – odparł młynarz.

– Nie jestem ani księciem, ani złodziejem, ani biskupem, ani komediantem – rzekł smutnie Lucjan, który ukazał się w tej chwili, a który musiał słyszeć przez okno rozmowę chłopków. – Jestem biedakiem opadłym z sił, który przybył tu z Paryża piechotą. Nazywam się Lucjan de Rubempré, a jestem synem pana Chardon, poprzednika pana Postel, aptekarza z Houmeau. Siostra moja wyszła za Dawida Séchard, drukarza z placu du Mûrier w Angoulême.

– Czekajże pan! – rzekł młynarz. – Czy ten drukarz to nie jest syn starego wygi, tego, co to ma folwarczek w Marsac?

– Właśnie – odparł Lucjan.

– Ładny ojczulek, dalibóg – rzekł młynarz. – Toć on, powiadają, każe licytować syna do ostatniego stołka, a sam ma gruntu za przeszło dwieście tysięcy franków, nie licząc tego, co trzyma w pończosze.

Kiedy dusza i ciało zużyły się w długiej i bolesnej walce, godzina, w której siły się wyczerpały, sprowadza za sobą albo śmierć, albo unicestwienie podobne do śmierci, ale w którym zdolna do oporu natura odzyskuje wówczas siły. Lucjan, będący pastwą takiego przesilenia, zdawał się bliski omdlenia w chwili, gdy się dowiedział, mimo iż tak mglisto, o katastrofie spadłej na Dawida Séchard, swego szwagra.

– Och, sestro! – wykrzyknął. – Co ja uczyniłem, mój Boże? Jestem nędznikiem.

Następnie osunął się na drewnianą ławę, blady i osłabły, jak gdyby miał umierać; młynarka skwapliwie przysunęła mu kubek mleka, zmuszając go, by wypił; ale Lucjan poprosił młynarza, aby mu pomógł położyć się na łóżko, przepraszając za kłopot, jaki uczyni w domu swą śmiercią, mniemał bowiem, iż nadeszła ostatnia godzina. Widząc przed oczyma widmo śmierci, ów pełen wdzięku poeta uczuł w sercu przypływ religijnych uczuć: chciał mówić z księdzem, wyspowiadać się i przyjąć sakramenty. Skargi te, wyjęczone słabym głosem przez chłopca o tak pięknej twarzy i zręcznej postaci, wzruszyły panią Piotrową.

– Słuchaj no, stary, siadaj na koń i jedź poprosić pana Marron, lekarza z Marsac; zobaczy, co jest temu młodemu paniczowi, który nie wydaje mi się w tęgiej skórce; sprowadzisz także proboszcza. Może będą wiedzieli lepiej niż ty, jak stoi sprawa z tym drukarzem: toć Postel jest zięciem pana Marron.

Po odjeździe męża młynarka, przekonana, jak wszyscy ludzie wiejscy, że choroba wymaga odżywiania, nakarmiła Lucjana; nie wzbraniał się, pogrążony w gwałtownych wyrzutach, które wyrwały go z prostracji przez wstrząs, wywołany tego rodzaju *topicum*¹ moralnym.

Młyn znajdował się o milę od Marsac, stolicy powiatu, położonej w pół drogi między Mansle a Angoulême, toteż zacny młynarz przywiózł niebawem lekarza i proboszcza. Osobistości te słyszały o stosunkach Lucjana z panią de Bargeton. Ponieważ w tej chwili cały departament Charenty rozprawiał o małżeństwie tej damy i o jej powrocie do Angoulême z nowym prefektem, hrabią Sykstusem du Châtelet, lekarz i proboszcz, dowiadując się, że Lucjan jest u młynarza, uczuli gwałtowną chętkę spenetrowania przyczyn, jakie wstrzymały wdowę po panu de Bargeton od poślubienia młodego poety, z którym swego czasu uciekła; chcieli również dowiedzieć się, czy przybył do rodzinnego miasta, aby wspomóc szwagra Dawida Séchard. Ciekawość, ludzkość, wszystko jednoczyło się tedy, aby sprowadzić rychłą pomoc umierającemu poecie. Toteż w dwie godziny po wyjeździe młynarza Lucjan usłyszał na kamienistym dojeździe do młyna szcęk żelaziwa, jaki wydawała bryczuszka wiejskiego lekarza. Obaj Marronowie ukazali się równocześnie, lekarz bowiem był bratankiem proboszcza. Lucjan ujrzał tedy w tej chwili osoby związane blisko z ojcem Dawida Séchard, jak bywa w małym miasteczku, gdzie wszyscy hodują wino. Skoro lekarz przyjrzał się umierającemu, zmacał puls i obejrzał język, popatrzył na młynarkę uśmiechając się w sposób rozpraszający wszystkie obawy.

– Pani Courtois – rzekł – nie wątpię, że pani musi mieć w piwnicy jaką dobrą butelkę wina, w sadzawce zaś ładnego węgorka. Niechże je pani poda choremu, któremu nic nie dolega poza troszką przemęczenia. Po tym lekarstwie nasz wielki człowiek stanie niebawem na nogi.

– Ach, panie – rzekł Lucjan – moja choroba jest nie w ciele, ale w duszy! Ci zacni ludzie powiedzieli mi coś, co mnie zabiło, oznajmiając nieszczęście, jakie spadło na dom mojej siostry, Dawidowej Séchard. Na imię Boga, pan, który, jak wspominała pani Courtois, wydałeś córkę za Postela, musisz coś wiedzieć o sprawach Dawida?

– Myślę, że musi być w więzieniu – odparł lekarz – ojciec odmówił mu pomocy...

– W więzieniu! – wykrzyknął Lucjan. – I za co?

– Ano, z przyczyny weksli zaskarżonych w Paryżu, o których widać zapomniał; uchodzi za człowieka, który nie bardzo wie, co robi – odparł pan Marron.

– Zostawcie mnie, proszę, z księdzem proboszczem – rzekł poeta, którego fizjonomia zmieniła się gwałtownie.

Doktor, młynarz i jego żona wyszli. Skoro Lucjan został sam ze starym księdzem, wykrzyknął:

– Zasługuję na śmierć, która się zbliża, czuję to, ojcze; jestem nędznikiem, któremu nie zostaje nic, jak tylko rzucić się w objęcia religii. To ja, ojcze, jestem katem siostry i brata; bo Dawid Séchard jest bratem dla mnie! Podpisałem weksle, których Dawid nie mógł zapłacić... Zrujnowałem go. W straszliwej nędzy, w jakiej się znalazłem, zapomniałem o tej zbrodni. Kroki, do których te weksle dały przyczynę, wstrzymano wskutek interwencji pewnego milionera. Myślałem, że je umorzył; widzę, że stało się inaczej!

I Lucjan opowiedział swe nieszczęścia. Skończywszy ten poemat opowiedziany w gorączce, w istocie godny poety, błagał proboszcza, aby się udał do Angoulême i dowiedział się u Ewy, jego siostry, i u matki, pani Chardon, o prawdziwym stanie rzeczy, dla sprawdzenia, czy można jeszcze coś pomóc.

¹ Tonicum (łac.) – lekarstwo stosowane zewnętrznie, wyłącznie w obrębie schorzenia.

– Aż do twego powrotu, ojciec – rzekł płacząc gorącymi łzami – zdołam żyć. Jeżeli matka, siostra, Dawid nie odtrąca mnie, nie umrę.

Wymowa paryżanina, lży tej straszliwej skruchy, widok bladego i niemal umierającego z rozpaczy pięknego młodzieńca, opowieść niedoli przekraczających siły ludzkie, wszystko to obudziło zainteresowanie i współczucie proboszcza.

– Na prowincji, jak w Paryżu, drogi panie – odparł – trzeba w połowie tylko wierzyć temu, co ludzie gadają; nie przerażaj się więc pogłoską, która tu, o trzy mile od Angoulême, musi być bardzo niedokładna. Stary Séchard, nasz sąsiad, opuścił Marsac kilku dni temu, prawdopodobnie zatem zajmuje się układaniem spraw syna. Spieszę do Angoulême i przybędę oznajmić ci, czy możesz wrócić na łono rodziny, wobec której wyznanie twoje i żal pomogą mi bronić twej sprawy.

Proboszcz nie wiedział, iż od półtora roku Lucjan tyle razy się kajał, że żal jego, mimo całej gwałtowności, nie przedstawiał nic więcej jak tylko scenę doskonale odegraną, i to odegraną z dobrą wiarą! Po proboszczu zjawił się lekarz. Rozpoznając u chorego przesilenie nerwowe, którego niebezpieczeństwo zaczynało mijać, również starał się go pocieszyć; w końcu zdołał wpłynąć na chorego, aby się posilił.

Proboszcz, który znał okolicę i jej obyczaje, podążył do Mansle, gdzie niebawem miał przejeżdżać dylizans z Ruffec do Angoulême; znalazł w nim miejsce. Stary ksiądz umyślił zasięgnąć języka o Dawidzie Séchard u wnuka swego, Postela, aptekarza w Houmeau, niegdyś współzawodnika drukarza wobec pięknej Ewy. Widząc troskliwość, z jaką aptekarzyna wysadził staruszkę z ohydnej landary, pełniącej wówczas służbę między Ruffec a Angoulême, najmniej przenikliwy widz byłby odgadł, iż oboje państwo Postel hipotekują przyszły dobrobyt na sukcesji po księdzu. – Wujaszek już po śniadaniu? Nie zjadłby wujaszek czego? Nie spodziewaliśmy się wujaszka oglądać: cóż za miła niespodzianka...

Nastąpiło tysiąc pytań. Pani Postel zdawała się urodzona na żonę aptekarza z Houmeau. Tego samego wzrostu co mały Postel, miała czerwoną twarz wiejskiej dziewczyny; figurę pospolitą, a cała jej uroda polegała na świeżości. Rude włosy, zarastające nisko na czole, wzięcie i wysłowienie, zestrojone z tępotą wyciśniętą na okrągłej twarzy o żółtych niemal oczach, wszystko to świadczyło, iż poślubiono ją dla nadziei majątkowych. Toteż już po roku rządziła w domu i, zdaje się, zawładnęła zupełnie Postelem, uszczęśliwionym, iż wyszperał tę przyszlą dziedziczkę. Pani Leonia Postel, z domu Marron, karmiła synka, ukochanie starego proboszcza, lekarza i ojca, ohydneho bębna, podobnego do rodziców.

– I cóż, wuju, co zamierzasz robić w Angoulême – rzekła Leonia – skoro nie chcesz nic jeść i żegnasz się z nami zaraz po przybyciu?

Zaledwie zacny duchowny wymienił Ewę i Dawida, Postel zarumienił się, Leonia zaś rzuciła na małego człowieczka owo spojrzenie obowiązkowej zazdrości o przeszłość, zazdrości, której kobieta, nawet będąc zupełną panią męża, nie zaniedbuje nigdy wyrazić, dla zabezpieczenia się na przyszłość.

– Cóż cię obchodzą ci ludzie, wuju, że zaprzątasz się ich sprawami? – rzekła Leonia z widoczną żółcią.

– Są nieszczęśliwi, moje dziecko – odparł proboszcz; po czym odmalował Postelowi stan, w jakim znalazł Lucjana u młynarzy.

– Ho, w takiej skórce wraca z Paryża? – krzyknął Postel. – Biedny chłopak! Miał głowę, mimo wszystko, i ambicję! Myślał, że świat zdobędzie, a wraca z niczym. Ale czego on tu szuka? Siostra jest w ostatniej nędzy, wszyscy bowiem ci geniusze, Dawid tak samo jak Lucjan, to nie mają żadnego pojęcia o handlu. Sprawa jego była w trybunale; jako sędzia, musiałem podpisać wyrok... Można pojąć, jak mi to było przykro! Nie wiem, czy w obecnych okolicznościach Lucjan będzie mógł pokazać się siostrze; w każdym razie pokoi, który zajmował tutaj, jest wolny, ofiaruję mu go chętnie.

– Dobrze, Postel – rzekł ksiądz wkładając na głowę swój pierożek i gotując się opuścić sklep, uściskawszy dziecko, które spało w ramionach Leonii.

– Zostaniesz pewnie u nas na obiedzie, wuju – rzekła pani Postel – nie uwiniesz się tak szybko, jeżeli zechcesz się tknąć interesów tych ludzi. Mąż odwiezie cię kucykiem.

Para małżeńska spoglądała za szacownym stryjecznym dziadkiem, idącym ku Angoulême.

– Doskonale się trzyma jak na swój wiek – rzekł aptekarz.

Podczas gdy czcigodny kapłan wspina się na zbocze Angoulême, nie bez pożytku będzie wytłumaczyć sieć interesów, której miał dotknąć.

Po wyjeździe Lucjana do Paryża, Dawid Séchard, ten wół równie wytrwały i inteligentny jak ów, którego malarze przydają za towarzysza ewangelicście, chciał zrobić szybką i wielką fortunę, jakiej zapragnął nie tyle dla siebie, ile dla Ewy i dla Lucjana. Pragnienie to sięgało owego wieczora nad brzegiem Charenty, kiedy siedzieli z Ewą na barierze, w dniu, gdy oddała mu serce i rękę. Wprowadzić żonę w sferę wykwintu i dostatku, do której była stworzona, podtrzymać silnym ramieniem ambicję szwagra, oto był program wypisany płomiennymi głoskami przed jego oczyma. Dziennik, polityka, olbrzymi rozwój księgarni, literatury i wiedzy, dążenie do roztrząsania w publicznej dyskusji wszystkich interesów kraju, cały ruch społeczny, który się rozpoczął od czasu umocnienia Restauracji, wszystko to musiało wymagać produkcji papieru niemal dziesięciokrotnej w porównaniu do ilości, na której podstawie sławny Ouvrard na początku rewolucji spekulował kierowany podobnymi motywami. Ale w r. 1821 papiernie były zbyt liczne we Francji, aby można było mieć nadzieję stania się ich wyłącznym posiadaczem, jak to uczynił Ouvrard, który zagarnął największe fabryki, opanowawszy wprzód ich wytwory. Dawid nie miał zresztą śmiałości ani kapitałów, jakich wymagają podobne spekulacje. W tej chwili zaczynały funkcjonować w Anglii maszyny do wyrobienia papieru nieograniczonej długości. Toteż nie było pilniejszego problemu niż dostosować papiernictwo do potrzeb cywilizacji francuskiej, która groziła rozciągnięciem dyskusji na wszystko i oparciem się na nieustającym wypowiedaniu się myśli indywidualnej – prawdziwa klęska, ludy bowiem, które rozprawiają, działają bardzo słabo. I tak, rzecz osobliwa, gdy Lucjan wchodził w kółka olbrzymiej maszyny dziennikarstwa, z niebezpieczeństwem zostawienia w nich strzępów inteligencji i honoru, Dawid Séchard, w zaciszu swej drukarni, ogarniał rozwój periodycznej prasy w jej materialnych następstwach. Chciał doprowadzić środki do harmonii z rezultatem, do którego zmierzał duch epoki. Poglądy jego, każące mu szukać fortuny w fabrykacji taniego papieru, były tak trafne, iż wypadki usprawiedliwiły jego przewidywania. Podczas tych ostatnich piętnastu lat biuro patentów otrzymało więcej niż sto zgłoszeń w zakresie fabrykacji papieru. Bardziej tedy niż kiedykolwiek przekonany o wadze tego odkrycia, dającego niewielki rozgłos, ale olbrzymie zyski, Dawid po wyjeździe szwagra utonął w wyteżającym zajęciu, jakie ten problem nakładał każdemu, kto go chce rozwiązać. Ponieważ urządzenie domu i podróż Lucjana pochłonęły wszystkie zasoby, Dawid znalazł się od razu po ślubie w najgłębszej nędzy. Zachował tysiąc franków na potrzeby drukarni, a na taką sumę opiewał weksel będący w rękach aptekarza. Tak więc dla głębokiego myśliciela problem był podwójny: trzeba było wynaleźć tani papier, i to wynaleźć szybko; trzeba było wreszcie dostosować korzyści odkrycia do potrzeb swego domu i swego warsztatu. Jakimż przydomkiem uczcić mózg zdolny strząsnąć okrutne troski, jakie kryje w sobie i konieczność ukrywania nędzy, i widok rodziny bez chleba, i codzienne wymagania zawodu, tak żmudnego jak zawód drukarza, a równocześnie wciąż przebiegać przestrzenie Nieznanego z żarem i upojeniem uczonego, w pościgu za tajemnicą, która z dnia na dzień umyka się najsubtelniejszym poszukiwaniom? Niestety! Jak się to okaże, wynalazcy muszą znosić inne jeszcze niedole, nie licząc niewdzięczności mas, którym próżniacy i głupcy powiadają o genialnym człowieku: „Był urodzony, aby stać się wynalazcą, nie mógł robić nic innego. Nie więcej należy mu się wdzięczności za jego odkrycie niż innemu za to, że się urodził księciem! Daje upust swoim naturalnym zdatnościom! Znalazł zresztą nagrodę w samej pracy”.

Małżeństwo powoduje w młodej dziewczynie głębokie duchowe i fizyczne zaburzenia. Wychodząc za mąż w mieszczańskich warunkach średniej klasy, musi ona w dodatku nabywać obcych jej dotąd umiejętności i zapoznawać się z interesami, stąd faza, w której, z konieczności, pozostaje bierną obserwatorką. Miłość Dawida opóźniła, nieszczęściem, wychowanie Ewy; nie śmiał jej wyznać stanu rzeczy ani nazajutrz po ślubie, ani w następnych dniach. Mimo rozpaczliwego położenia, w jakim stawiało go skąpstwo ojca, nie mógł się zdobyć na to, aby zmaćcić miodowy miesiąc smutnym wtajemniczeniem Ewy w swoje pracowite rzemiosło i naukami potrzebnymi dla żony przemysłowca. Toteż tysiąc franków, jedyne ich mienie, raczej wsiąkło w gospodarstwo niż w drukarnię. Nieopatrzność Dawida i nieświadomość żony trwały cztery miesiące! Obudzenie było straszliwe. W terminie weksłu Postela dom znalazł się bez grosza; Ewa zaś pamiętała na tyle pochodzenie tego długu, aby dla umorzenia go poświęcić i swoje klejnociki ślubne, i srebro. W sam wieczór spłaty obligu Ewa postanowiła rozmówić się z Dawidem w kwestii interesów, zauważyła bowiem, iż mąż zaniedbuje drukarnię dla problemu, o którym mówił jej niedawno. Od drugiego miesiąca małżeństwa Dawid spędzał większą część godzin w przybudówce w głębi dziedzińca, w pokoiku, który mu służył do topienia rulonów. W trzy miesiące po przybyciu do Angoulême wprowadził on, w miejsce poduszeczek do czernienia czcionek, naczynie opatrzone stolikiem i cylindrem, w którym przyrządza się i nadaje farbę za pomocą rulonów z kleju i melasy. To pierwsze udoskonalenie typografii było tak niezaprzeczone, iż ujrzawszy je, natychmiast bracia Cointet wprowadzili je u siebie. Dawid umocował w tej kuchni drukarskiej piec z basenem miedzianym, pod pozorem oszczędzania węgla przy topieniu rulonów, których zardzewiałe formy stały pod murem i których nie przetopił ani dwa razy. Nie tylko zaopatrzył ten pokój w mocne dębowe drzwi, wewnątrz wybite blachą, ale jeszcze zastąpił brudne szybki szkłem żłobkowanym, tak, aby nikt z zewnątrz nie mógł śledzić jego zatrudnień. Za pierwszym słowem, jakie rzekła Ewa w kwestii przyszłości, Dawid spojrzał niespokojnie na żonę i wstrzymał ją tymi słowy:

– Moje dziecko, rozumiem wszystko, co musi w tobie budzić widok zaniedbanej drukarni i zastój w moich interesach; ale widzisz – ciągnął prowadząc ją do okna ich pokoju i pokazując tajemne schronienie – przyszłość nasza jest tam... Musimy cierpieć jeszcze kilka miesięcy, ale cierpmy mężnie; pozwól mi rozwiązać problem przemysłowy, który znasz, i który położy kres wszystkim utrapieniom,

Dawid był tak dobry, poświęcenie jego budziło taką ufność, iż biedna kobieta, zaprzęgnięta, jak wszystkie kobiety, codziennymi wydatkami, wzięła sobie za zadanie chronić męża od kłopotów gospodarstwa; opuściła tedy ładny biało-niebieski pokój, w którym, gwarząc z matką, zabawiała się ręczną robótką, i przeniosła się do jednej z dwu drewnianych klatek w drukarni, aby studiować handlową stronę rzemiosła. Czy to nie był heroizm ze strony kobiety już brzemiennej? Podczas tych pierwszych miesięcy robotnicy, dotąd niezbędni, odeszli jeden po drugim, opuszczając nieczynną drukarnię Dawida.

Zawaleni robotą bracia Cointet zatrudniali nie tylko robotników miejscowych, znęconych widokami wysokich zarobków, ale ściągali ich z Bordeaux, skąd zwłaszcza przybywali czeladnicy, którzy czuli się na siłach, aby skrócić lata terminu. Rozpatrując się w środkach drukarni, Ewa ujrzała już tylko trzy osoby. Przede wszystkim Cérizet, uczeń, którego Dawid przywiózł sobie z Paryża, jak czynią prawie wszyscy proci. Zazwyczaj, wśród wielkiej liczby robotników, których ma pod sobą, prot przywiązuje się osobliwiej do niektórych; jakoż Dawid zabrał z sobą ucznia do Angoulême, gdzie Cérizet wydoskonalił się jeszcze. Dalej była Maryna, przywiązana do domu jak pies podwórzowy; wreszcie Kolb, Alzatezyk, niegdyś parobek u Didotów. Powołany do wojska, Kolb znalazł się przypadkiem w Angoulême, gdzie Dawid poznał go na jakiejś rewii, w czasie właśnie, gdy służba jego miała się skończyć. Kolb zaszedł odwiedzić Dawida i zadurzył się w grubej Marynie, odkrywając w niej wszelkie zalety, jakich człowiek z jego klasy szuka w kobiecie: tryskające z policzków zdrowie, siłę god-

ną mężczyzny, która pozwalała Marynie podnosić bez trudności kasztę pełną czcionek, tę ślepą uczciwość, którą tak cenią Alzatzycy, poświęcenie dla chlebobawców będące dowodem zacnego charakteru, oszczędność wreszcie, której zawdzięczała sumkę tysiąca franków, bieliznę, suknie i inne drobne sprzęty, iście prowincjonalnej schludności. Maryna, tęga i zażywna, licząca trzydzieści sześć lat, mile polectana atencjami kasjera wysokiego na pięć stóp i siedem cali, dobrze zbudowanego, mocnego jak koń, podsunęła mu oczywiście myśl poświęcenia się drukarstwu. W chwili gdy Alzatzycy otrzymał zwolnienie z armii, Maryna i Dawid wyhodowali zeń już wcale przyzwoitego niedźwiedzia, mimo że nie umiał czytać ani pisać. Składanie robót tak zwanych miastowych nie było w tym kwartale tak obfite, aby Cérizet nie mógł im nastarczyć. Będąc w jednej osobie zecerem, metrapażem i protem, Cérizet wcielał to, co Kant nazywa trojakością zjawiska: składał, poprawiał swój skład, wpisywał zamówienia i wystawiał rachunki; ale najczęściej, niezatrudniony, czytywał romanse w swej klatce w głębi drukarni, czekając zamówienia jakiegoś afisza lub zawiadomień o ślubie. Maryna, wyrobiona przez starego Séchard, przygotowywała papier, wilżyła go, pomagała Kolbowi drukować, rozciągała, przycinała, co jej nie przeszkadzało krzątać się w kuchni i śpieszyć z koszykiem na targ wczesnym rankiem.

Kiedy Ewa poleciła Cérizetowi, aby przedłożył rachunki z pierwszego półrocza, przekonała się, iż dochód wynosił osiemset franków. Wydatek, licząc po trzy franki na Cérizeta i Kolba, którzy pobierali dziennie jeden dwa franki, a drugi franka, dochodził sześciuset franków. Otóż, ponieważ koszt materiału, jakiego wymagały zamówienia, wynosił sto i coś franków, jasne było dla Ewy, iż podczas pierwszych miesięcy małżeństwa Dawid stracił sumę czynszu, procent od kapitału, jaki przedstawiała wartość inwentarza i koncesji, zasługi Maryny, koszt farby drukarskiej i filcu używanego w drukarstwie, a chroniącego czcionki przy zbyt silnym ucisku prasy, i wreszcie zyski, które powinien mieć ze swego rzemiosła. Obznajomwszy się z grubsza ze środkami i rezultatami, Ewa odgadła, jak mało widoków przedstawia ten zakład, ogołocony zachłanną energią braci Cointet, równocześnie fabrykantów papieru, dziennikarzy, uprzywilejowanych drukarzy konsystorza, dostawców miasta i prefektury. Dziennik, który dwa lata przedtem Séchardowie ojciec i syn sprzedali za dwadzieścia dwa tysiące, przynosił obecnie osiemnaście tysięcy rocznie. Ewa zrozumiała wyrachowanie ukryte pod pozorną wspaniałomyślnością braci Cointet, którzy zostawiali drukarni Sécharda dość roboty, aby mogła istnieć, a nie dość, aby im robiła konkurencję. Ujawszy ster interesów, zaczęła od sporządzenia dokładnego inwentarza. Puściła w ruch Kolba, Marynę i Cérizeta, aby uporządkować pracownię, odczyścić ją i zaprowadzić ład. Następnie, pewnego wieczora, kiedy Dawid wrócił z włóczęgi po polach prowadząc z sobą babę, która niosła ogromny tobół owinięty w szmaty, Ewa odbyła z nim naradę co do wyzyskania szczątków, jakie zostawił im ojciec Séchard, przyrzekając zająć się sama prowadzeniem interesów. Za radą męża uporządkowała wedle gatunku i zużyła wszystkie resztki papieru, jakie znalazła, drukując w dwóch kolumnach, na pojedynczych ćwiartkach owe popularne kolorowe legendy, jakie wieśniacy przylepiają na ścianach chaty: historię Żyda Wiecznego Tułacza, Roberta Diabła, Pięknej Magelony, opowiadania o cudach. Ewa zrobiła Kolba kolporterem. Cérizet nie tracił chwili, składał te naiwne stronicie i ich równie proste ozdoby od rana do wieczora. Maryna sama porała się z drukiem. Pani Chardon objęła zajęcia domowe, Ewa bowiem kolorowała ryciny. W dwa miesiące, dzięki sprawności Kolba i jego uczciwości, pani Séchard sprzedawała, na dwanaście mil w okolicy, trzy tysiące ćwiartek, których wyrób kosztował ją trzydzieści franków, a które przyniosły, licząc po dwa su sztuka, trzysta franków. Ale skoro wszystkie chałupy i karczmy przystroili się w te druki, trzeba było pomyśleć o innej specjalizacji, Alzatzycy bowiem nie mógł się puszczać poza granice departamentu. Ewa, która przetrząsała wszystko w drukarni, znalazła zbiorek rycin do kalendarza tzw. „Pasterskiego”, w którym rzeczy przedstawione są za pomocą znaków, obrazków i rycin w barwach czerwonej, czarnej lub niebieskiej. Stary Séchard, który nie umiał czytać ani pisać, zarobił niegdyś sporo grosza drukując

tę książkę, przeznaczoną również dla nieznaających owej sztuki. Kalendarz ten, który sprzedaje się po jednym su, składa się z jednego arkusza złożonego 64 razy, co stanowi egzemplarz in 64°, liczący 128 stron. Uszczęśliwiona powodzeniem swych ulotnych kartek (któremu to przemysłowi oddają się z upodobaniem wszystkie prowincjonalne drukarnie), pani Séchard podjęła „Kalendarz Pasterski” na wielką skalę, poświęcając na to swoje zyski. Papier „Kalendarza Pasterskiego” (wydawnictwo, którego rocznie sprzedaje się we Francji kilka milionów) jest bardzo pospolity i kosztuje około czterech franków za ryż. Zadrukowana ryza ta, która zawiera pięćset arkuszy, sprzedaje się, licząc po su za arkusz, w cenie dwudziestu pięciu franków. Pani Séchard postanowiła obrócić sto ryz na pierwszy nakład, co stanowiło pięćdziesiąt tysięcy egzemplarzy z dwoma tysiącami franków domniemanego zysku. Mimo iż zazwyczaj roztargniony, jak człowiek pogrążony w głębokich rachunkach, Dawid zdumiał się zaglądając do hali, że prasa jęczy bez ustanku, Cérizet zaś, ciągle na nogach, składa coś pod kierunkiem pani Séchard. Dzień, w którym zaszedł do drukarni, aby rzucić okiem na przedsięwzięcie podjęte przez Ewę, był pięknym dniem triumfu dla młodej pryncypałowej, Dawid uznał interes z kalendarzem za wyśmienity. Drukarz przyrzekł swą pomoc w sporządzaniu różnych farb, koniecznych przy ilustrowaniu tego kalendarza, gdzie wszystko przemawia do oczu. Wreszcie podjął się sam przetopić rulony w swej tajemniczej pracowni, aby – o ile w jego mocy – pomóc żonie w jej wielkim drobnym przedsięwzięciu.

Z początkiem tych wyteżonych zabiegów przybyły rozpaczliwie listy, w których Lucjan zawiadamiał matkę, siostrę i szwagra o swych niepowodzeniach i niedoli paryskiej. Można zrozumieć tedy, iż posyłając temu spieszczonemu dziecku trzysta franków, Ewa, pani Chardon i Dawid ofiarowali pocie po prostu najczystsą swą krew. Przybita tymi nowinami i zrozpaczona, iż zarabia tak mało pracując tak wytrwale, Ewa nie bez przerażenia przyjęła wydarzenie, które stanowi zwykle szczyt radości młodego stadła. Czując się przy nadziei zostania matka, pomyślała:

„Jeżeli mój drogi Dawid nie osiągnie celu do chwili mego połogu, cóż się z nami stanie?... I kto poprowadzi rozpoczęte przedsiębiorstwa naszej biednej drukarni?”

„Kalendarz Pasterski” miał być gotowy przed Nowym Rokiem; ale Cérizet, na którym spoczywał cały skład, prowadził rzecz z powolnością tym rozpaczliwszą, ile że pani Séchard nie znała się na tyle na drukarstwie, aby go upominać, i zadowalała się obserwowaniem chłopaka. Sierota, wychowany w domu podrzutków w Paryżu, Cérizet dostał się do firmy Didot jako uczeń. Od czternastego do siedemnastego roku życia był wiernym rabem Sécharda, który go oddał pod kierunek najzdolniejszego robotnika i uczynił zeń swego pupila, swego drukarnianego pazia. Dawid zainteresował się szczerze Cérizetem widząc jego inteligencję i zdobył jego przywiązanie dostarczając mu nieco rozrywek i drobnych przyjemności, których broniło mu ubóstwo. Obdarzony dość miłą ściągłą twarzą, rudymi włosami, niebieskim okiem nieco mętym, Cérizet wniósł w angulemski zaścianek obyczaj paryskiego wygi. Żywy i cięty jego umysł oraz wrodzona złośliwość czyniły go niebezpiecznym. Mniej dozorowany w Angoulême przez Dawida, czy to że wiek jego wzbudzał w mentorze więcej zaufania, czy że drukarz liczył na wpływy prowincji, Cérizet stał się bez wiedzy opiekuna beniaminkiem kilku robotnic i zdeprawował się zupełnie. Moralność jego, urobiona w szynkowniach paryskich, widziała w interesie osobistym jedyne prawo. Zresztą Cérizet, który, wedle popularnego wyrażenia, miał „stawać” do wojska na przyszły rok, nie widział przed sobą przyszłości; robił długi w tej myśli, iż za pół roku zostanie żołnierzem i że wówczas wierzyciele nie będą mogli gonić za nim. Dawid zachował pewną powagę w oczach chłopca, nie jako chlebowca, nie dlatego, że go wychował, ale dlatego, że eksulicznik paryski uznawał w Dawidzie wysoką inteligencję. Cérizet zwąchał się niebawem z robotnikami Cointetów, pociągnięty ku nim powinowactwem robotniczej bluzy, duchem zawodowego braterstwa, silniejszym może w ostatnich niżeli w wyższych klasach. W obcowaniu tym Cérizet zatracił tych niewiele dobrych zasad, jakie mu wszczepił Dawid. Mimo to, kiedy podrywano sobie z jego „magli”,

którym to pogardliwym terminem chrzcili niedźwiedzie stare prasy Sécharda, pokazując mu dwanaście wspaniałych żelaznych pras, które funkcjonowały w olbrzymiej hali Cointetów, gdzie jedyna istniejąca prasa drewniana służyła do odbijania korekt, prot brał jeszcze stronę Dawida i rzucał z dumą kpiarzom te słowa;

– Przy swoich maglach mój stary zajdzie dalej niż wasi ze swoimi cackami z żelaza, spod których się sypią same książki do modlenia! On szuka tajemnicy, która zapędzi w kozi róg wszystkie drukarnie Francji i Nawarry!

– Nim to nastąpi, mizerny dwufrankowy procino, masz za pryncypała byłą praczkę! – odpowiadali mu.

– Phi! Ładna jest – odpierał Cérizet – przyjemniejsza do patrzenia niż mordy waszych pryncypałów.

– Bardzo się nakarmisz oglądaniem buzi pani pryncypałowej!...

Z atmosfery szynku lub z bramy drukarni, gdzie te przyjacielskie sprzeczki miały miejsce, doszły do braci Cointet pogłoski o położeniu Sécharda; dowiedzieli się o wydawnictwie podjętym przez Ewę i uważali za potrzebne osadzić w miejscu przedsięwzięcie, które mogło naprowadzić biedną kobietę na drogę pomyślności.

– Trzeba ją trochę trzepnąć po palcach, aby jej obrzydzić handel – powiedzieli sobie bracia.

Ów z braci Cointet, który prowadził drukarnię, spotkał Cérizeta i ofiarował mu czytanie korekt dla ich firmy po tyle a tyle od arkusza, aby ulżyć ich korektorowi, który nie mógł sobie dać rady z nawałem pracy. Pracując kilka godzin w nocy, Cérizet zarobił więcej u Cointetów niż u Dawida przez dzień. Wynikło z tego pewne zbliżenie między Cérizetem a Cointetami, którzy uznali w chłopcu wielkie zdolności i wyrazili ubolewanie, iż znajduje się w położeniu tak mało dającym widoków.

– Mógłbyś – rzekł mu raz jeden z Cointetów – zostać protem w poważnej drukarni, gdzie zarabiałbyś sześć franków dziennie. Ze swoją inteligencją doszedłbyś z pewnością do tego, iż zyskałbyś udział w interesie.

– Na cóż mi się zda, że jestem dobrym protem? – odparł Cérizet. – Jestem sierotą, staję na przyszły rok do wojska i jeżeli wyciągnę los, któż mi opłaci zastępcę?

– Jeżeli potrafisz stać się pożytecznym – odparł bogaty drukarz – czemu nie miałby ktoś zaliczyć potrzebnej sumy, aby cię zwolnić?

– Z pewnością nie mój stary! – rzekł Cérizet

– Ba, znajdzie może sekret, którego szuka...

Zdanie to powiedziane było w sposób zdolny obudzić najgorsze myśli w tym, kto je usłyszał; toteż Cérizet rzucił fabrykantowi papieru spojrzenie równające się najprzenikliwшему pytaniu.

– Nie wiem, nad czym on się tam biedzi – odparł ostrożnie, widząc, iż stary milczy – tyle jest pewne, że szuka kapitałów nie w kaszcie drukarskiej.

– Słuchaj, przyjacielu – rzekł drukarz biorąc sześć arkuszy „Parafianina” i podając Cérizetowi – jeżeli zdążysz to skorygować do jutra, zgarniesz osiemnaście franków. My nie jesteśmy źli ludzie, dajemy zarobić protowi własnego konkurenta! Ot, tak samo moglibyśmy pozwolić pani Séchard puścić się na interes z „Kalendarzem Pasterskim” i zrujnować ją; otóż pozwalamy ci jej powiedzieć, że myśmy się wzięli do wydania „Kalendarza Pasterskiego”, i zwrócić jej uwagę, że nie zdąży przed nami na targ ze swoim towarem...

Można zrozumieć teraz, czemu Cérizet tak wolno się posuwał ze składaniem kalendarza.

Na wiadomość, że Cointetowie umyślili podciąć jej biedną spekulacyjkę na Ewę padł postrach; chciała widzieć dowód przywiązania w zwierzeniu, jakiego Cérizet udzielił jej dość obłudnie, zapowiadając grożącą konkurencję; ale niebawem spostrzegła u swego jedyne go zecera oznaki ciekawości zbyt żywej, aby ją można było przypisać wyłącznie jego wiekowi.

– Cérizet – rzekła doń pewnego dnia – stajesz w progę i czekasz na pana Séchard, gdy idzie na górę, aby zobaczyć, co ukrywa; kiedy wychodzi z pracowni, aby przetapiać rulony; zaglądasz w dziedziniec zamiast kończyć składanie kalendarza. Wszystko to nie jest ładnie, zwłaszcza gdy widzisz, że ja, żona, szanuję jego tajemnice i zadaję sobie tyle trudu na to, aby mu zostawić swobodę w jego pracy. Gdybyś nie zmarnował tyle czasu, kalendarz byłby skończony, Kolb mógłby go już sprzedawać i bracia Cointet nie zrobiliby nam wielkiej krzywdy.

– Ech, proszę pani, przy dwóch frankach, które zarabiam tutaj, czy pani myśli, że to nie dość, jeśli naskładam za pięć franków dziennie? Toć gdybym nie miał wieczór korekty dla braci Cointet, mógłbym się ślicznie żywić otrębami.

– Wcześniej zaczynasz być niewdzięczny, zajdziesz daleko – odparła Ewa, ugodzona w serce nie tyle wymówką Cérizeta, ile zuchwalstwem jego tonu, postawą pełną pogroźek i nastliwym spojrzeniem.

– Ale z pewnością nie z babą za pryncypała, wówczas bowiem miesiąc rzadko ma trzydzieści dni.

Dotknięta w godności kobiety, Ewa obrzuciła Cérizeta piorunującym spojrzeniem i wróciła do siebie. Kiedy Dawid zeszedł na obiad, rzekła:

– Czy ty jesteś pewny, mój drogi, tego urwisa Cérizeta?

– Cérizeta? – odparł. – Ech, toć to mój pupil, ja go uczyłem, był moim chłopcem do pomocy. Ja go postawiłem przy kaszcie, słowem, zawdzięcza mi wszystko, czym jest! To tak jakbyś spytała ojca, czy jest pewny swego dziecka. Ewa powiedziała wówczas mężowi, że Cérizet robi korektę dla braci Cointet.

– Biedny chłopiec! Musi przecież żyć – odparł Dawid z pokorą chlebobdawcy, który poczuwa się do winy.

– Zapewne; ale, mój drogi, oto różnica między Kolbem a Cérizetem: Kolb robi po dwadzieścia mil dzień w dzień, wydaje piętnaście lub dwadzieścia su, odnosi nam siedem, osiem, czasem dziewięć franków za sprzedane druki i żąda jedynie franka, po pokryciu wydatków. Kolb raczej dałby sobie rękę uciąć, niżby dotknął sztangi u prasy Cointetów, i nie spojrzalby na coś, co byś ty wyrzucił na podwórze, choćby mu kto dawał tysiąc talarów, gdy Cérizet wszystko zbiera i przegląda.

Piękne dusze z trudnością godzą się uwierzyć w zło, w niewdzięczność. Trzeba im twardych lekcji, nim poznają rozciągłość ludzkiego zepsucia; następnie zaś, skoro otworzą się im oczy, wznoszą się do pobłażliwości, która jest ostatnim szczeblem wzgardy.

– Ba! Typowa ciekawość paryskiego urwisa – rzekł Dawid.

– Zatem, mój drogi, bądź tak uprzejmy zejść do pracowni, przyjrzeć się temu, co twój urwis złożył od miesiąca, i powiedz mi, czy przez ten miesiąc nie powinien był złożyć kalendarza...

Po obiedzie Dawid uznał, iż kalendarz mógł być złożony w ciągu tygodnia; następnie, dowiedziawszy się, że bracia Cointet gotują podobny, pośpieszył na pomoc żonie: kazał przerwać Kolbowi sprzedaż obrazków i zarządził wszystko w drukarni; sam puścił w ruch formę, za pomocą której Kolb odbijał z Maryną, gdy on sam odbijał drugą z Cérizetem, nadzorując druk w rozmaitych kolorach. Każdy kolor wymaga oddzielnego tłoczenia. Cztery odmienne farby wymagają czterokrotnego brania na prasę. W ten sposób drukowany, „Kalendarz Pasterski” przedstawia nakład tak kosztowny, że podejmować go mogą jedynie prowincjonalne drukarnie, gdzie cena pracy ręcznej i procent od uwięzionego kapitału są prawie żadne. Produkt ten, mimo że tak pospolity, jest tedy niedostępny drukarniom, z których wychodzą piękne dzieła. Pierwszy raz od usunięcia się starego Séchard słyszano dwie prasy na raz toczące się w starej pracowni. Mimo iż kalendarz był w swoim rodzaju arcydziełem, Ewa musiała sprzedawać go po dwa liardy, bracia Cointet bowiem dawali domokrażcom swój po trzy centymy: na kolportażu odbiła tylko koszty, zarabiała na sprzedaży wprost przez Kolba; niemniej cała spekulacja zawiodła. Widząc, iż stał się przedmiotem nieufności pięknej pryncypałowej,

Cérizet zbył się wewnątrznie wszystkich skrupułów i powiedział sobie: „Podejrzewasz mnie, potrafię się zemścić!” Taka jest natura paryskiego urwisa. Cérizet przyjął tedy od braci Cointet nieproporcjonalnie wysokie wynagrodzenie za korekty, po które zachodził wieczór, a odnosił je rano. Wdając się z nimi w coraz poufniejsze rozmowy, zadomowił się tam, zaczął się wreszcie kołysać nadzieją zwolnienia od służby wojskowej, które mu ukazywano jako przynętę; nie tylko bracia Cointet nie potrzebowali go przekupywać, ale sami usłyszeli z jego ust pierwsze słowa dotyczące szpiegowania i wyzyskania tajemnicy, której szukał Dawid.

Widząc, jak mało może liczyć na Cérizeta, a w niemożności znalezienia drugiego Kolba, Ewa, zaniepokojona, postanowiła oddalić jedyne go zecera, w którym jasnowiedzenie kochającej kobiety kazało się jej domyślać zdrajcy; ale ponieważ byłaby to śmierć drukarni, powzięła isticie męskie postanowienie: poprosiła listownie pana Metmer, korespondenta Dawida Séchard, Cointetów i prawie wszystkich fabrykantów papieru w departamencie, aby ogłosił w „Dzienniku Księgarskim” w Paryżu następujący anons:

„Do odstąpienia drukarnia w pełnym ruchu, wraz z materiałem i koncesją, w Angoulême. Bliższych szczegółów udzieli p. Métivier, ul. Serpente.”

Przeczytawszy numer, w którym znajdowało się to ogłoszenie, bracia Cointet rzekli sobie:

– Ta kobietka ma głowę; najwyższy czas, abyśmy się stali panami drukarni, dając Séchardom z czego żyć; inaczej moglibyśmy znaleźć przeciwnika w następcy Dawida; w naszym zaś interesie jest, abyśmy zawsze mieli w tej fabryczce oko i ucho.

Pod wpływem tej myśli bracia Cointet wybrali się na rozmowę z Dawidem. Ewa, do której zwrócili się bracia, uczuła żywą radość widząc rychły skutek swego podstępu; nie ukrywali bowiem zamiaru proponowania panu Séchard, aby zechciał przyjmować roboty na ich rachunek, są przeciążeni, prasy nie mogą nastarczyć zamówieniom, zażądali robotników z Bordeaux i czują się na siłach zatrudnić trzy prasy Dawida.

– Proszę panów – odparła Ewa, gdy Cérizet poszedł uprzedzić Dawida o wizycie – mój znalazł u panów Didot znakomitych pracowników, uczciwych i dzielnych, wybierze sobie z pewnością następcę spośród najlepszych... Czyż nie korzystniej sprzedać zakład za jakie dwadzieścia tysięcy, które dadzą nam tysiąc franków renty, niż stracić tysiąc franków rocznie na skutek postępowania panów? Czyż się godziło wydzierać nam drobny zysk z naszego kalendarza, który był zresztą odwieczną własnością tej drukarni?

– Ależ pani, czemu państwo nas nie uprzedzili? Nie bylibyśmy wchodzili w szkodę – rzekł uprzejmie ów z braci, którego nazywano Wielkim Cointet.

– Ech, dajmy pokój, moi panowie! Wzięliście się do kalendarza dopiero wówczas, kiedyście się dowiedzieli od Cérizeta o moim projekcie.

Wymawiając żywo te słowa, spojrzała bystro na Wielkiego Cointeta, który mimo woli spuścił oczy. W ten sposób Ewa zyskała pewność zdrady Cérizeta.

Ów Cointet, dyrektor papierni i całego przedsiębiorstwa, był o wiele lepszą głową niż brat jego Jan, który zresztą prowadził drukarnię z wielkim sprytem, ale którego zdolności można było porównać z uzdolnieniem pułkownika, gdy Bonifacy był generałem, dzierżącym w dłoni – za zgodą Jana – naczelne dowództwo. Bonifacy, chudy i suchy, o twarzy żółtej jak świeca i pocętkowanej czerwonymi plamami, z zaciśniętymi ustami i oczyma kota, nie unosił się nigdy; słuchał z nabożnym spokojem najgrubszych obelg i odpowiadał łagodnie. Chodził na mszę, do spowiedzi i komunikował. Pod obleśnymi pozorami, pod zewnętrzną miękkością ukrywał on isticie księżą ambicję i wytrwałość oraz chciwość kupca pożeranego pragnieniem bogactw i zaszczytów. Od r. 1820 Wielki Cointet pragnął tego, co całe mieszczaństwo używało wreszcie z rewolucją r. 1830. Pełen nienawiści do arystokracji, obojętny w rzeczach religii, był on dewotem, jak Bonaparte był montagnardem². Kark jego giął się ze zdumiewającą elastycznością wobec szlachty i władz, dla których robił się mały, pokorny, ustępliwy.

² Montagnardami (Góralami) albo Góra (La Montagne) nazywano w Konwencji jakobinów, gdyż zajmowali górne ławki na sali obrad.

Wreszcie – aby odmalować tego człowieka rysem, którego znaczenie potrafią ocenić ludzie żyjący w świecie interesów – nosił niebieskie szkła, którymi zasłaniał oczy pod pozorem ochrony przed blaskiem w mieście, gdzie grunt i budowle są białe i gdzie położenie samo wzmagą nasilenie światła. Mimo iż wzrostu niewiele ponad średni, wydawał się duży z przyczyny swej chudości, która ujawniała przywalony pracą temperament, myśl w nieustającej fermentacji. Jezuicką fizjonomię uzupełniały uczesane płasko włosy, szpakowate, długie, ucięte na sposób księży, oraz strój, który od siedmiu lat składał się z czarnych pantalonów, czarnych pończoch, czarnej kamizelki i orzechowej lewitki (tak w tych stronach zowią surdut). Nazywano go Wielkim Cointet dla odróżnienia od brata, którego zwano Grubym Cointet, wyrażając w ten sposób przeciwieństwo zarówno we wzroście, jak w zdolnościach dwóch braci, jednakowo zresztą niebezpiecznych. W istocie, Jan Cointet, poczciwy grubas o flamandzkiej twarzy, ściemnionej angulemskim słońcem, mały i krótki, brzuchaty jak Sanczo, z uśmiechem na ustach, barczysty, przedstawiał uderzający kontrast z bratem. Jan różnił się od brata nie tylko fizjonomią i inteligencją; wyznawał zasady prawie liberalne, reprezentował lewe centrum, chodził na mszę tylko w niedziele i znakomicie się porozumiewał z kupcami przekonań liberalnych. Niektórzy handlowcy z Houmeau utrzymywali, że ta rozbieżność przekonań była grą ułożoną między braćmi. Wielki Cointet zrećnie wyzyskiwał pozorną rubasność brata, posługiwał się Janem jak maczugą. Jan brał na siebie twarde słowa, egzekucje, przed którymi wzdragala się łagodność Bonifacego. Jan miał wydział gniewów, unosił się, wyrzucał z siebie propozycje nie do przyjęcia, dzięki którym poprawki brata wydawały się tym umiarkowańsze; w ten sposób, wcześniej czy później, zawsze dochodzili do celu.

Ewa, z przenikliwością właściwą kobietom, rychło odgadła charaktery braci, toteż wobec tak niebezpiecznych przeciwników miała się na ostrożności. Dawid, uprzedzony już przez żonę, słuchał z roztargnioną miną propozycji wrogów.

– Porozumcie się, panowie, z żoną – rzekł opuszczając gabinet, aby wrócić do małego laboratorium – lepiej zna drukarnię ode mnie samego. Ja zajmuję się sprawą, która będzie zyskowniejsza niż ten mizerny zakład i przy pomocy której powetuję sobie to, co stracę na panach...

– Jakże to? – rzekł Gruby Cointet ze śmiechem. Ewa spojrzała na męża, aby mu zalecić ostrożność.

– Będziecie mymi podatnikami, wy i wszyscy konsumenci papieru – odparł Dawid.

– Nad czym pan tedy pracuje? – spytał Benedykt Bonifacy Cointet.

Skoro Bonifacy słodkim i obleśnym tonem rzucił to pytanie, Ewa znów spojrzała na męża, upominając, aby nie odpowiadał lub też zbył ich byle czym.

– Szukam fabrykacji papieru o pięćdziesiąt procent tańszego od ceny dzisiejszej...

I odszedł nie zauważywszy spojrzeń, które wymienili bracia, jak gdyby mówiąc: „Ten człowiek musi być wynalazcą: nie można mieć takiego karku i siedzieć beczynnienie! – Wyzyskajmy go! – mówił Bonifacy. – Ale jak?” – mówił Jan.

– Dawid postępuje z panami jak ze mną – rzekła pani Séchard. – Obawia się widać mego imienia i kiedy się robię zanadto ciekawa, rzuca mi ten frazes, który, ostatecznie, jest tylko programem.

– Jeżeli mąż pani zdoła urzeczywistnić ten program, dojdzie do fortuny z pewnością szybciej niż drukarstwem. Nie dziwię się już teraz, że tak zaniedbuje zakład – odparł Bonifacy spoglądając ku opuszczonej pracowni, gdzie Kolb, siedząc na tarcicy, nacierał kromkę chleba czosnkiem. – Bądź co bądź, nie byłoby nam zbyt na rękę widzieć tę drukarnię w ręku czynnego, ruchliwego, ambitnego konkurenta. Może tedy porozumielibyśmy się z sobą? Jeżeli, na przykład, zgodzilibyście się państwo wynająć za pewną sumę inwentarz jednemu z naszych ludzi, który pracowałby dla nas pod waszą firmą, jak się to praktykuje w Paryżu, dalibyśmy temu chłopcu dosyć roboty, aby mógł państwu płacić bardzo dobry czynsz i samemu odkładać nieco...

– To zależy od sumy – odparła Ewa. – Ile ofiarujecie panowie? – rzekła patrząc na Bonifacego w sposób mający świadczyć, że rozumie doskonale jego plan.

– A żądania państwa? – odparł żywo Jan Cointet.

– Trzy tysiące franków półrocznie – rzekła.

– Ech, droga pani, wszak mówiła pani o sprzedaży drukarni za dwadzieścia tysięcy – odparł słodziutko Bonifacy. – Procent od dwudziestu tysięcy wynosi tylko tysiąc dwieście, licząc po sześć od sta.

Ewa umilkła na chwilę, zakłopotana: oceniła całą wagę dyskrecji w interesach.

– Będziecie się panowie posługiwali naszymi prasami, czcionkami, którymi, jak tego dowiedziałam, umiem jeszcze zarobić to i owo – odparła. – Przy tym mamy ciężary: musimy płacić czynsz panu Séchard, ojcu Dawida, który nie obsypuje nas podarkami...

Po dwugodzinnej walce Ewa uzyskała dwa tysiące za pół roku, z których tysiąc z góry. Skoro wszystko umówiono, bracia oznajmili, że zamiarem ich jest wynająć inwentarz Cérizetowi. Ewa nie mogła wstrzymać gestu zdumienia.

– Czy nie lepiej wziąć człowieka, który jest obznajmiony z zakładem? – rzekł Gruby Cointet.

Ewa skinęła głową bez odpowiedzi i postanowiła sobie sama czuwać nad Cérizetem.

– A zatem, nieprzyjaciele w fortecy! – rzekł śmiejąc się Dawid, kiedy przy obiedzie żona przedstawiła mu akt do podpisu.

– Ba – odparła – rękę za przywiązanie Kolba i Maryny; tych dwoje potrafi upilnować wszystkiego. Zresztą wycisnęliśmy cztery tysiące renty z ruchomości, do których musieliśmy dokładać; masz przed sobą rok czasu dla zrealizowania swoich nadziei!

– Stworzona byłaś, jak mi to powiedziałaś tam nad rzeką, na żonę wynalazcy! – rzekł Séchard ściskając czule rękę Ewy.

O ile Dawid posiadał sumę potrzebną, aby przeżyć zimę, o tyle, w zamian, znalazł się pod nadzorem Cérizeta i, nie wiedząc o tym, w zależności od fabrykanta papieru.

– Mamy ich! – rzekł wychodząc dyrektor papierni do brata – drukarza. – Nieboracy przyzwyczajają się pobierać swój czynsz za drukarnię, będą na to liczyli, zadłużą się. Za pół roku nie odnowimy najmu, zobaczymy wówczas, co ten geniusz ma w brzuchu; ofiarujemy się wydobyć go z kłopotu tworząc spółkę do eksploataowania wynalazku.

Gdyby jaki szczywany kupiec mógł widzieć minę Cointeta, kiedy wymawiał słowa: tworząc spółkę, zrozumiałby, że małżeństwo mniej bywa niebezpieczne w merostwie niż w trybunale handlowym. Czyż to nie było już nadto, że ci zajadli łowcy byli na tropie zwierzyny? Czyż Dawid i jego żona, nawet wspomagani przez Kolba i Marynę, byli w stanie obronić się sztuczkom takiego Bonifacego Cointet?

Kiedy nadszedł połów pani Séchard, pięćset franków przysłane przez Lucjana, połączone z drugą płatnością Cérizeta, pozwoliły nastarczyć wszystkim wydatkom. Ewa, matka jej i Dawid, którzy sądzili już, iż Lucjan o nich zapomniał, doświadczyli wówczas radości równej tej, jaką im sprawiły pierwsze triumfy poety, którego początki w dziennikarstwie więcej jeszcze narobiły hałasu w Angoulême niż w Paryżu.

Uśpiony zwodnym bezpieczeństwem Dawid zachwiał się na nogach otrzymując od szwagra tę okrutną wiadomość:

Drogi Dawidzie, zrealizowałem u Métiviera trzy weksle podpisane przez Ciebie, wystawione na moje zlecenie, na jeden, dwa i trzy miesiące od daty. Między tą negocjacją a samobójstwem wybrałem tę straszną deskę ratunku, która z pewnością przyczyni Ci wiele kłopotu. Wytłumaczę Ci, w jakiej ostateczności się znajduję; będę się zresztą starał przelać Ci w terminach potrzebne kwoty.

Spal mój list, nie mówiąc nic ani siostrze, ani matce, wyznaję bowiem, iż liczyłem na Twój heroizm, dobrze znany Twemu zrozbaczonemu bratu – Lucjanowi de Rubempré.

– Twój biedny brat – rzekł Dawid do żony, która podnosiła się wówczas z połogu – jest w straszliwych opalach, posłałem mu trzy weksle po tysiąc franków, na jeden, dwa i trzy miesiące; zaciągnij je do ksiązek.

Następnie wyszedł w pole, aby uniknąć wyjaśnień. Ale omawiając z matką to brzemiennie nieszczęściami odezwanie Dawida, Ewa, już bardzo zaniepokojona półrocznym milczeniem brata, powzięła tak złe przeczucia, iż aby je rozproszyć, zdobyła się na heroiczny krok. Eugeniusz de Rastignac przybył właśnie spędzić kilka dni na łonie rodziny; otóż młody elegant wyrażał się o Lucjanie dość dwuznacznie, a te paryskie nowiny, komentowane przez wszystkie usta, doszły także do siostry i matki poety.

Ewa udała się do pani de Rastignac, uprosiła o rozmowę z jej synem, któremu zwierzyła wszystkie swe obawy, prosząc o całą prawdę. Biedna Ewa dowiedziała się o stosunku Lucjana z Koralią, o pojedynku z Michałem Chrestien, spowodowanym zdradą wobec d'Artheza, poznała wreszcie wszystkie okoliczności życia Lucjana, jadownicie ubarwione przez sprytnego dandysa, który umiał nadać swej zawiści i nienawiści pozory współczucia, przyjacielską formę niepokoju ziomka o przyszłość wielkiego człowieka, wreszcie barwę szczerzego uwielbienia dla jego talentu. Rozwiódł się nad błędami Lucjana, które pozbawiły go poparcia najwyższych osobistości, jak również unicestwiły dekret wracający mu nazwisko i herby rodziny de Rubempré.

– Gdyby brat pani miał życzliwego doradcę, byłby dziś na drodze do zaszczytów, byłby mężem pani de Bargeton; ale cóż pani chce, opuścił ją, znieważył. Została hrabiną Sykstusową du Châtelet, ku wielkiemu swemu żalowi, kochała bowiem Lucjana.

– Czy podobna?... – wykrzyknęła pani Séchard.

– Pani brat to orlątko, oślepienie pierwszymi promieniami zbytku i sławy. Kiedy orzeł spada, któż zgłębi dno przepaści, które go zatrzyma? Upadek wielkiego człowieka mierzy się zawsze wysokością lotu.

Ewa wróciła przerażona tym zdaniem, które przeszło jej serce jak strzała. Zraniona w najtkliwsze punkty duszy, zachowała w domu głębokie milczenie; ale niejedna łza spłynęła na lica i czoło dziecięcia, które karmiła. Tak trudno jest rozstać się ze słodkimi złudzeniami siostrzanej miłości, iż Ewa nie wierzyła jeszcze Eugeniuszowi de Rastignac; chciała usłyszeć głos prawdziwego przyjaciela. Napisała zatem wzruszający list do d'Artheza, którego adres dał jej w swoim czasie Lucjan, w epoce entuzjazmu dla Biesiady. Oto odpowiedź, jaką otrzymała:

Pani!

Pyta Pani, jakie naprawdę życie wie dzie Lucjan w Paryżu, pragnie Pani zdać sobie sprawę z jego przyszłości; aby mnie zachęcić do szczerzej odpowiedzi, donosi mi Pani, co Jej powiedział w tej mierze pan de Rastignac, pytając, czy powyższe fakty są prawdziwe. O ile mnie tyczy, trzeba sprostować, na korzyść Lucjana, objaśnienia pana de Rastignac. Lucjan uczuł wyrzuty, przyszedł pokazać mi krytykę mojej książki, powiadając, że mimo niebezpieczeństw, jakie odmowa rozkazom jego partii ściąga na bardzo mu drogą osobę, nie może się zdobyć na to, aby ogłosić ten artykuł. Niestety, Pani, zadaniem pisarza jest rozumieć namiętności, skoro czerpie w tym chlubę, aby je wyrażać; zrozumiałem tedy, iż w konflikcie uczuć między kochanką a przyjacielem przyjaciel musi paść ofiarą. Ułatwiłem bratu Pani jego zbrodnię, sam poprawiłem morderczy artykuł i dałem mu zupełnie wolną rękę. Pyta Pani, czy Lucjan zachował mój szacunek i przyjaźń. Tu odpowiedź jest trudniejsza. Chłopiec ten jest na drodze do zguby. W tej chwili żałuję go jeszcze; niebawem rad będę o nim zapomnieć, nie tyle dlatego, co dotąd popełnił, ile dlatego, co popełni jeszcze. Lucjan to poetyczna głowa, ale nie poeta; marzy, a nie myśli; miota się, ale nie tworzy. Jest to, niech mi Pani pozwoli powiedzieć, kobiciańko, które lubi błyszczeć: kardynałna wada Francuzów. To człowiek, który zawsze poświęci najlepszemu przyjacielowi dla przyjemności olśnienia dowcipem, Podpisałby jutro pakt z samym diabłem, gdyby ten pakt zapewnił mu na kilka lat świetne i zbytkowne życie. Czyż nie

uczynił już gorzej, przefrymarczywszy swą przyszłość za przelotne rozkosze publicznego życia z aktorką? W tej chwili młodość, piękność, poświęcenie tej kobiety – bo Koralia go ubóstwia – przesłaniają mu grozę sytuacji, której ani sława, ani powodzenie, ani majątek nie są zdolne usprawiedliwić w oczach świata. Otóż za każdą nową pokusą Lucjan będzie widział, tak jak dziś, jedynie rozkosz chwili. Niech Pani będzie spokojna; nigdy nie posunie się do zbrodni, nie miałby siły po temu; ale przyjąłby zbrodnię już gotową, podzieliłby się zyskiem nie dzieląc niebezpieczeństw: rzecz ohydna w oczach wszystkich, nawet w oczach zbrodniarzy. Będzie pogardzał samym sobą, będzie się kajął; ale w razie ponownej potrzeby rozpocząłby na nowo; brak mu woli, jest bez sił przeciw rozkoszy, przeciw zadowoleniu swych najmniejszych ambicji. Leniwy jak wszyscy ludzie bawiący się poezją, mniema, iż dowodzi wielkiego sprytu umykając się trudnościom zamiast je zwyciężać. Zdobędzie się na odwagę w pewnej chwili, ale w innej znowu stchórzy. I tak samo nie trzeba cenić jego odwagi, jak wyrzucać mu tchórzostwa; Lucjan jest harfą, której struny napinają się lub miękną wedle wahań atmosfery. Potrafi napisać piękną książkę w paroksyzmie gniewu lub upojenia i nie dbać o jej powodzenie, mimo iż pragnął go tak gorąco. Od pierwszych dni przybycia do Paryża wdał się z młodym człowiekiem bez zasad, olśniony jego zręcznością i doświadczeniem, wśród trudności literackiego życia. Ten prestidigitator opętał Lucjana zupełnie, wciągnął w bagno, które nieszczęściem dlań, miłość ozłociła swoimi czarami. Zbyt łatwo używany podziw jest oznaką słabości: nie wolno płacić tą samą monetą linoskoczka i poety. Wszystkich nas zraniło pierwszeństwo dane intrydze i literackiemu szelmostwu nad odwagą i honorem tych, którzy radzili Lucjanowi przyjąć walkę zamiast podkradać sukces; rzucić się na arenę miast zostawać jednym z trębaczy w orkiestrze. Społeczeństwo jest, przez osobliwy kaprys, pełne pobożania dla ludzi tego pokroju; lubi ich, daje się wziąć na ich piękne pozory; od nich samych nie wymaga nic, usprawiedliwia wszystkie błędy, przypisuje im zalety natur pełnych, widzi w nich same dobre strony, słowem, czyni z nich swoje rozpieszczone dzieci. Przeciwnie, dla silnych i pełnych natur okazuje ono surowość bez granic. W postępowaniu tym społeczeństwo, na pozór tak niesprawiedliwe, ujawnia może szczytną logikę. Bawi się pajacami nie żądając od nich nic prócz rozrywki i zapomina ich rychło; aby natomiast ugiąć kolano przed wielkością, żąda od niej boskich przepychów. Każda rzecz ma swoje prawa: wiekuisty diament musi być bez skazy, chwilowy wytwór mody może być lekki, kapryśny i nietrwały. Toteż mimo jego wad może powiedzieć się Lucjanowi w życiu; wystarczy mu wyzyskać szczęśliwą sposobność lub też wejść w dobre towarzystwo; ale jeśli spotka złego anioła, zajdzie na samo dno piekiel. Jest to zbiór pięknych przymiotów, wyhaftowanych na zbyt wiotkiej kanwie; wiek wystrzepi kwiaty, zostanie samo tło; jeśli jest liche, okaże się szmatą. Póki Lucjan jest młody, będzie się podobał; ale w trzydziestym roku jakież będzie jego położenie? Oto pytanie, które winni sobie postawić ci, co go szczerze kochają. Gdybym ja sam tylko myślał w ten sposób o Lucjanie, może nie odważyłbym się sprawić Pani tyle przykrości; ale zbywać komunalami siostrzaną troskliwość zdaje mi się niegodnym Pani, której list jest krzykiem trwogi, oraz mnie, któremu Pani okazuje aż nazbyt wiele szacunku. Otóż przyjaciele moi, którzy znali Lucjana, dzielą ten sąd, uważałem tedy za obowiązek rzec całą prawdę, choćby tak straszną. Można spodziewać się wszystkiego po Lucjanie, w dobrym, jak w złym. Oto, krótko mówiąc, nasze zdanie, w którym zawiera się sens niniejszego listu. Gdyby okoliczności jego życia, bardzo obecnie nędznego i oplakanego, sprowadziły go do Was, użyjcie Państwo całej mocy, aby go zatrzymać na łonie rodziny; póki charakter jego nie nabierze hartu, Paryż będzie dlań niebezpieczny. Nazywał Was oboje swymi aniołami opiekuńczymi, zapewne musiał Was zapomnieć; ale przypomni sobie o Was w chwili, gdy, miotany burzą, nie ujrzy przed sobą innego schronienia prócz rodziny; zachowajcie mu serca, będzie ich potrzebował.

Przyjm, Pani, wyrazy szczerzej czci człowieka, któremu znane są Jej cenne przymioty i który nadto szanuje Pani macierzyńskie niepokoje, aby nie przedłożyć Jej swoich służb kreśląc się Pani oddanym – d'Arthez.

W dwa dni po tej odpowiedzi Ewa musiała wziąć mamkę, pokarm jej przepadł. Lucjan był dla niej bóstwem; i oto patrzyła, jak najcenniejsze jego przymioty zawiodły go, w jej pojęciu, w błoto. Szlachetna istota nie umiała paktować z uczciwością, ze skrupułami, z religią domowych cnót pielęgnowanych w ognisku rodzinnym, tak czystym, tak promiennym jeszcze na zapadłej prowincji. Dawid miał więc słuszność w swych przewidywaniach! Kiedy w owej szczerzej rozmowie, w której małżeństwo albo para kochanków wszystko może sobie powiedzieć, Ewa zwierzyła mężowi zgryzotę barwiącą jej białe czoło ołowianym cieniem, Dawid znalazł słowa pociechy. Mimo iż miał łzy w oczach widząc nadobną pierś żony zdławioną bólem, patrząc na tę matkę w rozpacz, iż nie może dopełnić zadań macierzyństwa, starał się pokrzepić Ewę ukazując jej jakieś nadzieje.

– Widzisz, dziecko, brat twój zgrzeszył wyobraźnią. Jest tak naturalne u poety, iż pragnie dla siebie sukni z purpury i lazuru, iż tak skwapliwie biegnie na wszystkie gody życia! Ten ptak łapie się na blask, na zbytek z taką dobrą wiarą, że sam Bóg rozgrzesza go wówczas, gdy społeczeństwo go potępia!

– Ale on nas zabija!... – wykrzyknęła biedna kobieta.

– Zabija nas dziś, jak nas uratował kilka miesięcy temu posyłając nam pierwszy swój zarobek! – odparł dobry Dawid, który umiał odczuć, że rozpacz prowadzi Ewę poza granice i że wróci ona niebawem do swej miłości dla Lucjana. – Mercier powiedział w swoim „Obrazie Paryża”, jakieś pięćdziesiąt lat temu, iż literatura, poezja, nauka i wiedza, w ogóle twory ducha, nie mogą zapewnić chleba; otóż Lucjan, jak prawdziwy poeta, nie chciał wierzyć doświadczeniu pięciu wieków. Zbiory podlane atramentem wschodzą (jeśli wschodzą!) w dzień lub dwanaście lat po zasianiu, Lucjan zaś wziął zieleninę za zboże. Nauczył się przynajmniej życia. Zawiodłszy się na kobiecie, musiał z kolei przejść zawód świata i fałszywych przyjaźni. Doświadczenie, które zyskał, kosztowało drogo, oto wszystko. Nasi przodkowie mawiali: „Był syn wrócił do domu z oboma uszami i całym honorem, wszystko dobrze...”

– Honor!... – wykrzyknęła biedna Ewa. – Ha! Ileż razy Lucjan go naraził... Pisać przeciw własnemu sumieniu!... Napadać najlepszego przyjaciela!... Przyjmować pieniądze od aktorów... Żyć z nią publicznie! Przywieść nas do ruiny!...

– Och, to jeszcze nic!... – wykrzyknął Dawid i urwał.

Tajemnica popełnionego przez szwagra fałszerstwa omal mu się nie wyrwała, nieszczęściem zaś Ewa, spostrzegłszy ten odruch, zachowała nieokreślony niepokój.

– Jak to, nic? – odparła. – Jak zdołamy zapłacić te trzy tysiące?

– Przede wszystkim – odparł Dawid – możemy liczyć na przedłużenie dzierżawy przez Cérizeta. W ciągu sześciu miesięcy piętnasty procent, jaki mu płacą Cointetowie od wykonanej dla nich roboty, dał mu sześćset franków, dorobił zaś z pewnością z pięćset zamówieniami z miasta.

– Jeżeli Cointetowie wiedzą o tym, może nie odnowią najmu, będą się go obawiali – rzekła Ewa – Cérizet to człowiek niebezpieczny.

– Ech, cóż nam to wszystko? – wykrzyknął Séchard.

– Za kilka dni będziemy bogaci! Z chwilą gdy Lucjan będzie bogaty, mój aniele, będzie miał same cnoty...

– Och, Dawidzie, drogi mój, jakież straszne słowo ci się wymknęło! Wydany na pastwę nędzy, Lucjan byłby zatem bezsilny wobec zła?! Myślisz o nim to, co i d'Arthez! Nie ma geniuszu bez siły, Lucjan zaś jest słaby... Anioł, którego nie trzeba kusić, cóż to jest?...

– Ba, to natura, która jest piękna tylko w swoim środowisku, w swojej sferze, w swoim niebie. Lucjan nie jest stworzony do walki, ja mu oszczędzę walk. Ot, patrz! Zbyt blisko jest rezultatu, aby cię nie wtajemniczyć w swoje prace.

Wyjął z kieszeni kilka ćwiartek białego papieru, potrząsnął nimi zwycięsko i złożył je na kolanach żony.

– Ryza tego papieru, format Grand – Raisin, będzie kosztowała nie więcej niż pięć franków – rzekł pozwalając obracać w palcach te próbki Ewie, która objawiała dziecinne zaciekawienie.

– Czym posłużyłeś się do tych prób?

– Starym włosianym sitem, pożyczonym od Maryny – odparł.

– I jeszcze nie jesteś zadowolony? – spytała.

– Kwestia nie leży w fabrykacji, tylko w cenie samej masy. Ba, moje dziecko, jestem ledwie jednym z ostatnich, którzy weszli na tę trudną drogę. Pani Masson jeszcze w 1794 próbowała przerabiać papier drukowany na biały; udało się, ale jakim kosztem; W Anglii koło r. 1800 margrabia Salisbury próbował, niemal równocześnie co Seguin w r. 1801 we Francji, użyć słomy do wyrobu papieru. Nasza pospolita trzcina, *arundo phragmitis*, dostarczyła ćwiartek, które trzymasz w ręku. Ale mam zamiar użyć pokrzyw, ostów, aby bowiem utrzymać taniość surowca, trzeba się zwracać do substancji roślinnych, które mogą się rodzić na bagnach, na złym gruncie: wówczas będą za bezcen. Cały sekret jest w przygotowaniu, jakiemu trzeba poddać te łądygi. W tej chwili mój sposób nie jest jeszcze dość prosty. Otóż mimo tej trudności jestem pewien, iż dam papiernictwu francuskiemu przywilej, jakim cieszy się nasza literatura: uczynię zeń monopol naszego kraju, jak Anglicy mają monopol żelaza, węgla i wyrobów garncarskich. Chcę być Jacquardem³ papierni.

Ewa podniosła się, uniesiona entuzjazmem i podziwem, jaki budziła w niej prostota Dawida; otwarła ramiona i przycisnęła go do serca, skłaniając głowę na jego ramię.

– Nagradzasz mnie, jak gdybym już znalazł – rzekł.

Za całą odpowiedź Ewa ukazała piękną twarz zalaną łzami: przez chwilę nie mogła mówić.

– Nie ściskam genialnego człowieka – rzekła – ale pocieszyciela! Chwale upadłej przeciwstawiasz chwałę, która się wznosi. Zgryzotom, które mi sprawia poniżenie brata, przeciwstawiasz wielkość męża... Tak, ty będziesz wielki jak Graindorge, jak Rouvet, jak van Robais, jak ów Pers, który obdarzył nas barwnikiem z marzanny, jak wszyscy ci, o których mi mówiłeś, a których imiona zostają nieznane, bo udoskonalając przemysł, czynią wielką rzecz bez rozgłosu.

– Co oni robią w tej chwili?... – dumiał Bonifacy. Wielki Cointet przechadzał się po placu z Cérizetem, śledząc cień Dawida i Ewy na muslinowych firankach; co dzień zachodził o północy na rozmowę z Cérizetem, który miał polecone nadzorować najmniejszy krok swego chlebobawcy.

– Pokazuje jej z pewnością papier, który sfabrykował dziś rano – odparł Cérizet.

– Jakich substancji użył? – spytał fabrykant.

– Niepodobna zgadnąć – odparł Cérizet. – Przedziurawiłem dach, wdrapałem się na wierzch i ujrzałem pryncypała, jak całą noc gotował masę w mosiężnym kociołku; daremnie przyglądałem się zapasom w kącie, wszystko, co mogłem dojrzeć, to to, iż surowiec podobny był do kupy przędzy. – Nie posuwaj się dalej – rzekł Bonifacy Cointet oblesnym tonem do szpiega – to byłoby nieuczciwe!... Pani Séchard proponuje ci, abyś odnosił dzierżawę; powiedz, że chcesz nabyć drukarnię na własność; ofiaruj połowę tego, co wart inwentarz i koncesja, gdyby się zaś zgodzili, przyjdź do mnie. W każdym razie przewlekaj... Są w opałach?

– Bez grosza! – odparł Cérizet.

– Bez grosza – powtórzył Wielki Cointet. – „Mam ich” – rzekł w duchu.

Obie firmy, tak Métivier, jak bracia Cointet, trudniły się, prócz swoich zawodowych czynności, i eskontem, strzegąc się wszelako pilnie nabywać patent bankierskiego rzemiosła. Skarb nie znalazł jeszcze, w handlowych sprawach, sposobu tak daleko posuniętej kontroli, aby zmusić wszystkich, którzy sekretnie robią interesy bankowe, do opłacania koncesji, która w Paryżu, na przykład, kosztuje pięćset franków. Bracia Cointet i Métivier, mimo braku

³ Joseph-Marle Jacquard (1752–1834) – mechanik z Lyonu, wynalazca nazwanej jego imieniem maszyny tkackiej.

uprawnień, obracali jakimiś paromakroć kwartalnie na rynkach Paryża, Bordeaux i Angoulême. Otóż tego samego wieczora firma Cointet otrzymała z Paryża fałszywych weksli na trzy tysiące, podrobionych przez Lucjana. Wielki Cointet zbudował natychmiast na tym długi potężną machinę, skierowaną, jak się okaże, przeciw cierpliwemu i biednemu wynalazcy.

Nazajutrz o siódmej rano Bonifacy Cointet przechadzał się nad korytem wodnym, które odżywiało jego rozległą papiernię i którego szum pokrywał dźwięk słów. Oczekiwał tam młodego człowieka lat dwudziestu dziewięciu, od pół roku adwokata przy trybunale pierwszej instancji w Angoulême, imieniem Piotr Petit-Claud.

– Pan byłeś w kolegium w Angoulême w tym samym czasie co Dawid Séchard? – rzekł Wielki Cointet witając ukłonem młodego adwokata, który skwapliwie stawiał się na wezwanie bogatego fabrykanta.

– Tak, panie – odparł Petit-Claud stosując się do kroku Wielkiego Cointet.

– Czy utrzymujecie stosunki?

– Spotkaliśmy się najwyżej dwa razy od jego powrotu. Nie mogło być inaczej: ja tkwiłem w kancelarii lub w sądzie, w niedzielę zaś lub w święta pracowałem nad dopełnieniem wykształcenia, wszystko bowiem budowałem na samym sobie...

Wielki Cointet skinął głowę z uznaniem.

– Kiedyśmy się spotkali z Dawidem, spytał, co się ze mną dzieje. Powiedziałem, iż skończywszy prawo w Poitiers, zostałem dependentem u pana Olivet i że spodziewam się lada dzień nabyć od niego kancelarię... Znałem o wiele bliżej Lucjana Chardon, który się teraz przezwął panem de Rubempré, kochanka pani de Bargeton, naszego wielkiego poetę, słowem szwagra Dawida.

– Może pan tedy oznajmić Dawidowi swą nominację i ofiarować mu usługi – rzekł Wielki Cointet.

– To nie uchodzi – odparł młody adwokat.

– Nie miał nigdy procesów, nie ma adwokata; może ująć – odparł Cointet mierząc zza okularów młodego adwokacinę.

Syn krawca z Houmeau, lekceważony przez towarzyszy w kolegium, Piotr Petit-Claud zdawał się mieć we krwi sporą przymieszkę żółci. Twarz jego miała ów brudny i mętny kolor, będący świadectwem dawnych chorób, niedospania i nędzy, i prawie zawsze złego charakteru. Cały był ostry i kanciasty. Chrypliwy głos harmonizował z cierpką twarzą, mizerną postacią i niezdecydowanym kolorem oczu, podobnych do oka sroki. Sroczę oko jest, wedle obserwacji Napoleona, znamieniem nieuczciwości. „Spójrz na niego – rzekł do Las Cases'a na Wyspie Św. Heleny, mówiąc o jednym z zaufanych, którego oddalił z przyczyny nadużyć – nie rozumiem, jak mogłem tak długo mylić się co do niego, on ma zupełnie oko sroki”. Toteż Wielki Cointet przyjrzał się bacznie chuderławemu adwokacinie, zeszpeconemu ospą, o rzadkich włosach, o czole i czaszce spływających się z sobą. Stwierdziwszy, że już gotów byłby przeskoczyć skrupuł, rzekł sobie: „Oto człowiek, jakiego mi trzeba”.

W istocie, Petit-Claud, napojony wzgardą, pożerany żądzą wybicia się, odważył się, mimo iż bez grosza, kupić kancelarię pryncypała za trzydzieści tysięcy; ufał, iż sposób wypłacenia się znajdzie w bogatym małżeństwie. Wedle zwyczaju liczył na pryncypała, że znajdzie mu żonę, poprzednik bowiem zawsze ma interes w tym, aby wyswatać następcę i ściągnąć zeń swą należność. Petit-Claud liczył jeszcze więcej na siebie, nie zbywało mu bowiem na pewnym, dość rzadkim na prowincji polocie, którego pierwiastek tkwił zresztą w nienawiści. Wielka nienawiść zdolna jest do wielkiego wysiłku.

Istnieje ogromna różnica między adwokatami w Paryżu a na prowincji; otóż Cointet był zbyt zręczny, aby nie wyzyskać namiętnostek, które powodują tymi małymi adwokacikami. W Paryżu wybitny adwokat, a jest ich wielu, posiada coś z dyplomaty: ilość spraw, waga interesów, rozległość powierzonych mu zadań zwalniają go od szukania w procedurze środka fortuny. Procedura, bądź jako broń zaczepna, bądź odporna, nie jest już dla niego, jak daw-

niej, przedmiotem zysków. Na prowincji, przeciwnie, adwokaci uprawiają to – jak się mówi w Paryżu – smarowanie rachunczków, tę nieskończoność akcyzów, które przeciążają sprawę kosztami i zjadają mnóstwo stemplowego papieru. Te bagatelki stanowią główny cel adwokata na prowincji; sili się narobić kosztów, gdy adwokat paryski ma na oku jedynie honorarium. Honorarium oznacza to, co klient winien jest, poza kosztami, zapłacić adwokatowi za mniej lub więcej zręczne prowadzenie sprawy. W kosztach uczestniczy do połowy skarb, gdy honoraria przypadają całe adwokatowi. Powiedzmy śmiało: honoraria, które się realizuje, rzadko są w harmonii z honorarium żądanym i należnym za usługi dobrego adwokata. Adwokaci, lekarze i obrońcy paryscy mają się jak kurtyzany wobec przygodnych kochanków, niezmiernie na baczności co do wdzięczności klientów. Klient po sprawie i przed sprawą mógłby stanowić model dwóch cudownych rodzajowych obrazków, godnych Meissoniera, o które licytowałiby się z pewnością wzięci adwokaci. Istnieje jeszcze jedna różnica między adwokatem paryskim i prowincjonalnym. Adwokat paryski broni rzadko; staje niekiedy w trybunale w ważnych wypadkach, natomiast w r. 1822 (później zaczęło się roić od obrońców) na prowincji adwokaci pełnili zarazem funkcje obrońców i sami stawali w sądzie. Z tego podwójnego życia wynika podwójny typ zajęcia, który daje prowincjonalnemu adwokatowi przywary intelektualne obrońcy, nie zdejmując zeń ważkich obowiązków adwokata. Adwokat prowincjonalny staje się gadułą; traci ową jasność sądu, tak potrzebną do prowadzenia spraw. Rozdwajając się w ten sposób, człowiek wyższy znajduje często w sobie samym dwóch ludzi miernych. W Paryżu adwokat, nie rozprasząc się w słowach przed kratkami trybunału, nie przerzucając się raz po raz z jednej do drugiej roli, może zachować rzetelność myśli. Jeśli świadom jest balistyki prawa, jeżeli szpera w arsenale środków, jakie nastęrczają mu sprzeczności prawoznawstwa, zachowuje mimo to swoje przekonanie o sprawie, której sili się zgotować triumf. Słowem, myśl zaślepia o wiele mniej niż słowo. Pod wpływem własnych słów człowiek wierzy w końcu w to, co mówi, gdy działać można przeciw własnej myśli nie paczając jej i osiągnąć wygraną złej sprawy nie twierdząc, że jest dobra, jak to czyni obrońca. Toteż stary adwokat paryski może, o wiele lepiej niż stary obrońca, być dobrym sędzią. Adwokat prowincjonalny ma tedy wiele przyczyn, aby być człowiekiem miernym: wciela się w małe namiętnostki, prowadzi małe sprawy, żyje z płodzenia „kosztów”, nadużywa kodeksu i wreszcie – sam broni! Słowem, ma wiele ułomności. Toteż kiedy się trafi między prowincjonalnymi adwokatami wybitna osobistość, musi to być naprawdę tegi człowiek.

– Sądziłem, że pan mnie wezwał dla swoich spraw – odparł Petit-Claud podkreślając zawartą w tej uwadze krytykę spojrzeniem, jakim obrzucił nieprzeniknione okulary Wielkiego Cointeta.

– Dajmy pokój ceregielom – odparł Bonifacy Cointet. – Posłuchaj pan...

Po tym słowie, brzemienym w zwierzenia, Cointet usiadł na ławce, dając znak adwokatowi, aby poszedł za jego przykładem.

– Kiedy pan du Hautoy przejeżdżał przez Angoulême w r. 1804 udając się do Walencji w charakterze konsula, poznał tu panią de Senonches, wówczas pannę Zefirynę, i miał z nią córkę – rzekł Cointet po cichu do ucha prawnika. – Tak – podjął widząc wzdrygnięcie Petit-Clauda – małżeństwo panny Zefiryny z panem de Senonches nastąpiło rychło po tym sekretnym połogu. Ta córka, wychowana na wsi u mojej matki, jest to panna Franciszka de la Haye, a opiekuje się nią pani de Senonches, która, wedle zwyczaju, jest jej chrzestną matką. Ponieważ moja matka, żona dzierżawcy w majątku pani de Cardanet, babki panny Zefiryny, posiadała tajemnicę jedynej spadkobierczynie rodziny Cardanet i starszej linii Senonches'ów, powierzono mi obracanie sumką, jaką pan Franciszek du Hautoy przeznaczył w swoim czasie córce. Majątek mój wyrósł na tych dziesięciu tysiącach, które dziś dochodzą trzydziestu tysięcy. Pani de Senonches da z pewnością wyprawę, srebro i jakieś mebelki swej pupilce; ja zaś mogę się postarać o to, abyś dostał pannę, mój chłopcze – rzekł Cointet klepiąc po kolanie adwokata. – Żeniąc się z Franciszką de la Haye pomnożysz swą klientelę o większą część an-

gulemskiej arystokracji. Ten alians z lewej ręki otwiera przed tobą wspaniałą przyszłość... Pozycja obrońcy będzie wystarczająca; nie żądają więcej, wiem o tym.

– Cóż trzeba uczynić?... – rzekł chciwie Petit-Claud. – Wszak pańskie sprawy prowadzi pan Cachan...

– Toteż nie rozstanę się nagle z Cachanem dla pana, moje zastępstwo dostaniesz później – rzekł chytrze Wielki Cointet. – Co trzeba czynić, przyjacielu? Objąć sprawy Dawida Séchard; ot co! Ten nieborak ma u nas za tysiąc talarów weksli, nie wykupi ich, będziesz go bronił przeciw krokom sądowym w ten sposób, aby narobić olbrzymich kosztów... Bądź bez obawy, jedź śmiało, wynajduj kruczki. Doublon, mój komornik, który poprowadzi akcję pod kierunkiem Cachana, też nie będzie się lenił... Mam nadzieję, że mnie rozumiesz. A teraz, młody człowieku...

Nastała wymowna pauza, podczas której obaj spoglądali na siebie.

– Nie widzieliśmy się nigdy – ciągnął Cointet – nic panu nie mówiłem, nie wiesz nic o panu du Hautoy ani o pani de Senonches, ani o pannie de la Haye; tylko, kiedy będzie czas, za dwa miesiące, poprosisz o rękę młodej osoby. Kiedy będzie nam się trzeba widzieć, przyjdiesz tutaj, wieczorem. Pisywać nie będziemy.

– Chce pan tedy zrujnować Sécharda? – spytał Petit-Claud.

– Niezupełnie; ale trzeba go potrzymać jakiś czas pod kluczem...

– W jakim celu?

– Czy uważasz mnie za tak głupiego, że ci to powiem? Jeśli będziesz miał dość sprytu, aby zgadnąć, znajdziesz go też na tyle, aby milczeć.

– Ojciec Séchard ma pieniądze – rzekł Petit-Claud wchodząc już w tok myśli Bonifacego i spostrzegając możliwość niepowodzenia.

– Póki żyje, nie da synowi ani szeląga; nie wybiera się wcale na tamten świat.

– Zatem rzecz ułożona – rzekł Petit-Claud, który zdecydował się szybko. – Nie żądam od pana gwarancji, jestem adwokatem; gdyby mnie pan wystrychnął na dudka, porachowalibyśmy się.

„Hultaj zajdzie daleko” – pomyślał Cointet żegnając Petit-Clauda ukłonem.

Nazajutrz po tej naradzie, trzydziestego kwietnia, bracia Cointet przedstawili pierwszy z trzech podrobionych przez Lucjana weksli. Na nieszczęście, oddano go biednej pani Séchard, która, poznając, iż podpis męża jest podrobiony, zawołała Dawida i rzekła wprost:

– Nie podpisywałeś tego weksla? – Nie – odparł – brat twój był w tak nagłym położeniu, że podpisał go za mnie...

Ewa oddała papier inkasentowi firmy Cointet, mówiąc:

– Nie jesteś w możności.

Następnie, czując, że nogi się pod nią uginają, poszła do swego pokoju. Dawid za nią.

– Mój jedyny – rzekła Ewa do Sécharda zamierającym głosem – biegnij do panów Cointet, będą mieli względy dla ciebie; proś, aby poczekał; zwróć zresztą ich uwagę, że przy odnawianiu dzierżawy prez Cérizeta będą ci winni tysiąc franków.

Dawid udał się natychmiast do swych wrogów. Prot może zawsze zostać drukarzem, ale nie zawsze zdolność typograficzna łączy się ze zdatnością handlową, toteż Dawid, który niewiele znał się na interesach, nie wiedział, co odpowiedzieć Wielkiemu Cointet, kiedy ze ściśniętym gardłem i bijącym sercem wyjąkawszy dość lichy swoje usprawiedliwienia i prośby, otrzymał tę odpowiedź:

– To nas zupełnie nie dotyczy, otrzymaliśmy weksel od pana Métivier. Métivier zapłaci. Zwróć się pan do pana Métivier.

– Och – rzekła Ewa dowiadując się o tej odpowiedzi – z chwilą gdy weksel wraca do Métiviera, możemy być spokojni.

Nazajutrz Wiktor Anioł Hermenegildiusz Doublon, komornik firmy Cointet, doręczył protest o godzinie drugiej, w porze, gdy plac du Mûrier pełen jest ludzi; mimo dyskrecji, z

jaką wdał się w drzwiach w rozmówkę z Maryną i Kolbem, protest był przed wieczorem wiadomy całemu kupieckiemu Angoulême. Zresztą osądźcie, czyliż obłudne formy imię pana Doublon, któremu Wielki Cointet zalecił największe względy, mogły ocalić Ewę i Dawida od hańby niewypłacalności? Tutaj rozwlekłość nawet wyda się zbyt krótką. Dziewięćdziesięciu czytelników na stu będzie smakować następujące szczegóły jak najbardziej pobudzającą nowość. Tak więc jeszcze raz zostanie stwierdzona prawda tego pewnika: Nie ma nic mniej znanego jak to, co cały świat znać winien, to jest prawo!

Z pewnością dla ogromnej większości Francuzów mechanizm jednego z kółek operacji bankowych, dobrze opisany, będzie interesujący jak rozdział z podróży po cudzoziemskich krajach. Kiedy kupiec jakiś przesyła z miasta, gdzie ma przedsiębiorstwo, weksel osobie mieszkającej w innym mieście, jak to rzekomo uczynił Dawid, aby wygodzić Lucjanowi, zmienia operację, tak prostą przy podpisaniu weksla między kupcami w jednym mieście dla celów handlowych, w coś podobnego do przekazu bankowego. Dlatego, przyjąwszy trzy weksle Lucjana, Métivier, chcąc uzyskać należną kwotę, musiał je przesłać firmie braci Cointet, swoich korespondentów. Stąd pierwsza strata dla Lucjana, określona nazwą komisowego za zmianę miejsca, a wyrażająca się w tyłu a tyłu od sta strąconych na każdym wekslu, prócz eskontu. Akcepty Sécharda przeszły tedy do kategorii negocjacji bankowych. Nie uwierzylibyście, do jakiego stopnia charakter bankiera, połączony z dostojnym tytułem wierzyciela, zmienia położenie dłużnika. Zatem, w bankowości (zrozumcie dobrze to wyrażenie!), z chwilą gdy papier przesłany z rynku paryskiego na rynek Angoulême nie zostanie wykupiony, bankierzy obowiązani są wobec samych siebie zaaplikować to, co nazywa się rachunkiem zwrotnym. I nigdy zaiste romansopisarze nie wymyślili bardziej fantastycznej historii, oto bowiem pomysłowe koncepty *à la Mascarille*⁴, jakim sprzyja pewien paragraf kodeksu handlowego, a których wytłumaczenie pokaże wam, ile okropności kryje się pod tym strasznym słowem: legalność!

Z chwilą gdy imię Doublon zarejestrował protest, przyniósł go sam panom Cointet. Woźny miał stały rachunek z tymi drapieżcami z Angoulême i udzielał im półrocznego kredytu, który Wielki Cointet przeciągał do roku przez sposób, w jaki się wypłacał, natracając z miesiąca na miesiąc tej wicehienie: „Cóż, Doublon, trzeba ci pieniędzy?” To nie wszystko jeszcze! Doublon dawał pewien opust tej potężnej firmie, która dzięki temu zarabiała coś na każdym akcie, drobnostkę, nędzę, jakieś półtora franka na proteście!... Wielki Cointet siadł spokojnie do biurka, wziął arkusik stemplowego papieru za trzydzieści pięć centymów, rozmawiając wśród tego z Doublonem w ten sposób, aby zeń wydobyć informacje o istotnym stanie rozmaitych firm.

- I cóż, kontent jesteś z młodego Gannerac?
- Niezgorzej. Ba, interes przewozowy...
- Hm, fakt jest, że płaci ciężko. Mówiono mi, że żona dużo go kosztuje...
- Jego?... – wykrzyknął Doublon ironicznym tonem.

Bonifacy Cointet, który skończył właśnie liniować papier, wypisał rondem złowieszczy tytuł, pod którym umieścił następujący rachunek (sic!):

Rachunek zwrotny i koszty

Za akcept opiewający na tysiąc franków, datowany w Angoulême dnia 10 lutego 1822, podpisany przez Sécharda–syna na zlecenie Lucjana Chardon, mieniaćcego się de Rubempré, ponownie na zlecenie pana Métivier i na nasze zlecenie, płatny 30 kwietnia, zaprotestowany przez pana Doublon, komornika, dnia pierwszego maja 1822.

Kwota – 1000 fr.

Protest – 12 fr. 35 c.

Prowizja po pół od sta – 5 fr.

⁴ Mascarille (Maskaryl) – w dawnej komedii francuskiej typ wesołego, bezczelnego lokaja.

Kurtaż ćwierć od sta – 2 fr. 50 c.
Stemple niniejszego rachunku i reeskontu – 1 fr. 35 c.
Koszty i opłata pocztowa – 3fr.
Razem – 1024 fr. 20 c.
Zmiana miejsca 1 1/4 % od 1024,20 – 13 fr. 25 c.
Razem – 1037 fr. 45 c.

Tysiąc trzydzieści siedem franków, czterdzieści pięć centymów, którą to sumę wpisujemy na nasze dobro w rachunku pana Métivier, ul. Serpente w Paryżu, na zlecenie pana Gannerac z Houmeau.

Angoulême, 2 maja 1822

Bracia Cointet

U dołu tego rachunku, sporządzonego z wprawą praktyka, Wielki Cointet, nie przerywając rozmowy z Doublonem, wypisał następującą deklarację:

My, podpisani, Postel, właściciel apteki w Houmeau, i Gannerac, właściciel firmy przewożowej, kupcy tutejsi, stwierdzamy, iż różnica kursu między naszym rynkiem a Paryżem wynosi jeden i ćwierć od sta.

Angoulême, 3 maja 1822

– Masz, Doublon, bądź pan taki uprzejmy udać się do panów Postel i Gannerac i poprosić o podpisanie tej deklaracji; odniesiesz mi ją jutro rano.

I Doublon, oswojony z tymi narzędziami tortury, poszedł, jak gdyby chodziło o rzecz najprostsza w świecie. Oczywiście, gdyby nawet protest doręczono Dawidowi, jak robi się w Paryżu, w kopercie, całe Angoulême wiedziałyby o nieszczęśliwym stanie interesów tego biednego Sécharda. Iluż komentarzy stała się już przedmiotem apatia wynalazcy! Jedni twierdzili, iż zgubiła go nadmierna miłość do żony; drudzy obwiniali go o zbyt przywiązanie do szwagra. I jakież potworne konkluzje każdy wyciągał skwapliwie z tych przesłanek! Nie powinno się nigdy być uczynnym dla swych bliskich. Pochwalono nieludzkość ojca Séchard, ba, podziwiano ją!

A teraz wy wszyscy, którzy z jakich bądź przyczyn zaniedbujecie uczynić zadość swoim zobowiązaniom, przyjrzyjcie się dobrze na wskroś legalnym procederom, za pomocą których, w bankowym obyczaju, w dziesięć minut przysparza się procent dwudziestu ośmiu franków od tysiąca.

Pierwszy punkt tego rachunku zwrotnego jest w nim jedyną rzeczą bezsporną.

Drugi punkt zawiera należność skarbu państwa i woźnego. Sześć franków, jakie pobiera administracja, rejestrując zgryzotę dłużnika i dostarczając stemplowego papieru, będą długi czas jeszcze podtrzymywały to nadużycie! Wiecie zresztą, że ten punkt daje zysk półtora franka bankierowi, dzięki opustowi, jaki czyni mu Doublon.

Prowizja półtora od sta, przedmiot trzeciego punktu, jest brana pod tym przemyślnym pretekstem, iż nie otrzymać zapłaty znaczy dla bankiera tyle, co eskontować weksel. Mimo iż rzecz ma się zupełnie przeciwnie, nie ma nic podobniejszego niż dać tysiąc franków, a nie otrzymać ich. Ktokolwiek przedstawiał weksle do eskontu, wie, że prócz sześciu od sta, należnych legalnie, eskonter ściąga, pod skromną nazwą prowizji, tyle a tyle od sta; jest to procent, który pobiera, ponad stopę prawną, od talentu, z jakim umie obracać swymi kapitałami. Im więcej może wycisnąć, tym więcej żąda. Toteż najlepiej eskontować u prostaczków, to wypada taniej. Ale czyż w kwestii eskontu istnieją prostaczkowie?...

Prawo zobowiązuje bankiera do tego, aby potwierdził przez agenta giełdowego stopę zmiany rynku. W miastach boleśnie upośledzonych brakiem giełdy, agenta zastępuje dwóch kupców.

Prowizja, zwana kurtażem, należna agentowi ustalona jest na ćwierć od sta sumy wyrażonej w proteście. Weszło w zwyczaj liczyć tę prowizję jako daną kupcom, którzy zastępują agenta; w istocie zaś bankier chowa ją po prostu do kieszeni. Stąd trzeci artykuł tego uroczego rachunku.

Czwarty artykuł zawiera koszt stemplowego papieru, na którym zredagowany jest rachunek zwrotny, i koszt stempla na dokumencie nazwanym tak przemyślnie reeskontem, to znaczy nowego weksla wystawionego przez bankiera na zlecenie kolegi, w celu uzyskania pokrycia.

Piąty artykuł obejmuje porto listów i prawne procenty sumy za cały czas, przez który mogło jej brakować w kasie bankiera.

Wreszcie zmiana rynku, istotny przedmiot operacji bankowej, wynosi koszt przekazania zapłaty z jednego miejsca na drugie.

Obecnie weźcie pod lupę ten rachunek, gdzie, wedle dodawania Poliszynela w neapolitańskiej piosence tak dobrze odtwarzanej przez Lablache'a, piętnaście i pięć czynią dwadzieścia dwa! Oczywiście, podpis panów Postel i Gannerac był rzeczą uprzejmości; Cointetowie poświadczyliby dla Ganneraka to, co Gannerac poświadczal dla Cointetów. Jest to praktyczne zastosowanie znanego przysłowia: „Dziś ty mnie, jutro ja tobie”. Panowie Cointet, mając rachunki bieżące z Métivierem, nie potrzebowali wystawiać nowego akceptu. W tym stosunku, zwrócony akcept stanowi po prostu jeden wiersz więcej w koncie „ma” lub „winien”.

Ten fantastyczny rachunek w rzeczywistości ograniczał się tedy do dłużnych tysiąca franków, do protestu w cenie trzynastu franków i do pół od sta procentu za miesiąc opóźnienia, razem może tysiąc osiemnaście franków.

Jeżeli duży dom bankowy ma co dzień, w przecięciu, rachunek zwrotny od sumy tysiąca franków, zgarnie codziennie dwadzieścia osiem franków dzięki łasce bożej i konstytucjom bankowości, potężnego mocarstwa wymyślonego przez Żydów w XII wieku, które dziś włada nad tronami i narodami. Innymi słowy, tysiąc franków przynosi wówczas temu domowi 28 franków dziennie, czyli 10 220 franków rocznie. Potrójcie przeciętną rachunków zwrotnych, a Ujrzycie dochód 30 000 franków, dawany przez fikcyjne kapitały. Dlatego też nie ma rzeczy miłośniejszej pielęgnowanej niż rachunki zwrotne. Dawid Séchard mógłby się zgłosić do wykupienia swego podpisu 3 maja albo nazajutrz po proteście, a bracia Cointet powiedzieliby mu: „Zwróciliśmy pański weksel panu Métivier!”, chociażby weksel leżał jeszcze na ich biurku. Rachunek zwrotny wchodzi w życie tego samego dnia, tuż po proteście. To się nazywa w prowincjonalnej gwarze bankowej: dawać talarom na poty. Samo porto przynosi jakie dwadzieścia tysięcy franków domowi Kellerów, który jest w stosunkach z całym światem, rachunki zwrotne zaś opłacają łożę we włoskiej operze, powóz i toalety baronowej de Nucingen. Owo porto jest nadużyciem tym okropniejszym, że bankierzy załatwiają dziesięć podobnych spraw w dziesięciu wierszach listu. Rzecz dziwna! Państwo ma swój udział w tej premii wydzieranej nieszczęściu, a skarb tuczy się niejako katastrofami handlowymi. Co się tyczy banku, rzuca on dłużnikowi z wyżyny swych kantorów to pełne rozsądku słowo: „Dlaczego nie wypłacił się pan w terminie?”, na które, nieszczęściem, nie można nic odpowiedzieć. Rachunek zwrotny tedy to bajka pełna straszliwych urojeń, wobec której dłużnicy, zastanowiwszy się nad tą pouczającą stronicą, będą odtąd doświadczać zbawiennej grozy.

4 maja Métivier otrzymał od braci Cointet rachunek zwrotny wraz ze zleceniem podjęcia w Paryżu wszelkich kroków przeciw panu Lucjanowi Chardon, mieniącemu się de Rubempré.

Za kilka dni Ewa otrzymała, jako odpowiedź na list do pana Métivier, następujące wyjaśnienie, które uspokoiło ją zupełnie:

Do Pana Séchard–syna, drukarza w Angoulême.

Otrzymałem w prawidłowym czasie Pańskie szacowne pismo z 5 b.m. Zrozumiałem z Pańskich wyjaśnień odnośnie do niezapłaconego akceptu z 30 b.m., że wygodziłeś Pan szwagrowi, panu de Rubempré. Młody ten człowiek wydaje dość pieniędzy, zmusić go tedy do zapłaty

znaczy wyświadczyć Panu przysługę: jest on w sytuacji pozwalającej mniemać, iż nie dopuści do ostatecznych kroków. Gdyby Pański szanowny szwagier nie zapłacił, odwołam się do, rzetelności Pańskiej starej firmy i pozostaje, jak zawsze, oddanym sługą – Métivier.

– Więc dobrze – rzekła Ewa do Dawida – Lucjan zrozumie z tego pościgu, że nie mogliśmy zapłacić.

Jakiegoż przeobrażenia świadectwem było to powiedzenie Ewy! Rosnąca miłość, jaką budził w niej charakter Dawida, w miarę jak go poznawała coraz lepiej, zajmowała w jej sercu miejsce miłości do brata. Ale z ilu złudzeniami trzeba jej było się rozstać!

Przyjrzyjmy się obecnie całej drodze, jaką rachunek zwrotny odbywa na rynku paryskim. Osoba trzecia będąca w posiadaniu – nazwa handlowa tego, który posiada weksel drogą przelania – może, wedle terminu prawa, ścigać jedynie tego z szeregu dłużników, który przedstawia widoki najrychlejszego pokrycia. Na podstawie tego przywileju Lucjan stał się przedmiotem kroków komornika, pana Métivier. Oto fazy tej akcji, zupełnie zresztą bezużytecznej. Métivier, za którym kryli się Cointetowie, znał niewypłacalność Lucjana, ale, ciągle w duchu prawa, niewypłacalność faktyczna istnieje prawnie dopiero wówczas, kiedy została stwierdzona.

Stwierdzono tedy niemożebność uzyskania od Lucjana pokrycia w sposób następujący:

Komornik firmy Métivier przedłożył dnia 5 maja rachunek zwrotny i protest angulemski Lucjanowi, pozywając go przed paryski trybunał handlowy, iżby tam wysłuchał mnóstwa rzeczy, między innymi, że zostanie skazany na więzienie, w charakterze kupca. Kiedy w jakiejś chwili swego gorączkowego życia Lucjan odczytał te gryzmoły, otrzymał już zawiadomienie o wyroku zyskanym przeciw niemu zaocznie. Koralia, nie wiedząc, o co chodzi, myślała, że Lucjan zaręczył za szwagra; oddała mu wszystkie akta razem, zbyt późno. Aktorka za często widzi w wodewilach aktorów w roli komorników, aby brać poważnie pozew.

Lucjan miał łzy w oczach, rozczulił się nad Séchardem, zawstydził się swego fałszerstwa, chciał zapłacić. Oczywiście poradził się przyjaciół, co czynić, aby zyskać na czasie. Ale kiedy Lousteau, Blondet, Bixiou, Natan pouczyli Lucjana o tym, jak mało groźną instancją dla poety jest trybunał handlowy, jurysdykcja dla sklepikarzy, poeta znajdował się już pod grozą zajęcia. Ujrzał na drzwiach owe żółte ogłoszenie, od którego portiery pełzną i blakną, które posiada porażające własności dla wszelkiego kredytu, wnosi postrach w serca najdrobniejszych dostawców, a zwłaszcza ścina krew w żyłach poetów, dość czułych, aby się przywiązać do tych kawałków drzewa, tych łąchów jedwabiu, tych płacht kolorowej wełny, słowem błahostek, które nazywamy „urządzeniem”.

Kiedy ludzie zjawili się, aby wynosić meble Koralii, autor „Stokroci” pobiegł do przyjaciela młodych cyganów, adwokata Desroches, który zaczął się śmiać, widząc Lucjana w przeobrażeniu dla takiej drobnostki.

– To nic, mój drogi... Chcesz zyskać na czasie?

– Ile tylko się da!

– Więc dobrze, załóż sprzeciw. Zgłoś się do jednego z moich przyjaciół, pana Masson, obrońcy handlowego, zanieś mu dokumenty, wniesie sprzeciw, stanie za ciebie i uchyli kompetencję trybunału. To nie przedstawia najmniejszych trudności, jesteś dziennikarzem dość znanym. O ile cię pozwą przed trybunał cywilny, zgłoś się do mnie, to już moja rzecz: zobowiązuję się wystrychnąć na dudka tych, co chcą dokuczać pięknej Koralii.

28 maja Lucjan, pozwany przed trybunał cywilny, został skazany rychlej, niż myślał Desroches, ścigano go bowiem z całym rygorem praw. Kiedy dokonano nowego zajęcia, kiedy żółta kartka ponownie ozdobiła pilastry i kiedy chciano zabierać mebla, Desroches, nieco zawstydzony, iż dał się „wykiwać” koledze (to jego wyrażenie), założył sprzeciw, utrzymując, słusznie zresztą, że meble są własnością panny Koralii; wygotował rekurs. Na podstawie rekursu prezydent trybunału odesłał strony do rozprawy, na której własność mebli przyznano

sądownie aktoyce. Métiviera, który apelował od wyroku, oddalono nowym wyrokiem z dnia 30 lipca.

7 sierpnia Cachan otrzymał pocztą olbrzymi plik aktów zatytułowany:

Métivier przeciw Séchardowi i Lucjanowi Chardon

Pierwszy akt przedstawiał następujący śliczny rachunek, o gwarantowanej autentyczności, ponieważ jest wprost skopiowany:

Akcept z d. 30 kwietnia br. wystawiony przez Sécharda–syna na zlecenie Lucjana de Rubempré.

(2 maja) Rachunek zwrotny – 1037 fr. 45 c.

(5 maja) Doniesienie o rachunku zwrotnym i proteście wraz z pozwaniem przed trybunał handlowy miasta Paryża na 7 maja – 8 fr. 75 c.

(7 maja) Rozprawa, wyrok zaoczny z przymusem pozbawienia wolności – 35 fr.

(10 maja) Doręczenie wyroku – 8 fr. 50 c.

(12 maja) Nakaz zajęcia – 5 fr. 50 c.

(14 maja) Protokół zajęcia – 16 fr.

(18 maja) Protokół przyłożenia pieczęci – 15 fr. 25 c.

(19 maja) Ogłoszenie w dzienniku sądowym – 4 fr.

(24 maja) Protokół zeznań świadków, spisany przed sprzedażą ruchomości i zawierający sprzeciw imć pana Lucjana de Rubempré – 12 fr.

(27 maja) Wyrok trybunału, który, w uwzględnieniu przytoczonych okoliczności, odsyła, na podstawie prawnie uzasadnionego sprzeciwu, strony przed trybunał cywilny – 35 fr.

(28 maja) Powołanie w krótkiej drodze przez pana Métivier przed trybunał cywilny z ustanowieniem zastępcy prawnego – 6 fr. 50 c.

(2 Czerwca) Wyrok wydany w obecności strony, skazujący Lucjana Chardon na zapłacenie w całości rachunku zwrotnego, obciążający zaś powoda kosztami sprawy przed trybunałem handlowym – 150 fr.

(6 czerwca) Zawiadomienie o tymże – 10 fr.

(15 czerwca) Nakaz zajęcia – 5 fr. 50 c.

(19 czerwca) Protokół poprzedzający zajęcie i zawierający sprzeciw odnośnie do tegoż wniesiony przez pannę Koralie, która utrzymuje, iż ruchomości należą do niej, i żąda natychmiastowego przesłuchania w razie nieuwzględnienia – 20 fr.

Nakaz prezydenta trybunału, który naznacza rozprawę celem przesłuchania strony odnośnie do tej okoliczności – 40 fr.

(19 czerwca) Wyrok, który przyznaje własność ruchomości rzecznej panie Koralii – 250 fr.

(20 czerwca) Apelacja Métiviera – 17 fr.

(30 czerwca) Ostateczne zatwierdzenie wyroku – 250 fr.

Razem – 889 fr.

Weksel z 30 czerwca, rachunek zwrotny 1037 fr. 45 c.

Doręczenie panu Lucjanowi Chardon – 8 fr. 75 c.

Razem – 1046 fr. 20 c.

Aktom tym towarzyszył list, w którym Métivier dawał panu Cachan, swemu zastępcy prawnemu w Angoulême, zlecenie ścigania Dawida Séchard za pomocą wszelkich prawnych środków. Imć Wiktor Anioł Hermenegildiusz Doublon pozwał tedy dnia 3 lipca Dawida Séchard przed trybunał handlowy w Angoulême o zapłacenie łącznej sumy czterech tysięcy osiemnastu franków osiemdziesięciu pięciu centymów, t j. wysokości trzech weksli i już narosłych kosztów. W dniu, w którym Doublon miał przedłożyć nakaz zapłacenia tej olbrzymiej dla Séchardów sumy, Ewa otrzymała rano piorunujący list, skreślony przez Métiviera.

Do Pana Séchard–syna, drukarza w Angoulême

Pański szwagier, p. Chardon, jest człowiekiem oczywistej złej wiary; w odpowiedzi na mój pozew zgłosił ruchomości swoje pod nazwiskiem aktorki, z którą żyje. Powinien był mnie Wny Pan przedzić lojalnie o tych okolicznościach, aby mnie nie narażać daremnie na kroki są-

y Pan uprzedzić lojalnie o tych okolicznościach, aby mnie nie narażać daremnie na kroki sądowe; nie odpowiedział bowiem W-ny Pan na mój list z 10 maja br. Niech mi Pan tedy nie bierze za złe, że zażądam natychmiastowego wyrównania trzech akceptów wraz ze wszystkimi kosztami. Z poważaniem – Métivier.

Nie słysząc od dawna o niczym, Ewa, mało uczona w prawie handlowym, mniemała, iż brat naprawił zbrodnię wykupując podrobione akcepty.

– Dawidzie – rzekła do męża – biegnij przede wszystkim do Petit-Clauda, wytłumacz mu nasze położenie i poradź się go.

– Mój drogi – rzekł biedny drukarz wchodząc do kancelarii kolegi, do którego udał się spiesźnie – kiedy przyszedłeś mi oznajmić o swym mianowaniu i ofiarować usługi, nie wiedziałem, że tak szybko będę ich potrzebował.

Skoro Dawid usiadł w fotelu naprzeciw adwokata, Petit-Claud zagłębił się w pięknej twarzy myśliciela, nie słuchał bowiem szczegółów sprawy, którą znał lepiej niż ten, który mu je wykladał. Od pierwszej chwili, widząc zaniepokojone oblicze Sécharda, pomyślał: „Udało się”.

Tego rodzaju scena rozgrywa się dość często w kancelariach adwokackich,

„Czemu Cointetowie go przesładują?...” – zapytywał sam siebie Petit-Claud.

Jest w naturze adwokatów chęć przeniknięcia równie dobrze duszy swoich klientów, co przeciwników; trzeba im znać jednak dobrze podszewkę, jak wierzch tkaniny sądowej.

– Chcesz zyskać na czasie – odparł wreszcie Petit-Claud, kiedy Séchard skończył. – Ile ci trzeba? Jakieś trzy, cztery miesiące?

– Och, cztery miesiące! Jestem ocalony! – wykrzyknął Dawid, któremu Petit-Claud wydał się aniołem.

— Więc dobrze, nie tkną ci ani jednego mebla i nie będą mogli uwięzić cię przed trzema lub czterema miesiącami... Ale będzie cię to kosztowało drogo – rzekł Petit-Claud.

– Ech, to drobnostka! – wykrzyknął Séchard.

– Spodziewasz się jakichś wpływów, czy jesteś ich pewny?... – spytał adwokat, prawie zdumiony łatwością, z jaką klient wchodzi w jego machinację.

– Za trzy miesiące będę bogaty – odparł wynalazca z pewnością wynalazcy.

– Twój ojciec jeszcze nie patrzy na księżą oborę – rzekł Petit-Claud – woli bezpieczne schronienie w chłodnej piwniczce.

– Alboż ja liczę na śmierć ojca?... – odparł Dawid. – Jestem na tropie sekretu, który pozwoli mi wyrabiać bez żdźbła bawełny papier równie trwały jak holenderski, a o pięćdziesiąt procent tańszy...

– To majątek! – wykrzyknął Petit-Claud, który zrozumiał Cointeta.

– Wielki majątek, przyjacielu; za dziesięć lat trzeba będzie dziesięć razy więcej papieru, niż go się zużywa obecnie. Dziennikarstwo będzie szaleństwem naszych czasów.

– Nikt nie zna tego sekretu?

– Nikt prócz żony.

– Nie zwierzałeś swego projektu, swoich planów komukolwiek... Cointetom, na przykład?

– Wspominałem coś, ale tylko ogólnie, jak sądzę.

– Błysk szlachetności przebiegł w przepojonej żółcią duszy Petit-Clauda, który zapragnął wszystko pogodzić: interes Cointetów, swój i Sécharda.

– Słuchaj, Dawidzie, jesteśmy koledzy ze szkół, będę cię bronił; ale wiedz dobrze, ta obrona na wspaniałym prawie będzie cię kosztowała pięć do sześciu tysięcy!... Nie narażaj swojego mienia. Sądzę, że będziesz zmuszony podzielić korzyści wynalazku z którymś z naszych fabrykantów. Zastanów się, sporo wody upłynie, nim zdołasz kupić albo zbudować papiernię; trzeba ci będzie zresztą opatentować wynalazek... Wszystko to wymaga czasu i pieniędzy. Komornicy rzucają się na ciebie może za wcześnie, mimo sztuczek, jakimi spróbujemy się bronić...

– Mam swoją tajemnicę – rzekł Dawid z naiwnością uczonego.

– A zatem tajemnica twoja będzie twą deską zbawienia – odparł Petit-Claud, odtrącony w pierwotnej i lojalnej intencji uniknięcia procesu za pomocą układu – nie chcę jej znać; ale posłuchaj mnie dobrze: skryj się ze swoją pracą gdzieś pod ziemię, niech cię nikt nie widzi i nie może podejrzewać środków wykonania, inaczej deskę twoją wykradną ci spod nóg... Wynalazca bywa niekiedy bardzo naiwny! Nadto myślisz o swoich sekretach, aby móc myśleć o wszystkim. W końcu zaczną się domyślać celu twoich poszukiwań, otoczony jesteś fabrykantem! Ilu fabrykantów, tylu wrogów! Wydajesz mi się niby gronostaj wśród strzelców, baczcie, abys im nie oddał skóry...

–Dziękuję, drogi kolego, sam sobie powtarzałem to wszystko – wykrzyknął Séchard – ale wdzięczny ci jestem, iż okazujesz mi tyle przezorności i troski... Nie o mnie chodzi w tym przedsięwzięciu. Mnie tysiąc dwieście franków rocznie starczyłoby w zupełności, ojciec zaś zostawi mi kiedyś co najmniej trzy razy tyle... Żyję miłością i myślą! Boskie życie... Chodzi o Lucjana i o żonę, dla nich pracuję...

– Dobrze więc, podpisz to pełnomocnictwo i nie zaprzataj się już niczym prócz swego wynalazku. W chwili gdy trzeba będzie ukryć się przed dekretem uwięzienia, uprzedzę cię w wilię, należy wszystko przewidywać. I przyjm ode mnie radę, abys nie pozwolił wchodzić w swój próg nikomu, kogo nie jesteś pewien jak samego siebie.

– Cérizet nie zgodził się odnowić dzierżawy, stąd te drobne kłopoty pieniężne. Zostaje przeto w domu jedynie Maryna, Kolb – Alzatczyk przywiązany do mnie jak pies – żona moja i teściowa...

– Słuchaj – rzekł Petit-Claud – nie trzeba ufać i psu...

– Nie znasz go! – wykrzyknął Dawid. – Kolb to drugi ja.

– Godzisz się, abym go wziął na próbę?

– Dobrze – rzekł Séchard.

– Zatem do widzenia; racz powiedzieć pięknej pani Séchard, aby się potrudziła do mnie; pełnomocnictwo żony jest nieodzowne. I, mój drogi, nie zapominaj, że dach pali ci się nad głową – rzekł Petit-Claud, uprzedzając w ten sposób Dawida o wszystkich nieszczęściach prawnych, jakie miały się zwać na niego.

„Jestem tedy jedną nogą w Burgundii, a drugą w Szampanii” – rzekł do siebie Petit-Claud odprowadzając przyjaciela swego Dawida do drzwi kancelarii.

Dręczony kłopotami, jakie przynosi z sobą brak pieniędzy, zgryzotami, jakie mu sprawiał stan żony, podciętej haniebnym postępkim Lucjana, Dawid szukał ciągle rozwiązania swego problemu; otóż, udając się do Petit-Clauda, żuł po drodze, przez roztargnienie, w ustach łydygę pokrzywy, którą włożył był do wody, aby dojść do jakiegoś sposobu moczenia łydyg przeznaczonych na materiał do wyrobu masy. Idąc przez ulicę, dosyć zadowolony z konferencji, znalazł w zębach kulkę miazgi, wziął ją na rękę, rozplaszczył i ujrzał masę doskonałą od wszystkich swych dotychczasowych kompozycji; główną bowiem ujemną stroną miazgi roślinnej jest brak spójności. Słoma, na przykład, daje papier łamiący się, jakby metaliczny i dźwięczny. Przypadki takie wchodzi w rękę jedynie śmiałym poszukiwaczem naturalnych przyczyn!

„Trzeba mi teraz – rzekł sobie – operację, której dokonałem w tej chwili bezwiednie, zastąpić działaniem maszyny i czynnika chemicznego”.

Stanął przed żoną w upojeniu wiary i triumfu.

– Och, mój aniele, bądź bez obawy! – rzekł Dawid widząc, że żona płakała. – Petit-Claud ręczy nam za spokój na kilka miesięcy. Wynikną z tego koszty, ale ostatecznie, jak powiedział mi na rozstaniu: „Każdy obywatel ma prawo kazać czekać wierzycielowi, byle w końcu zapłacił kapitał, procenty i koszty!... Więc dobrze, zapłacimy”.

– A żyć? – rzekła biedna Ewa, która myślała o wszystkim.

– Och, to prawda! – odparł Dawid podnosząc rękę do ucha owym nieokreślonym ruchem, wspólnym prawie wszystkim ludziom w zakłopotaniu.

– Matka będzie pilnować Lucusia, a ja mogę zacząć pracować – rzekła.

– Ewo! O moja Ewo! – rzekł Dawid obejmując żonę i tuląc ją do serca. – Ewo, dwa kroki stąd; w Saintes, w XVI wieku, jeden z największych Francuzów – nie tylko bowiem był wynalazcą emalii, był również chlubnym poprzednikiem Buffona, Cuviera; tak, wynalazł geologię przed nimi, ów dobroduszny człeczyna! – Bernard Palissy, nękanym był namiętnością szukania tajemnic; ale miał żonę, dzieci, całą dzielnicę przeciw sobie. Żona sprzedała mu narzędzia... Błądził po wsiach, nie zrozumiany, ścigany, wytykany palcem!... Ale ja jestem kochany...

– Mocno kochany! – odparła Ewa ze spokojnym wyrazem miłości, która jest pewna samej siebie.

– Można ścierpieć wówczas to, co wycierpiał ów biedny Bernard Palissy, twórca ekueńskich fajansów, którego Karol IX oszczędził w noc św. Bartłomieja i który w końcu, w obliczu Europy, stary, bogaty i szanowany, wygłaszał swoje publiczne wykłady o nauce ziemnej, jak ją nazywał.

– Póki moje ręce będą miały siłę utrzymać żelazko, nie będzie ci zbywać na niczym! – wykrzyknęła biedna kobieta z akcentem najgłębszego poświęcenia. – Gdy byłam starszą pracownicą u pani Prieur, zaprzyjaźniłam się z młodą panią bardzo ząną, krewną Postela, Brygidą Clerget; otóż Brygida oznajmiła mi, odnosząc bieliznę, że obejmuje zakład po pani Prieur; pójdę pracować u niej...

– Och! Nie będziesz pracowała długo! – odparł Séchard. – Znalazłem...

Pierwszy raz szczytna wiara w zwycięstwo, która podtrzymuje wynalazców i daje im odwagę, aby iść naprzód w dziewicze lasy odkryć, wywołała u Ewy uśmiech niemal smutny, pod którym Dawid opuścił głowę posępnym ruchem.

– Och, najdroższy, ja nie drwię sobie, ja się nie śmieję, nie wątpię! – wykrzyknęła piękna Ewa klękając przed mężem. – Ale widzę, jak słusznie postępowałeś zachowując najgłębsze milczenie o swoich próbach, nadziejach. Tak, najdroższy, wynalazcy powinni skrywać uciążliwe rodzenie swej chwały; powinni je ukrywać całemu światu, nawet własnej żonie!... Kobieta jest zawsze kobietą. Twoja Ewa nie mogła się wstrzymać od uśmiechu słysząc, jak mówisz: „Znalazłem!...” siedemnasty raz w ciągu miesiąca.

Dawid zaczął się śmiać tak szczerze z samego siebie, że Ewa wzięła go za rękę i ucałowała ją ze czcią. Była to rozkoszna chwila, jedna z owych róż ukochania i tkliwości, jakie kwitną na skraju najbardziej wyschłych dróg nędzy, niekiedy na dnie przepaści.

Ewa zdwoiła męstwo, widząc, jak nieszczęście podwaja swą furję. Wielkość męża, naiwność wynalazcy, łzy, jakie podchwyciła nieraz w oczach tego człowieka serca i poezji, wszystko rozwinęło w niej niesłychaną siłę oporu. Szukała jeszcze raz ratunku w sposobie, który się jej tak powiódł. Napisała do Métiviera, aby ogłosił sprzedaż drukarni, ofiarując się spłacić go z uzyskanej sumy i błagając, by nie rujnował Dawida niepotrzebnymi kosztami. Wobec tego sprytnego listu Métivier przytulił się; dysponent odpowiedział, iż w nieobecności pana Métiviera nie może na własną rękę wstrzymać pościgu, ponieważ nie jest to obyczajem jego pryncypała. Ewa ofiarowała odnowienie weksli z poniesieniem wszystkich kosztów, na co dysponent przystał, byle ojciec Dawida zgodził się dać gwarancję lub pokrycie. Wówczas Ewa udała się pieszo do Marsac w towarzystwie matki i Kolba. Wzięła w obroty starego winiarza; była uroczą, zdołała rozchmurzyć tą wyschlą fizjonomię, ale kiedy z bijącym sercem wspomniała o gwarancji, ujrzała nagłą i zupełną zmianę na twarzy opoja.

– Gdybym tylko pozwolił synowi, aby przyłożył mi rękę do warg, do krajuszka mej kasy, zanurzyłby ją niebawem aż do samych trzewiów i wypróżniłby wszystko! – wykrzyknął. – Dzieci zawsze żerują w sakiewce ojcowskiej. He he! A jakże ja dawałem sobie radę? Nie kosztowałem rodziców ani złamanego szeląga. Drukarnia stoi pustką. Jedyne szczury i my-

szy przychodzą tam drukować... Ty jesteś ładna, lubię cię, jesteś dbała i pracowita; ale syn!... Wiesz, co jest Dawid? Więc ci powiem: uczony nygus. Gdybym go był zostawił, jak mnie zostawiono, nie znającego liter i gdybym zrobił zeń niedźwiedzia, jak jego ojciec, miałby dziś majątek... Och, to mój krzyż, ten chłopiec, moje utrapienie!... I na nieszczęście jednak; nie ma co bowiem myśleć o drugim nakładzie! Wreszcie, ciebie unieszczęśliwia tylko...

Ewa energicznie zaprotestowała gestem.

– Tak – ciągnął odpowiadając na jej gest – musiałaś wziąć mamkę, zgryzota spędziła ci pokarm. Wiem wszystko, daj pokój, wisicie w trybunale, obębniło was po mieście. Ja byłem tylko niedźwiedziem, nie jestem uczony, nie byłem protelem u Didotów, chluby naszego drukarstwa; ale nigdy nie korespondowano ze mną na stemplowym papierze! Wiesz, co sobie mówiłem obchodząc moje wino, pielęgnując je i zbierając, popychając pomału swoje interesy?... Ot, co mówiłem: „Mój biedny stary, zadajesz sobie wiele trudu, ciulasz talar do talara, zostawisz ładny kawał grosza na komorników, na adwokatów albo na chimery, na fantazje...” Ot, moje dziecko, jesteś matką chłoptasia, który, tak mi się widziało, kiedy go trzymałem do chrztu z panią Chardon, ma w miejsce nosa taką samą trufkę jak jego dziadek; otóż słuchaj mnie: myśl nie tyle o mężu, co o tym huncwocie... Mam zaufanie do ciebie... Ty mogłabyś ocalić mój majątek... mój biedny mająteczek...

– Ależ, papusiu, syn będzie twoją chlubą, ujrzysz go pewnego dnia bogatym, bogatym własną pracą, ze wstążeczką legii honorowej na piersi...

– Niby skąd? – spytał winiarz.

– Zobaczy ojciec! Ale nim to nastąpi, czy zrujnowałby cię tysiąc talarów?... Tysiącem talarów mógłbyś wstrzymać pościg... Więc dobrze, jeśli nie masz zaufania do Dawida, pożycz mnie, ja ci oddam, ubezpieczysz je na moim posagu, na mojej pracy...

– Zatem Dawida ścigają? – wykrzyknął winiarz, zdumiony, iż to, co uważał za potwarz, jest prawdą. – Oto co znaczy umieć się podpisać!... A moje czynsze!... O, panienko, trzeba mi w te pędy iść do Angoulême, zabezpieczyć się i pogadać z Cachanem, moim zastępcą... Slicznieś zrobiła, żeś mnie przyszła odwiedzić... Dobrze wiedzieć zawczasu, jak rzeczy stoją...

Po dwugodzinnej walce Ewa musiała odejść, pobita tym niezwykłym argumentem: „Kobiety nie mają pojęcia o interesach”. Przybywszy z nieokreśloną nadzieją, Ewa puściła się z powrotem niemal złamana. Wróciwszy trafiła właśnie na czas, aby otrzymać wyrok skazujący Sécharda na zapłacenie Métivierowi całej sumy. Na prowincji obecność woźnego u drzwi jest sama z siebie wielkim wydarzeniem; ale Doublon zachodził tu od jakiegoś czasu zbyt często, aby sąsiedztwo nie miało o tym gadać. Toteż Ewa nie śmiała wychodzić z domu, obawiała się usłyszeć po drodze szepty.

– Och, bracie, bracie! – wykrzyknęła biedna Ewa przebiegając korytarz i wstępując na schody. – Nie mogłabym ci przebaczyć, chyba w godzinie...

– Ha! – rzekł Séchard, który wyszedł naprzeciw. – Chodziło o to, aby go ratować od samobójstwa.

– Nie mówmy więc już o nim nigdy – odparła łagodnie. – Kobieta, która go wciągnęła w otchłań Paryża, ma ciężką zbrodnię na sumieniu!... A twój ojciec, Dawidzie, jest bardzo niełitościwy!... Cierpmy w milczeniu.

Dyskretne pukanie wstrzymało tkliwe słowa na ustach Dawida; ukazała się Maryna ciągnąc przez pokój wielkiego i zwalistego Kolba.

– Proszę pani – rzekła – oboje, Kolb i ja, widzimy, że państwo są w ciężkim kłopotcie; że zaś mamy razem do kupy tysiąc i sto franków oszczędności, pomyśleliśmy, że nie można by lepiej ich ulokować niż w rękach pani...

– Hum, hum – przytwardził Kolb z zapalem.

– Kolb – wykrzyknął Dawid Séchard – nie rozstaniemy się nigdy! Zanieś tysiąc franków na rachunek do Cachana, adwokata, ale żądaj pokwitowania; zatrzymamy resztę. Kolb, niech

żadna siła ludzka nie wydrze ci słowa o tym, co ja robię, kiedy się wydałam z domu, o tym, co mógłbyś widzieć, że przynoszę z sobą. Kiedy cię poślę, abys nzbierał ziół, wiesz, niech żadne oko ludzkie cię nie ujrzy. Będą starali się, mój dobry Kolb, przekupić cię ofiarując ci tysiące, może dziesiątki tysięcy, abys...

– Szepy mi tafali miliony, nie biznałpym ani zło! A po ja do nie snam, co je rosgaz fojsogofy?

– Zatem wiesz, czego się trzymać, maszeruj i poproś pana Petit–Claud, aby był obecny przy wręczaniu gotówki panu Cachan.

– Tag – rzekł Alzaczek – zbocifam zię gietyż pydż łożyc pokady, szepy mu fykarpofać mortę, demu gausybercie! Nie botopa mi się jeko wadzjada!

– To dobry człowiek, proszę pani – rzekła gruba Maryna – mocny jak wół, a łagodny jak baranek. Szczęśliwa kobieta, która by go dostała za męża! Toć to on wpadł na tę myśl, aby tak umieścić nasze s a z ł u k i! Zacne człeczysko! Żle gada, ale dobrze myśli, i rozumiem go i tak. Wybiera się już iść pracować do obcych, żeby domu nic mię kosztować.

– Chciałoby się zostać bogatym bodaj po to, aby nagrodzić tych dzielnych ludzi – rzekł Séchard spoglądając na żonę.

Ewie zdawało się to zupełnie proste, nie była zdziwiona spotykając duszę na wysokości swojej. Zachowanie jej byłoby wytłumaczyło całą piękność jej charakteru najlepszemu osobnikowi, nawet obojętnemu.

– Będzie pan bogaty, drogi panie, chlebuś już jak w szabaśniku – zawołała Maryna – ojciec kupił nowy folwark, gromadzi dla was, gromadzi ładny mająteczek...

W tych okolicznościach te słowa, powiedziane przez Marynę, aby zmniejszyć poniekąd wartość jej postępu, czyż nie zdradzały już same najwyborniejszej delikatności?

Jak wszystkie rzeczy tego świata, procedura francuska ma swoje błędy; mimo to, jak broń ma dwa ostrza, i ona służy zarówno do obrony, jak do ataku. Prócz tego to w niej jest zabawne, że jeśli dwaj adwokaci porozumieją się (a mogą się porozumieć nie wymieniając ani dwóch słów, rozumieją się za pomocą samych kroków swojej procedury), wówczas proces podobny jest do wojny takiej, jak ją prowadził pierwszy marszałek de Biron, któremu syn poddawał przy oblężeniu Rouen⁵ sposób wzięcia miasta w dwa dni; „Tak ci już pilno – odparł – wrócić do sadzenia kapusty?” Dwaj wodzowie mogą wlec wojnę w nieskończoność, nie doprowadzając do niczego stanowczego i oszczędzając armię wedle metody austriackich generałów, których Rada Nadworna nigdy nie potępia za to, iż chybili jakiej kombinacji, aby pozwolić zjeść w spokoju obiad żołnierzom. Imć Cachan, Petit–Claud i Doublon zachowali się jeszcze lepiej niż generałowie austriaccy, wzorowali się na Austriaku starożytności, na Fabiuszu Kunktatorze.

Petit–Claud, chytry jak muł, rychło zrozumiał wszystkie korzyści swej pozycji. Z chwilą, gdy Cointet gwarantował koszty, adwokat postanowił grać w ciuciubabkę z Cachanem i błysnąć swoim talentem przed oczyma fabrykanta papieru, stwarzając incydenty, które by obciążły Métiviera. Ale nieszczęściem dla chwały tego młodego Figara palestry historyk musi przejść przez teren jego czynów tak, jakby stapał po rozżarzonych węglach. Jeden rachunek kosztów, jak ów paryski, wystarcza z pewnością dla historii współczesnych obyczajów. Naśladujmy tedy styl biuletynów Wielkiej Armii; dla jasności bowiem opowiadania, im szybsze będzie streszczenie czynów i działań Petit–Claude, tym lepszą będzie ta stronica wyłącznie sądownicza.

Pozwany 3 lipca przed trybunał w Angoulême, Dawid nie stawiał się; ósmego doręczono wyrok. Dziesiątego Doublon zakomunikował mu nakaz zajęcia i usiłował w istocie 12 lipca dokonać tegoż zajęcia, któremu sprzeciwił się Petit–Claud pozywając wzajem Métiviera z terminem dwutygodniowym. Ze swej strony Métivierowi wydał się ten czas zbyt długi; od-

⁵ Armand de Gontaut baron de Biron (1524–1592) – marszałek króla Henryka IV, oblegal Rouen w r. 1592, podczas wojny z Ligą, katolickim stronnictwem książąt de Guise.

powiedział nowym pozwem krótkoterminowym i uzyskał dziewiętnastego wyrok, który oddalił Sécharda z jego sprzeciwem. Ten wyrok, doręczony bez zwłoki dwudziestego pierwszego, uprawnił do zajęcia dnia dwudziestego drugiego, nakazu uwięzienia dwudziestego trzeciego i protokołu zajęcia dwudziestego czwartego. Ta gorączka okupacyjna spotkała się z zaporą ze strony Petit–Clauda, który sprzeciwił się zgłaszając apelację. Apelacja ta, ponownie na 15 lipca, ściągnęła Métiviera do Poitiers.

– Dobrze – powiedział sobie Petit–Claud – możemy zostać jakiś czas w tym punkcie.

Z chwilą, gdy raz burza skierowała się na Poitiers, do adwokata trybunału apelacyjnego, któremu Petit–Claud dał instrukcje, dwulicowy ten obrońca pozwał w krótkiej drodze Dawida Séchard, imieniem pani Séchard, o separację majątkową. Wedle wyrażenia trybunału, „przypiłował” sprawę w ten sposób, iż uzyskał wyrok separacji 28 lipca, ogłosił go w „Kurierze Charenty” i zalegalizował po formie. Dnia 1 sierpnia odbyła się w obecności rejenta likwidacja pretensji pani Séchard, która stawiała się wierzycielką męża na drobną sumę dziesięciu tysięcy posagu, jaki rozkochany oblubieniec przyznał jej w kontrakcie ślubnym. Na pokrycie tej pretensji Dawid ustąpił jej ruchomości drukarni oraz prywatnego mieszkania. Ubezpieczwszy w ten sposób mienie małżeństwa, Petit–Claud przeforsował w Poitiers zasadę, na której oparł swą apelację. Wedle niego, Dawid nie był odpowiedzialny za koszty, jakich przyczynił w Paryżu pościg przeciw Lucjanowi de Rubempré, ile że cywilny trybunał departamentu Sekwany w wyroku swoim obciążył nimi Métiviera. Pogląd ten, uznany przez trybunał za słuszny, uświęcono wyrokiem, który zatwierdził pretensje wytoczone przed trybunał handlowy w Angoulême przeciw Dawidowi Séchard, uchylając z nich sumę sześciuset franków z kosztów paryskich, przerzuconych na Métiviera, rozkładając niektóre koszty między strony, zważywszy okoliczności usprawiedliwiające apelację Sécharda. Wyrok ten, doręczony 17 sierpnia Dawidowi Séchard, wyraził się dnia 18 sierpnia w nakazie zapłacenia kapitału, procentów i należnych kosztów; w ślad za nim nastąpił protokół zajęcia 20 sierpnia. Tutaj Petit–Claud założył sprzeciw w imieniu pani Séchard i zażądał wyłączenia ruchomości, jako należących do legalnie separowanej małżonki. Co więcej, Petit–Claud wprowadził na scenę starego Séchard, który stał się jego klientem. Oto w jaki sposób:

Nazajutrz po odwiedzinach synowej stary winiarz udał się do swego zastępcy prawnego, Cachana, aby się go poradzić o zabezpieczenie zaległych czynszów; narażonych na niebezpieczeństwo w katastrofie synowskiej.

– Nie mogę zajmować dla ojca wówczas, gdy ścigam syna, ale idź pan pomówić z Petit–Claudem; to zręczna sztuka, wygodzi panu może lepiej ode mnie.

W trybunale Cachan rzekł do Petit–Clauda:

– Posłałem ci starego Séchard, zajmij za mnie, zrewanżuję się przy sposobności.

Między adwokatami, zarówno na prowincji, jak i w Paryżu, praktykuje się tego rodzaju usługi. Nazajutrz Wielki Cointet odwiedził swego sprzymierzeńca i rzekł:

– Staraj się pan dać szkołę ojcu Séchard! Ten człowiek nigdy nie darowałby synowi, że go kosztował tysiąc franków; uraza ta wysuszy w jego sercu wszelką szlachetną myśl, gdyby nawet zakiełkowała!

– Wracaj pan do swego wina – rzekł Petit–Claud nowemu klientowi – syn pański jest w kłopotach, nie obciążajże go pan swoim wiktem. Wezwę pana, gdy będzie czas.

Zatem w imieniu starego Séchard Petit–Claud wystąpił z twierdzeniem, że prasy, bezprawnie opieczętowane, są, z przeznaczenia swego, nieruchomością, ile że od panowania Ludwika XIV dom służył za drukarnię. Cachan, oburzony imieniem Métiviera, który, natknąwszy się w Paryżu na meble Lucjana należące do Koralii, znajdował znowuż w Angoulême meble Dawida będące własnością żony i ojca (ładne słówka padły w tym duchu na rozprawie!), pozwał ojca i syna, aby obalić tego rodzaju pretensje.

– Chcemy – wykrzyknął – zdemaskować podstępny tych ludzi, którzy ze złej wiary budują najstraszliwsze fortyfikacje; którzy z najniewinniejszych i najjaśniejszych paragrafów kodek-

su robią palisadę dla własnej obrony! I przed czym? Przed zapłatą trzech tysięcy franków! Pobranych gdzie?... W kasie biednego Métiviera. I ktoś śmie jeszcze potępiać eskonterów! W jakich czasach żyjemy!... Czy w końcu, pytam, nie dojdzie do tego, że zacznie się po prostu czerpać w kieszeni sąsiada?... Nie możecie panowie dawać sankcji pretensjom, które wprowadziłyby niemoralność w samo serce wymiaru sprawiedliwości!...

Sąd w Angoulême, wzruszony piękną obroną Cachana, przyznał w obecności stron wyłączną własność mebli jedynie pani Séchard, oddał pretensje ojca i skazał go w krótkiej drodze na zapłacenie czterystu trzydziestu czterech franków sześćdziesięciu pięciu centymów z tytułu kosztów.

– Dobrze tak staremu Séchard – rzekli śmiejąc się adwokaci – chciał dostać się do miodu, niech mu gęba spuchnie!

Dnia 26 sierpnia doręczono wyrok, tak iż 28 sierpnia można było dokonać zajęcia pras i przyborów drukarskich. Przylepiono afisze!... Uzyskano, na prośbę strony, wyrok przyzwalający sprzedaż na miejscu. Zamieszczono ogłoszenie o sprzedaży w dziennikach; Doublon pochlebiał sobie, iż 2 września będzie mógł przystąpić do sprawdzenia inwentarza i sprzedaży. W tej chwili Dawid Séchard, mocą prawomocnego osądu i wyroku niewołącego do zapłaty, całkiem legalnie winien był Métivierowi łączną sumę pięciu tysięcy dwustu siedemdziesięciu pięciu franków dwudziestu pięciu centymów, nie licząc procentów.

Winien był Petit–Cladowi tysiąc dwieście franków, plus honoraria; cyfrę ich, w duchu szlachetnego zaufania doróżkarzy, którzy ostro powieźli gościa, zostawiono jego hojności. Pani Séchard winna była Petit–Cladowi około trzystu pięćdziesięciu franków i honoraria. Ojciec Séchard winien był swoich czterysta trzydzieści cztery franki sześćdziesiąt pięć centymów, Petit–Claud zaś żądał odeń sto talarów honorarium. Tak zatem wszystko łącznie mogło dochodzić do dziesięciu tysięcy. Poza użytecznością tych dokumentów dla cudzoziemskich narodów, które będą mogły oglądać w nich grę artylerii sądowej we Francji, godzi się, aby prawodawca (jeżeli w ogóle prawodawca ma czas na czytanie) poznał, jak daleko może zajść nadużycie procedury. Czy nie powinno by się ukuć małego prawa, które by w pewnych wypadkach zabroniało adwokatowi przekraczać kosztami sumy stanowiącej przedmiot procesu? Czy nie jest pocieszne, aby poddawać półmorgową habendę tym samym formalnościom co milionowe dobra? Dzięki temu bardzo suchemu przedstawieniu wszystkich faz sprawy można zrozumieć znaczenie tych słów: formalność, sprawiedliwość, koszty, o których ogromna większość Francuzów nie ma pojęcia. Oto co się nazywa w gwarze sądowej zapuścić ogień w czyjeś interesy. Czcionki drukarni, ważące pięć tysięcy funtów, warte były, na metal, dwa tysiące franków. Trzy prasy warte były sześćset franków. Resztę sprzedano by jako stare żelastwo i stare drzewo. Urządzenie domu byłoby dało najwyżej tysiąc franków. Zatem z walorów należących do Sécharda–syna i przedstawiających sumę około czterech tysięcy Cachan i Petit–Claud ukuli pretekst do siedmiu tysięcy franków kosztów, nie licząc przyszłości, której kwiat, jak się pokaże, zapowiadał dość piękne owoce. Zaiste, kauzyperdzi Francji i Nawarry, ba, nawet Normandii, wyrażą szacunek i podziw im panu Petit–Cladowi; ale ludzie z sercem czyż nie użyczą łzy sympatii Kolbowi i Marynie?

Podczas tej wojny Kolb, warując na krześle przy drzwiach, o ile Dawid go nie potrzebował, spełniał obowiązki czujnego psa. Odbierał akta sądowe, w czym zresztą dependent Petit–Clauda otaczał go ścisłym nadzorem. Kiedy afisze ogłosiły sprzedaż materiału drukarni, Kolb zdarł je natychmiast i pobiegł na miasto zdzierać je również, krzycząc:

– Łajtagi... trędzidyż dagieko sadzneko dżołfiega! Do zię nasyfa zbrafielifiośdź!

Maryna zarabiała do południa dziesięć su, obracając maszynę w papierni, i pokrywała tym codzienne wydatki. Pani Chardon podjęła bez szemrania nużące obowiązki pielęgniarki i przynosiła córce z końcem każdego tygodnia swój zarobek. Odprawiła już dwie nowenny, dziwiąc się, iż znajduje Boga głuchym na prośby i ślepym na światło ofiarowanych świeczek.

2 września Ewa otrzymała jedyny list, jaki napisał Lucjan od czasu, gdy oznajmił szwagrowi puszczenie w obieg jego trzech weksli, co Dawid ukrył był przed żoną.

– Trzeci list, jaki dostałam od niego od wyjazdu! – rzekła biedna siostra wahając się z rozpieczętowaniem nieszczęsnego papieru.

W tej chwili właśnie dawała pić dziecku; karmiła je z flaszeczki, trzeba było bowiem dla oszczędności oddalić mamkę. Mąż spał: spędziwszy noc na fabrykowaniu papieru, zasnął nad ranem. Można osądzić, w jaki stan, zarówno ją, jak Dawida, którego zbudziła, wprawiło odczytanie następującego listu:

Paryż, 29 sierpnia

Droga siostrzo!

Przed dwoma dniami, o piątej rano, wydała ostatnie tchnienie jedna z najpiękniejszych istot, jedyna kobieta zdolna mnie kochać tak, jak Ty mnie kochasz, jak kochają mnie Dawid i matka, łącząc do uczuć tak bezinteresownych to, czego nie mogą dać matka i siostra: upojenia miłości! Poświęciwszy mi wszystko, może biedna Koralia umarła dla mnie, dla mnie, który w tej chwili nie mam jej za co pogrzebać... Byłaby mnie pocieszyła po zawodach życia; Wy jedni, drogie anioły, możecie mnie pocieszyć po jej śmierci. Ta święta dziewczyna znajdzie, sądzę, łaskę w oczach Boga, umarła bowiem po chrześcijańsku. Och! Paryż!... Ewo moja, Paryż jest zarazem chwałą i hańbą Francji!... Straciłem już w nim dosyć złudzeń i stracę ich resztę, żebrząc o tę trochę pieniędzy, których potrzebuję, aby w poświęconej ziemi złożyć ciało anioła! Twój nieszczęśliwy brat Lucjan.

P.S. – Musiałem Ci sprawić wiele zgryzot mą lekkomyślnością, dowiesz się kiedyś wszystkiego i wytłumaczysz mnie. Zresztą, możesz być spokojna: widząc nas tak udreńczonych – Koralię i mnie – zacny przemysłowiec, któremu uczyniłem wiele złego, pan Camusot, podjął się załatwić, jak mówił, te sprawę.

– List jeszcze mokry od łez! – rzekła do Dawida patrząc nań tak miłosiernie, że w oczach jej błyszczało coś z dawnego przywiązania do Lucjana.

– Biedny chłopiec, musiał bardzo cierpieć, jeśli w istocie tak go kochała, jak on mówi! – wykrzyknął szczęśliwy małżonek Ewy.

I zarówno mąż, jak żona, wobec krzyku tego ostatecznego bólu, zapomnieli o wszystkich swoich cierpieniach. W tej samej chwili Maryna wpadła wołając:

– Proszę pani, idą!... Idą!...

– Kto?

– Doublon i jego draby, sam diabeł! Kolb bije się z nimi, będą sprzedawać. – Nie, nie, nie będą sprzedawać, uspokójcie się! – wykrzyknął Petit-Claud, którego głos zabrzmiał w przyległym pokoju. – Podpisałem właśnie apelację. Nie możemy zostawać pod brzemieniem wyroku, który pomawia nas o złą wiarę. Nie mam zamiaru bronić się tutaj. Aby zyskać na czasie, pozwoliłem wygadać się Cachanowi, gdy ja gotuję się odnieść triumf jeszcze raz w Poitiers...

– Ale ile ten triumf będzie kosztował? – spytała pani Séchard.

– Moje honorarium, jeśli wygracie, a tysiąc franków, jeżeli przegramy.

– Mój Boże – wykrzyknęła biedna Ewa – czyż to lekarstwo nie jest gorsze od choroby?

Słyszając ten krzyk niewinności oświeconej luną sadowniczego pożaru, Petit-Claud stanął jak osłupiały, tak uderzyła go piękność Ewy. Równocześnie zjawił się, wezwany przez adwokata, stary Séchard. Obecność starca w sypialni młodej pary, gdzie wnuczek w kołysce uśmiechał się do nieszczęścia, dopełnia tej sceny.

– Papo Séchard – rzekł młody adwokat – winien mi pan siedemset franków za interwencję; ale ściągniesz je sobie z syna doliczając do czynszów, które ci jest dłużny.

Stary winiarz odczuł gryzącą ironię, jaką Petit-Claud włożył w swoje słowa.

– Mniej byłoby ojca kosztowało zaręczyć za Dawida!... – rzekła Ewa odchodząc od kołyski, aby uściskać starca.

Dawid, przygnębiony zbiegowiskiem, jakie uczyniło się przed domem, gdzie walka Kolba z ludźmi Doublona ściągnęła ciekawych, wyciągnął rękę do ojca bez słowa powitania.

– Jakim cudem mogę być panu winien siedemset franków? – zapytał starzec Petit–Clauda.

– Ba, za to, iż, po pierwsze, dokonałem zajęcia pańskim imieniem. Ponieważ chodzi o pańskie czynsze, jest pan wobec mnie odpowiedzialny wraz ze swym dłużnikiem. Jeśli syn nie zapłaci mi kosztów, pan zapłacisz... Ale to nic: za kilka godzin przyjdą tu, aby wsadzić Dawida do więzienia, czy pozwoli pan na to?

– Ile jest winien?

– Phi, jakieś pięć do sześciu tysięcy, nie licząc tego, co jest winien panu i żonie.

Starzec, z sercem napojonym nieufnością, spojrzął na wzruszający obraz, jaki przedstawiał jego oczom ten biało–niebieski pokój: piękna kobieta we łzach przy kołysce; Dawid, uginający się wreszcie pod brzemieniem zgryzot; adwokat, który może ściągnął go tu niby do pułapki... Stary niedźwiedź pomyślał, iż może zagrano na kartę jego ojcowskich uczuć; zląkł się, aby go nie wyzyskano. Zbliżył się do kołyski, aby popieścić malca, który wyciągał ku niemu rączyny. Wśród tyłu trosk dziecko, pielęgnowane jak dziecko para Anglii, miało na głowie śliczny haftowany czepeczek z różową podszewką.

– Et, niech Dawid radzi sobie, jak umie; ja myślę tylko o dziecku – zawołał stary – a matka przyzna mi słusność. Dawid jest tak uczony, że powinien wiedzieć, jak zapłacić długi.

– Ja panu dokładnie wyklaruję pańskie uczucia – rzekł drwiąco adwokat. – Ot, papo Séchard, jesteś zazdrosny o syna. Posłuchaj pan prawdy! Wtrąciłeś Dawida w katastrofę sprzedając mu drukarnię trzy razy drożej, niż była warta, i rujnując go, aby ściągnąć tę lichwiarską cenę. Tak, nie potrząsaj głową, dziennik sprzedany Cointetom, którego cenę ty zgarnąłeś w całości do kieszeni, stanowił całą wartość twojej drukarni... Nienawidzisz syna nie tylko dlatego, żeś go ograbił, ale także, żeś uczynił zeń człowieka przerastającego cię stanem. Nadajesz sobie tony niezwyklej miłości dla wnuka, aby pokryć bankructwo uczuć wobec syna i synowej, którzy by cię kosztowali nieco grosza *hic et nunc*, gdy wnuk potrzebuje twego przywiązania jedynie *in extremis*⁶. Kochasz tego malca, aby zachować pozór, iż kochasz kogoś ze swych bliskich i nie być pomawianym o brak serca. Oto co siedzi na dnie worka, papo Séchard...

– Czyście mnie po to sprowadzili, aby mi kazać tego słuchać? – rzekł starzec groźnie, spoglądając kolejno na adwokata, synową i syna.

– Ależ, panie – krzyknęła biedna Ewa zwracając się do Petit–Clauda – czyś pan zaprzysiągł naszą zagładę? Nigdy Dawid nie skarżył się na ojca...

Winiarz spojrzął na nią podejrziwie.

– Mówił mi sto razy, że ojciec kocha go na swój sposób – rzekła do starca odczuwając jego nieufność.

Zgodnie z instrukcjami Wielkiego Cointeta, Petit–Claud starał się do reszty poróżnić ojca z synem, aby przypadkiem ojciec nie wybawił syna z okrutnego położenia.

– W dniu, w którym będziemy mieli Dawida pod kluczem – powiedział mu w wilię Wielki Cointet – przedstawię cię pani de Senonches.

Przenikliwość, jaką daje przywiązanie, oświeciła panią Séchard, która odgadywała to robione oburzenie, jak niegdyś wyczuła zdradę Cérizeta. Każdy łatwo zrozumie zdziwioną minę Dawida, który nie mógł pojąć, w jaki sposób Petit–Claud zna tak dobrze ojca i jego sprawy. Uczciwy drukarz nie podejrzewał stosunków swego obrońcy z Cointetami; nie wiedział zresztą, że Cointetowie tkwią w skórze Métiviera. Milczenie Dawida było zniewagą dla starego winiarza; toteż adwokat skorzystał ze zdumienia klienta, aby opuścić pole.

– Bądź zdrow, drogi Dawidzie, ostrzegłem cię, apelacja nie uchyla osobistego przymusu; wierzycielom twoim zostaje ta jedyna droga, użyją jej. Zatem uciekaj! Albo raczej, jeśli chcesz mnie posłuchać, ot, rozmów się z braćmi Cointet, oni mają kapitały; jeśli twoje odkrycie jest gotowe i udane, stowarzysz się z nimi; to są, razem wzięwszy, bardzo głodcy ludzie...

⁶ *Hic et nunc*. (łac.) – tutaj i zaraz; *in extremis* (łac.) – w ostatniej chwili, przed śmiercią.

– Co za sekret? – zapytał ojciec Séchard.

– Czyż pan wyobraża sobie, iż twój syn byłby na tyle głupi, aby zaniedbać drukarnię nie mając czego innego w głowie? – wykrzyknął adwokat. – Jest na drodze, zwierzył mi się, fabrykowania papieru po trzy franki ryza, gdy obecnie wypada ona dziesięć...

– Jeszcze jeden sposób, aby mnie złapać! – wykrzyknął ojciec Séchard. – Wąchacie się tu wszyscy jak złodzieje na jarmarku. Jeżeli Dawid to wynalazł, nie potrzebuje mnie, jest milionerem! Do widzenia, miłe ptaszyny, dobranoc!

I skierował się ku schodom.

– Myśl o tym, jak się ukryć – rzucił Dawidowi Petit–Claud, który pobiegł za starym, aby go jeszcze podjudzić.

Adwokacina dopadł mrużącego pod nosem winiarza na placu du Mûrier, odprowadził go do Houmeau i rozstał się z nim grożąc, iż o ile nie będzie zapłacony w ciągu tygodnia, wytoczy proces o należne koszty.

– Zapłacę panu, jeśli mi dasz sposoby wydziedziczenia syna bez szkody dla wnuka i synowej!... – rzekł stary, gwałtownie skręcając w ulicę.

– Jak ten Wielki Cointet zna ludzi!... Ha ha, powiedział mi z góry: te siedemset franków kosztów wstrzymają ojca od zapłacenia siedmiu tysięcy za syna – wykrzykiwał kauzyperda drapiąc się z powrotem do Angouleme. – Bądź co bądź, nie dajmy się wy kierować temu wydze papiernikowi; czas wycisnąć zeń coś więcej niż słowa.

– No i cóż, drogi Dawidzie, co myślisz począć?... – rzekła Ewa do męża, kiedy ojciec i adwokat opuścili mieszkanie.

– Postaw największy kociołek na ogniu, moje dziecko – krzyknął Dawid do Maryny – mam wreszcie tajemnicę!...

Słyszając te słowa Ewa z gorączkową żywością włożyła kapelusz, szal, trzewiki.

– Ubieraj się, mój drogi – rzekła do Kolba – pójdziesz ze mną; muszę się dowiedzieć, czy istnieje sposób wydobywania się z tego piekła.

– Panie – wykrzyknęła Maryna po wyjściu Ewy – niechże pan będzie rozsądny albo pani umrze ze zgrzyoty. Niech pan znajdzie pieniądze, aby zapłacić, co pan winien, a później będzie pan szukał skarbów, ile się panu podoba...

– Cicho, Maryna – odparł Dawid – zwyciężymy ostatnią trudność. Będę miał równocześnie patent na wynalazek i na udoskonalenie.

Rana wynalazców we Francji to patent na udoskonalenie. Człowiek strawi dziesięć lat życia na szukanie sekretu jakiegoś przemysłu, jakiejś maszyny, odkrycia, bierze patent, sądzi, że jest panem rzeczy; w ślad jego idzie konkurent, który, jeśli wynalazca nie przewidział wszystkiego, udoskonala jego odkrycie jedną śrubką i wydziera mu je z rąk. Otóż w fabrykacji papieru sam wynalazek taniej masy to jeszcze nie było wszystko! Inni mogli ulepszyć ten proceder. Dawid Séchard chciał wszystko przewidzieć, aby się nie narażać na utratę fortuny, szukanej wśród tylu przeciwności. Papier holenderski (ta nazwa została się papierowi wyrabianemu z czystej szmaty lnianej, mimo, że Holandia już go nie wyrabia) jest lekko gumowany, ale gumuje się go arkusz po arkuszu zabiegiem ręcznym, który podraża papier. Gdyby można gumować miazgę w kadzi, za pomocą taniego kleju (co robi się zresztą dziś, ale jeszcze niedoskonale), nie zostałyby już żadnej możliwości udoskonalenia. Od miesiąca Dawid szukał tedy sposobu gumowania w kadzi ciasta papierowego. Mierzył od razu w dwie tajemnice.

Ewa udała się do matki. Pomyślnym zbiegiem pani Chardon pielęgnowała żonę sekretarza sądu, która świeżo obdarzyła spadkobiercą rodzinę Milaudów z Nevers. Ewa, nieufna wobec adwokackiej czeredy, wpadła na pomysł, aby w tym krytycznym położeniu zasięgnąć rady urzędowego obrońcy wdów i sierot, zapytać, czy mogłaby wyzwolić Dawida przyjmując na siebie zobowiązanie, sprzedając swoje prawa; równocześnie zaś miała nadzieję dowiedzieć się prawdy o dwuznacznym postępowaniu Petit–Clauda. Urzędnik, zaskoczony pięknosciami

pani Séchard, przyjął ją nie tylko ze względami dłużnymi kobiecie, ale z odcieniem dworności, do której Ewa nie przywykła. Biedna kobieta ujrzała w oczach urzędnika ten wyraz, który od czasu swego małżeństwa znajdowała jedynie u Kolba; a wyraz ten, dla kobiet pięknych jak Ewa, jest kryterium, za pomocą którego sądzą ludzi. Kiedy inna namiętność, interes lub wiek ostudzą w oczach mężczyzny ten błysk bezwarunkowego poddania, jaki płonie w nich w młodym wieku, wówczas kobieta nabiera nieufności do tego człowieka i zaczyna go obserwować. Cointetowie, Petit-Claud, Cérizet, wszyscy ludzie, w których Ewa odgadła nieprzyjaciół, patrzyli na nią okiem suchym i zimnym; uczuła się tedy mile pogłaskana obejściem sekretarza. Jednak prawnik, przyjmując panią Séchard z całą uprzejmością, zniweczył zarazem w niewielu słowach wszystkie nadzieje.

– Nie jest pewne, proszę pani – rzekł — czy apelacja skasuje wyrok, który ogranicza do mebli mieszkalnych cesję, jaką ze wszystkiego, co posiadał, uczynił na pani rzecz mąż, aby zabezpieczyć jej pretensje. Pani przywilej nie może służyć jako parawan. Natomiast, ponieważ będzie pani dopuszczona w charakterze wierzycielki do podziału ceny zajętych przedmiotów, ponieważ teść pani również będzie miał prawo wkroczenia tytułem należnych czynszów, wyłoni się, już po wyroku, materia do innych kontestacyj, z racji tego, co nazywamy w terminach prawnych kontrybucją.

– Zatem Petit-Claud rujnuje nas? – wykrzyknęła.

– Postępowanie pana Petit-Clauda – odparł urzędnik – zgodne jest ze zleceniem, jakie mu dał mąż pani, który chce, jak mówi jego zastępca prawny, zyskać na czasie. Wedle mnie, może byłoby lepiej wyrzec się prawa apelacji i starać się utrzymać – pani i teść – jako nabywcy przy sprzedaży przyborów najpotrzebniejszych do waszego przemysłu: pani w granicach tego, co jej ma przyspaść, on w wysokości sumy swoich czynszów. Ale to by znaczyło iść zbyt szybko do celu. Adwokaci was skubią!

– Znalazłabym się wówczas w rękach ojca, któremu byłabym winna czynsze za przybory i najem domu; mąż natomiast zostałby mimo to nadal pod brzemieniem pościgu pana Métivier, któremu nie dostałoby się pewnie nic?...

– Tak, pani.

– Zatem położenie byłoby gorsze niż to, w którym jesteście...

– Ostatecznie, droga pani, prawo musi chronić wierzyciela. Otrzymaliście państwo trzy tysiące franków, trzebaż je oddać...

– Och, panie, czy uważa nas pan za zdolnych do...?

Ewa zatrzymała się spostrzegając niebezpieczeństwo, jakie usprawiedliwienie jej mogłoby ściągnąć na brata.

– Och, ja wiem dobrze – odparł urzędnik – że ta sprawa jest ciemna i ze strony dłużników, którzy są uczciwi, skrupulatni, wielcy nawet!... i ze strony wierzyciela, który jest tylko płaszczkiem...

Ewa, przestraszona, patrzyła na urzędnika błędnym wzrokiem.

– Rozumie pani – dodał rzucając spojrzenie pełne rubasznego sprytu – że dla zastanawiania się nad tym, co się dzieje przed naszymi oczami, mamy cały ten czas, przez który trzeba nam słuchać przemówień panów obrońców.

Ewa wróciła zrozpaczona swą bezsilnością. Wieczorem o siódmej Doublon przyniósł nakaz oznajmiający przymus osobisty. W tej chwili pościg doszedł więc kulminacyjnego punktu.

– Od jutra – rzekł Dawid – nie będę mógł wychodzić, chyba w nocy.

Ewa i pani Chardon załazy się łzami. Dla nich kryć się to była hańba. Dowiadując się, że wolność ich pana jest zagrożona, Kolb i Maryna zaniepokoiili się tym więcej, iż od dawna ocenili go jako człowieka głęboko naiwnego. Drżeli o niego tak, iż przyszli do pokoju, gdzie znajdowała się pani Chardon wraz z Ewą i Dawidem, pod pozorem spytania, na co mogliby się przydać. Zjawili się w chwili, gdy te trzy istoty, dla których życie dotąd było tak proste,

plakały widząc konieczność ukrywania Dawida. Ale jak ujść niewidzialnym szpiegom, którzy od tej chwili mieli śledzić najdrobniejszy krok tego człowieka, na nieszczęście tak roztargnionego?

– Jeszeli bani chdze sadżegadź mały gwatranzig, sabuźdżę regonezanz do oposu njebżyjadziół – rzekł Kolb. – Sopadżydzie, sze zię snam na dym, chodziasz fyklontam na Żfapa; ale sze jezdem źdżery Wrاندzus, mam jezdzę drochę zbyrdu.

– Och, pani – rzekła Maryna – niech mu pani pzwoli iść, on medytuje jedynie nad tym, jak ratować pana, nie ma innej myśli w głowie. Kolb to już nie Alzaczkyk; to jest... czy ja wiem?.. czysty nowofunlandczyk!

– Idź, dobry Kolbie – rzekł Dawid – mamy jeszcze czas powziąć postanowienie.

Kolb pobiegł do woźnego, gdzie nieprzyjaciele, zgromadzeni na naradę, rozprawiali o sposobie owładnięcia Dawidem.

Uwięzienie dłużnika jest na prowincji, jeśli się już zdarzy, faktem przechodzącym miarę, anormalnym. Przede wszystkim, wszyscy znają się zbyt dobrze, aby ktokolwiek uciekał się do tak wstrętnego środka. Wierzycielom i dłużnikom przeznaczony jest spotykać się twarzą w twarz przez całe życie. Następnie, kiedy przemysłowiec, bankrut – aby się posłużyć wyrażeniem prowincji, która nie robi ceremonii z tego rodzaju legalną kradzieżą – obmyśla upadłość na szeroką skalę, wówczas szuka zawczasu schronienia w Paryżu. Paryż jest, do pewnego stopnia, Belgią prowincji⁷, istnieją w nim kryjówki niemal nieprzeniknione, mandat zaś komornika wygasa na granicach jego okręgu. Poza tym są inne przeszkody, udaremniające poniekąd wyrok. I tak prawo, które uświęca nietykalność mieszkania, panuje bez wyjątku na prowincji; woźny nie ma mocy, jak w Paryżu, wdzierać się do obcego domu, aby tam pochwycić dłużnika. Prawodawca uważał za właściwe wyłączyć Paryż z przyczyny stałego nagromadzenia wielu rodzin w jednym domu. Ale na prowincji, aby pogwałcić mieszkanie dłużnika, woźny musi przybyć w towarzystwie sędziego pokoju. Otóż sędzia pokoju, który dzierży pod swą władzą woźnych, posiada niemal samoistną moc użyczenia lub odmówienia swego udziału. Na pochwałę sędziów pokoju trzeba powiedzieć, że ten obowiązek im ciąży, wzdragają się służyć ślepej namiętności lub zemście. Są jeszcze inne, nie mniej poważne trudności, które poniekąd łagodzą to najzupełniej zbyteczne okrucieństwo, jakim jest prawo o przymusie osobistym. Trudności te płyną z obyczajów, które często zmieniają prawa aż do unicestwienia. W wielkich miastach istnieje dosyć nędzników, ludzi do gruntu skażonych, bez czci i wiary, z których rekrutuje się armia szpiegów; ale w małych miasteczkach wszyscy zanedo się znają, aby ktoś zechciał służyć woźnemu jako najemnik. Ktokolwiek, nawet w najuboższej klasie, zgodziłby się na to poniżenie, byłby zmuszony opuścić miasto. Dlatego uwięzienie winnego, nie będące, jak w Paryżu lub innych wielkich centrach, przedmiotem uprzywilejowanego przemysłu straży handlowej, staje się czynnością prawną niezmiernie trudną, walką na chytrą między dłużnikiem a rodem woźnińskim, którego pomysły dostarczały niekiedy bardzo zabawnych opowiadań „kroniczce” dzienników paryskich. Starszy Cointet nie chciał się zdradzić, ale Gruby Cointet, który mówił, iż Métivier powierzył mu tę sprawę, przyszedł do Doublona na naradę wraz z Cérizetem, który został jego korektorem i którego współdziałanie zapewnił sobie przyrzeczeniem premii tysiąca franków. Doublon mógł liczyć na dwóch stałych konfidentów. Cointetowie zatem mieli już trzy psy gończe, aby tropić swą ofiarę. W chwili aresztowania Doublon mógł zresztą użyć żandarmerii, która, wedle litery wyroku, winna jest na żądanie użyczyć pomocy komornikowi. Tych pięć osób znalazło się tedy w gabinecie imię Doublona, mieszczącym się na parterze domu, za kancelarią.

Wchodziło się do kancelarii przez dość szeroki korytarz wyłożony taflami, stanowiący rodzaj sieni. Po obu stronach bramki widniały złoczone godła urzędowe; w środku, czarnymi literami, napis: KOMORNIK.

⁷ Belgia prowincji – Belgia, nie mając z Francją traktatów o wymianie przestępców, była dla nich schronieniem, tak jak olbrzymi Paryż stawał się schronieniem dla przestępców z prowincji.

Dwa okna kancelarii wychodzące na ulicę zbrojne były silną kratą. Okna gabinetu wychodziły na ogród, gdzie komornik, miłośnik Pomony, hodował sam z powodzeniem drzewa owocowe. Naprzeciw kancelarii była kuchnia, za kuchnią zaś schody na wyższe piętro. Dom leżał przy małej uliczce, za nowym gmachem sądu, wówczas w budowie, ukończonym dopiero po 1830 r. Te szczegóły potrzebne są dla zrozumienia przygody Kolba. Alzacyjny umyślił zgłosić się do woźnego pod pozorem wydania mu swego pana, aby się dowiedzieć, jakiego rodzaju pułapki grożą Dawidowi, i ubezpieczyć go od nich. Skoro kucharka wyszła do drzwi. Kolb oświadczył, że ma interes do pana Doublon. Niezadowolona, iż przeszkadzono jej w zmywaniu statków, kobieta otworzyła drzwi kancelarii, polecając Kolbowi, którego nie знаła, aby tam zaczekał, bo pan ma właśnie konferencję w gabinecie; następnie poszła uprzedzić pana, że jakiś człowiek pragnie z nim mówić. To wyrażenie „człowiek” tak niewątpliwie oznaczało wieśniaka, iż Doublon rzekł:

– Niech czeka!

Kolb ulokował się blisko drzwi gabinetu.

– No więc? Jak zamierzacie wziąć się do rzeczy? Gdybyśmy mogli przyskrzynić go jutro rano, oszczędzilibyśmy na czasie – rzekł Gruby Cointet.

– Ba! Toć to dobra dusza: sam wlezie nam w ręce – wykrzyknął Cérizet.

Poznawszy głos Grubego Cointet, zwłaszcza zaś słysząc te dwa zdania, Kolb odgadł natychmiast, że idzie o Dawida; zdumienie jego wzrosło, kiedy poznał głos Cérizeta.

„Chłobag, gdóry jał jeko chlepi” – wykrzyknął w duchu ze zgrozą.

– Moje dzieci – rzekł Doublon – oto jak trzeba się wziąć do rzeczy. Rozrzucimy naszych ludzi w znacznej odległości od ulicy de Beaulieu i placu du Mûrier, we wszystkich kierunkach, w ten sposób, aby, bez jego wiedzy, postępować w tropy ptaszka; nie opuścimy go, póki nie wejdzie do domu, który obierze sobie za kryjówkę; zostawimy mu parę dni spokoju, następnie przykryjemy go tam pewnego pięknego dnia przed wschodem albo po zachodzie słońca.

– Ale co on robi w tej chwili? Może się nam wymknąć – rzekł Gruby Cointet.

– Jest u siebie – rzekł imię Doublon – gdyby wyszedł, wiedziałbym o tym. Jeden z moich pomocników (komornicy nadają swoim szpiclom uczciwe miano pomocników) stoi na posterunku na placu du Mûrier, drugi na rogu przy trybunale, a trzeci o trzydzieści kroków od mego domu. Jeśli ptaszek wyściubi nos z domu, gwizdną; nie zdążyłby uczynić trzech kroków, a jużbym wiedział o tym za pomocą mego telegrafu.

Kolb nie rachował na tak pomyślny przypadek; opuścił kancelarię mówiąc służącej:

– Ban Touplon sajendy na tłuco, bofródzę judro rano wdżeźnie.

Alzacyjny, dawny kawalerzysta, powziął pewną myśl, którą natychmiast wprowadził w czyn. Pobiegł do znanego sobie najemcy koni, wybrał konia, kazał go osiodłać i wrócił co najspieszniej do domu, gdzie zastał panią Ewę w głębokiej rozpaczce.

– Cóż takiego, Kolb? – spytał drukarz widząc minę Alzacyjka, radosną wraz i wystraszoną.

– Jezdeździe bańsdfu ododżeni łajtagami. Najpesbiedźniej jezd ugrydź bana. Dży bani myżłała o dym, szepy bana kcie zchofadź?

Skoro zaczął Kolb przedstawić zdradę Cérizeta, czaty rozstawione koło domu, udział Grubego Cointeta w tej sprawie, skoro obudził przeczucie podstępów, do jakich tacy ludzie będą zdolni, położenie Dawida ukazało się w nader posepnym świetle.

– To bracia Cointet cię ścigają! – wykrzyknęła biedna Ewa w odrętwieniu. – Oto czemu Métivier okazał się tak twardy... To ci fabrykanci papieru: chodzi im o twoją tajemnicę.

– Ale co czynić, aby się im wymknąć? – wykrzyknęła pani Chardon.

– Jeszeli bani ma jagie miejdzde, kciepy bana zchofadź – rzeki Kolb – botejmuję zię tofięśdź ko dam, dag sze nigd zię nie zbozdżesze.

— Udaj się do Brygidy Clerget, ale dopiero w nocy – odparła Ewa. – Pójdę omówić z nią wszystko. W takiej sprawie liczę na Brygidę jak na samą siebie.

– Szpiegowie pójda twoim śladem – rzekł wreszcie Dawid, który odzyskał trochę przytomności umysłu. – Chodzi o to, aby móc uprzedzić Brygidę nie chodząc do niej.

– Bani mosze iżdź – rzekł Kolb. – Odo moja gompinadzja: ja fyjtę z banem, otdziakniemy źpiekóf na naź drob. Bżes den dżas bani bójcie to banny Glerszet, nigd nie saufaszys deko. Mam gonia, fesmę bana z dyłu sa ziotło i niech mnie dżardzi borfą, jeźli nas gdo tobatnie.

– A zatem do widzenia, drogi mój! – wykrzyknęła biedna kobieta rzucając się w ramiona męża. – Nikt z nas nie będzie cię odwiedzał, bo moglibyśmy cię narazić. Trzeba pożegnać się z sobą na cały czas, przez który będzie trwało to dobrowolne więzienie. Będziemy porozumiewali się pocztą. Brygida będzie wrzucać twoje listy, a ja będę pisała na jej nazwisko.

Wyszedłszy z domu Dawid i Kolb usłyszeli gwizdanie i doprowadzili szpiegów aż w dół, do bramy Palet, gdzie był najem koni. Tam Kolb wziął pana za siodło, zalecając mu dobrze się trzymać.

– Końdzie, końdzie, lepszy bżyjadziele! Gbię zobie s faz – wykrzyknął Kolb. – Nie tobatniedzie zdareko gafaleszyzdy.

I stary kawalerzysta pocwałował w pole z szybkością, która uniemożliwiła szpiegom zarówno pościg, jak rozeznanie kierunku.

Ewa udała się do Postela pod dość zmyślnym pretekstem poradzenia się go. Wycierpiawszy zniewagi owej litości, która szafuje tylko słowami, opuściła państwa Postel i dostała się niepostrzeżenie do Brygidy. Zwierzyła przyjaciółce swoje strapienia, prosząc o pomoc i oparcie. Brygida, która dla większego bezpieczeństwa wciągnęła Ewę do swego pokoju, otworzyła drzwi do przyległego alkierza, gdzie światło dochodziło przez ukośne okienko i gdzie żadne oko nie mogło ich dojrzeć. Przyjaciółki odetkały kominek, którego rura biegła wzdłuż kominka pracowni, gdzie robotnice utrzymywały ogień dla grzania żelazek. Rozciągnęły na podłodze jakieś stare kołdry, aby stłumić hałas, jakiego mógłby narobić Dawid przez nieuwagę; ustawiły składane łóżko, piec dla jego doświadczeń, stół i krzesło, aby mógł usiąść i pisać. Brygida przyrzekła żywić go w nocy, ponieważ zaś nikt nie wchodził do jej pokoiku, Dawid mógł uragać wszystkim wrogom, nawet policji.

– Wreszcie – rzekła Ewa ściskając przyjaciółkę – będzie w bezpiecznym schronieniu.

Ewa wróciła do Postela, aby rozjaśnić jakąś wątpliwość, która, jak mówiła, sprowadza ją jeszcze do tak wytrawnego znawcy spraw trybunału handlowego, i pozwoliła mu się odprowadzić słuchając jego utyskiwań.

– Gdybyś pani za mnie wyszła, czy byłoby doszło do tego?...

To uczucie tkwiło na dnie każdego zdania aptekarzyny. Za powrotem Postel zastał żonę zazdrosną o cudowną piękność pani Séchard i wściekłą o mężowskie uprzejmości. Uspokoiła Leonię dopiero rzekoma opinia aptekarza, sławiąca wyższość kobiet małych i rudych nad wysokimi brunetkami, które, wedle niego, są jak piękne konie: zawsze bezczynne w stajni. Nieborak musiał dać jakieś dowody szczerości, nazajutrz bowiem pani Postel była nastrojona bardzo miękko.

– Możemy być spokojni – rzekła Ewa do matki i do Maryny, które zastała, wedle wyrażenia Maryny, jeszcze z duszą na ramieniu. – Och, pojechali – rzekła Maryna, kiedy Ewa machinalnie zajrzała do pokoju.

– Kcie mam gierofadź?... – spytał Kolb znalazłszy się o milę za miastem, na gościńcu paryskim. – Do Marsac! – odparł Dawid. – Skoro mnie zawiodłeś na tę drogę, spróbuję jeszcze ostatni raz odwołać się do serca ojca.

– Folałpym radżej żarszofadź paderię armad; dodź on nie ma zerdza, den bańzgi żanofny ojdziez.

Stary drukarz nie wierzył w syna; sądził go, jak sądzi lud, po rezultatach. Po pierwsze, nie poczuwał się do tego, że obłupił Dawida; po wtóre, nie zastanawiając się nad różnicą czasów, mówił sobie:

„Posadziłem go w siodle, tak jak i ja sam znalazłem się z początku; i on, który uczył się tysięcy razy więcej, nie umiał ruszyć z miejsca!”

Niezdolny pojąć syna, potępiał go i przyznawał sobie jak gdyby wyższość nad tą wysoką inteligencją, mówiąc:

– Zabezpieczam mu chleb. Nigdy moralisci nie zdołają uwydatnić całego wpływu, jaki uczucia mają na interesy. Wpływ ten jest równie potężny, jak wpływ interesów na uczucia. Wszystkie prawa natury mają podwójne działanie, w odwrotnym do siebie stosunku. Dawid rozumiał ojca i miał tę szczytną wielkoduszność, że go tłumaczył. Przybywszy o ósmej do Marsac, Kolb i Dawid zastali starego kończącego obiad, który z konieczności schodził się z chwilą spoczynku.

– Widzę cię z łaski trybunałów – rzekł ojciec do syna z gorzkim uśmiechem.

– Jag ban chdżez, apy bań Tafit mókł zię zbodygadź s panem? On fętruje bo niepie, a bań dgfiż safze f finnizy! – wykrzyknął Kolb oburzony. – Sabładź bań, sabładź! Do bańsga ojdzofsga bofinnoźdź.

– Idź sobie, Kolb, idź sobie; odprowadź konia do pani Courtois, żeby nie sprawiać ojcu kłopotu, i wiedz, że rodzice mają zawsze słuszość.

Kolb odszedł warcząc jak pies, który, złajany przez pana za swą gorliwość, protestuje jeszcze, mimo że jest posłuszny. Dawid, nie zdradzając tajemnicy, ofiarował się dać ojcu najoczywistszy dowód swego odkrycia, proponując mu udział w przedsiębiorstwie za cenę sum, jakie będą potrzebne tak dla jego uwolnienia, jak dla eksploatacji sekretu.

– Ba, jak mi udowodnisz, że zdołasz z niczego zrobić piękny papier, który nic nie kosztuje? – rzekł były drukarz kierując na syna spojrzenie zamglone winem, ale przebiegłe, ciekawe, łakome; rzeklibyście, błyskawica wyłaniająca się z dżdżystej chmury, stary bowiem niedźwiedź, wierny swoim tradycjom, nie kładł się nigdy spać nie zaopatrzywszy głowy na noc. Jego szlafmyca składała się z dwóch butelek doskonałego starego wina, które, wedle swego wyrażenia, cykał sobie pomalutku.

– Nic prostszego – odparł Dawid. – Nie mam tu żadnego papieru przy sobie, przybyłem uchodząc przed Doublonem; znalazłszy się na drodze do Marsac, pomyślałem, że mógłbym u ciebie, ojcze, znaleźć pomoc, jaką znalazłbym u lichwiarza. Nie mam nic w kieszeni. Proszę mnie zamknąć w jakiejś szczelnej ubikacji, gdzie by się nikt nie mógł dostać, gdzie by mnie nikt nie podglądał, i...

– Jak to – rzekł starzec obrzucając syna przerażającym spojrzeniem – nie pozwoliłbyś mi być świadkiem?...

– Mój ojcze – odparł Dawid – dowiodłeś mi, że nie ma ojca w interesach...

– Ha! Nie ufasz temu, który dał ci życie!

– Nie; ale temu, który odjął mi do niego środki.

– Każdy dla siebie; masz słuszość! – rzekł starzec. – Dobrze więc, zamknę cię w lamusie.

– Zamykam się tam z Kolbem; da mi ojciec kociołek na sporządzenie mojej miazgi – odparł Dawid nie spostrzegłszy spojrzenia, jakim zmierzył go stary – następnie pójdzie mi ojciec nabierać łądyg karczochów, szparagów, pokrzyw, trzciny, której natniesz nad rzeczką. Jutro rano wyjdę z lamusa z próbką wspaniałego papieru.

– Jeśli to możebne... – wykrzyknął niedźwiedź przerywając sobie czkawką – dam ci może... zastanowię się, czy będę ci mógł dać – ba! dwadzieścia pięć tysięcy franków, pod warunkiem, że zarobisz dla mnie tyleż samo co roku.

– Niech mnie ojciec weźmie na próbę, zgadzam się! – wykrzyknął Dawid. – Kolb, siadaj na koń, jedź do Mansle, kup tam wielkie sito włosiane u bednarza, kleju w sklepiku i wracaj co żywo.

– Masz... napij się!... – rzekł ojciec podsuwając synowi butelkę wina, chleb i resztki zimnego mięsa. – Nabierz sił; pójdę zgromadzić ci zapas twoich zielonych gałganów; zielone bowiem są twoje gałgany! Boję się nawet, że trochę nadto zielone.

W dwie godziny potem, koło jedenastej wieczór, starzec zamknął syna i Kolba w izdebce przylegającej do lamusa, pokrytej dachówką i mieszczącej przybory potrzebne do palenia win angulemskich, które dostarczają, jak wiadomo, wszystkich wódek nazywanych koniakiem.

– Och, ależ tu istna fabryka! Drzewo, kotły! – krzyknął Dawid.

– Więc dobrze, do jutra – rzekł ojciec Séchard – zamknę cię i spuszczę oba psy; w ten sposób jestem pewien, że nikt ci tu nie przyniesie papieru. Pokaż mi jutro parę arkuszy, a oświadczam, że będę twoim wspólnikiem; wszystko pójdzie jasno i gładko.

Kolb i Dawid pozwolili się zamknąć i spędzili około dwóch godzin na łamaniu, przygotowywaniu lodyg, posługując się dwiema dębowymi tarcicami. Ogień błyszczał, woda wrzała. Około drugiej w nocy Kolb, mniej zajęty od Dawida, usłyszał westchnienie przechodzące jak gdyby w pijacką czkawkę. Wziął świecę i zaczął się rozglądać: ujrzał fioletową twarz starego Séchard, wtłoczoną w kwadratowy otwór znajdujący się ponad drzwiami, które łączyły lamus z palarnią, a zasłonięty pustymi beczkami. Chytry starzec wprowadził syna i Kolba do palarni zewnętrznymi drzwiami, które służyły do wytaczania beczek przeznaczonych do odbioru. Te drugie, wewnętrzne drzwi pozwalały przetaczać baryłki z lamusa do palarni nie okrążając przez dziedziniec.

– A! dag zię me pafimy, chdze ban fygifadz zyna?... Ojdzulgu, ojdzulgu, fielgie s faz lata-dzo!

– Och! ojczel!... – rzekł Dawid.

– Przyszedłem zajrzeć, czy nie potrzebujesz czego – rzekł winiarz, wpeł wytrzeźwiony.

– I bzes drozglifożdż o naz fsiąleż bań de trapingę? – rzekł Kolb, który otworzył drzwi uprzątawszy przystęp do nich i znalazł starca w koszuli, siedzącego na drabince.

– Narażać tak zdrowie! – wykrzyknął Dawid.

– Zdaje mi się, że jestem po trosze lunatyk – rzekł starzec, zawstydzony, schodząc. – Twój brak zaufania do ojca zaburzył mi sen, śniło mi się, że się porozumiewałeś z diabłem, aby osiągnąć rzeczy niemożliwe.

– Tjapeł, do bańzga bazya to dalaróf – wykrzyknął Kolb.

– Idź się położyć, ojczel – rzekł Dawid – zamknij nas, jeśli chcesz, ale oszczędź sobie trudu podglądania; Kolb będzie stał na straży.

Nazajutrz o czwartej Dawid wyszedł z palarni, zniweczywszy wszelkie ślady swoich czynności i przyniósł ojcu z jakich trzydzieści arkusików papieru, którego cienkość, białość, zbitość, trwałość nie zostawiały nic do życzenia i na którym, niby znak wodny, wyraźnie można było rozpoznać nierównomierne prążki, pochodzące z włosianego sita. Starzec wziął próbki, przyłożył do nich język, jak prawdziwy niedźwiedź, przyzwyczajony od młodu podniebieniem swoim próbować jakość papieru, obracał je w palcach, gniótł, zwijał, poddał wszystkim próbom, jakimi drukarze doświadczają papier, aby poznać jego właściwości, i mimo że nie było nic do zarzucenia, nie chciał uznać, że jest pobity.

– Trzeba wiedzieć, jak się to będzie spisywać pod prasą!... – rzekł, aby się wywinąć od pochwały.

– Cifny dzłofieg! – wykrzyknął Kolb.

Starzec, ochłonawszy, skrył pod ojcowską powagą udane niezdecydowanie.

– Nie chcę cię zwodzić, ojczel, ten papier wydaje mi się jeszcze zbyt kosztowny; chcę również rozwiązać problem gumowania w kadzi... Zostaje mi jedynie osiągnąć ten postęp...

– A! chciałeś mnie złapać!

– Mam powiedzieć ojcu prawdę? Gumuję w kadzi, ale dotąd klej nie przesiąka dość jednostajnie i daje papier szorstki jak szczotka.

– Więc dobrze, udoskonal swoje gumowanie, a wtedy gotów jestem wyłożyć pieniądze.

– Mój ban nikty nie sopadzy goloru bańzgich bienięcy!

Starzec wyraźnie chciał odplacić Dawidowi wstyd, jakiego napił się w nocy; dlatego też był dlań bardzo zimny.

– Ojczy – rzekł Dawid odprawiwszy Kolba – nigdy nie miałem do ciebie żalu, żeś oszacował drukarnię zbyt wysoko i żeś mi ją sprzedał jedynie na podstawie własnego szacunku; zawsze widziałem w tobie ojca. Powiedziałem sobie: „Pozwólmy starcowi, który wiele się natrudził w życiu, który wychował mnie z pewnością lepiej, niż mi się to należało, cieszyć się w spokoju, wedle upodobania, owocami pracy”. Zostawiłem ci nawet mienie matki i przyjąłem bez szemrania ciężkie życie, jakie mi zgotowałeś. Postanowiłem zdobyć majątek nie odwołując się do ciebie. Otóż znalazłem ten sekret, z ziemią palącą się pod stopami, bez chleba w domu, dręczony długami, które nie ja zrobiłem... Tak, walczyłem cierpliwie, póki siły się nie wyczerpały. Może mam prawo do tej twojej pomocy!... Ale nie myśl o mnie, miej na pamięci kobietę i dziecko... – tu Dawid nie mógł wstrzymać łez – i użycz im pomocy i oparcia. Czyż okażesz się niższy od Maryny i Kolba, którzy oddali mi swe oszczędności? – wykrzyknął syn widząc ojca zimnego jak marmur prasy drukarskiej.

– I to ci nie wystarczyło?... – zawołał starzec nie okazując najmniejszego wstydu. – Ależ ty pożarłbyś całą Francję!... Dobranoc! Jestem zanadto nieuczony, aby się pakować w przemysł, którego jedyną pewną daną jest moja kieszeń. M a ł p a nie poźre n i e d ź w i e d z i a – rzekł czyniąc aluzję do zawodowej gwary. – Jestem winiarz, nie bankier... A potem, widzisz, interesy między rodziną to nic niewarte. Chodź na obiad, ot, nie powiesz przynajmniej, że cię głodem morzę!...

Dawid należał do tych istot o głębokim sercu, które umieją zdusić cierpienia tak, aby z nich uczynić tajemnicę dla swych najdroższych; u tych natur, kiedy boleść wylewa się w ten sposób, to już ich ostateczny wysiłek. Ewa dobrze zrozumiała ten piękny męski charakter. Ale ojciec widział w tej boleści, wydzierającej się z głębi, jedynie pospolite lamenty dzieci, które chcą nabrać ojca, przygnębienie zaś syna wziął za wstyd nieudanego zamachu. Rozstali się chłodno. Dawid i Kolb wrócili koło północy do Angoulême; weszli do miasta pieszo, jak złodzieje na wyprawę. Około pierwszej w nocy wprowadzono Dawida, bez świadków, do Brygidy Clerget, do nieprzeniknionej kryjówki, przygotowanej przez Ewę. Wszedłszy tam, Dawid znalazł się pod pieczą najprzemysłniejszej litości pod słońcem, litości gryzетки. Nazajutrz Kolb chełpił się, iż uprowadził pana na koniu i opuścił go dopiero wsadziwszy na wózek, który miał go zawieźć gdzieś pod Limoges. W piwnicy Brygidy nagromadzono spory zapas surowców, tak, iż Kolb, Maryna, pani Séchard i jej matka, mogli nie utrzymywać żadnych stosunków z panną Clerget.

W dwa dni po scenie z synem stary Séchard, który miał przed sobą jeszcze trzy tygodnie do winobrania, zaszedł do synowej, pędzony chciwością. Nie mógł spać, chciał wiedzieć, czy odkrycie ma jakie – widoki powodzenia; pragnął, wedle swego wyrażenia, czuwać nad zbiorem. Rozgościł się nad mieszkaniem synowej w jednym z owych dwu pokojów na poddaszu, które sobie zatrzymał, i żył na koszt Ewy zamykając oczy na braki nękające dom syna. Winni mu byli za czynsze, mogli go przynajmniej karmić! Nie znajdował w tym nic osobliwego, że podawano do stołu na cynowym nakryciu.

– I ja tak zaczynałem – odparł synowej, gdy się tłumaczyła, że nie daje srebra.

Maryna była zmuszona zaręczyć u kupców za wszystko, co się spożywało w domu. Kolb pomagał murarzom za dwadzieścia su dziennie. Biednej Ewie, która w interesie dziecka i Dawida poświęcała ostatnie środki, aby dobrze przyjąć starego, zostało wreszcie ledwie dzieśięć franków. Miała ciągle nadzieję, że jej przymilność, jej pełna szacunku czułość, jej rezygnacja rozczulą skapca; ale stary był niewzruszony. Wreszcie, widząc u niego owo zimne oko Cointetów, Petit-Clauda i Cérizeta, chciała przeniknąć jego charakter, odgadnąć intencje; ale stracony trud! Ojciec Séchard mylił wszelkie tropy, będąc nieprzerwanie pod dobrą datą. Pijaństwo jest podwójną zasłoną. Przy pomocy swego zaproszenia, równie czysto udanego, jak

prawdziwego, stary próbował wydrzeć Ewie sekrety Dawida. Starał się to głaskać, to przerażać synową, kiedy zaś Ewa odpowiadała, że nic nie wie, powiadał:

– Przepiję cały majątek, oddam go na dożywocie...

Te upokarzające walki nękały biedną ofiarę, która, aby nie uchybić winnemu szacunkowi, zamknęła się wreszcie w niemocie. Jednego dnia, doprowadzona do ostateczności, rzekła:

– Ależ, ojcze, jest bardzo prosty sposób, aby uzyskać wszystko: niech ojciec zapłaci długi Dawida, on wróci tu, porozumiecie się z sobą.

– Aha! Oto wszystko, czego chcecie ode mnie! – wykrzyknął. – Dobrze to wiedzieć.

Stary Séchard, który nie wierzył w syna, wierzył w Cointetów. Cointetowie, których poszedł się poradzić, olśnili go rozmyślnie, powiadając, że odkrycie jego syna to rzecz milionowa.

– Jeśli syn pański udowodni, że udało mu się, nie zawaham się dopuścić go jako współnika do mojej papierni, zaliczając mu wynalazek jako równy udział.

Nieufny starzec zasięgnął tyle informacji przepijając po łyżeczku z robotnikami, wziął tak dobrze na spytki Petit–Clauda udając tumana, iż w końcu zaczął podejrzewać Cointetów, że to oni kryją się za Métivierem. Wpadł na myśl, iż pragną zrujnować drukarnię oraz wycisnąć zeń swą wierzytelność, biorąc go na lep odkrycia; stary wieśniak bowiem nie mógł odgadnąć współnictwa Petit–Clauda ani machinacji dążących do tego, aby prędzej lub później ośwładnąć tajemnicą Dawida. Wreszcie jednego dnia starzec, doprowadzony do rozpaczki tym, że nie może zwalczyć milczenia synowej ani nawet wycisnąć z niej wiadomości o kryjówce syna, postanowił się wdrzeć do pracowni, dowiedziawszy się w końcu, że Dawid robił tam doświadczenia. Pewnego ranka zeszedł na dół i zaczął majstrować koło zamka.

– Hej hej, cóż wy tam robicie, ojcze Séchard? – krzyknęła Maryna, która wstawiała o świcie, aby iść do fabryki, i poskoczyła na ten widok.

– Czy nie jestem u siebie w domu, Maryna? – rzekł stary, zawstydzony.

– A to co! Chcecie się stać złodziejem na stare lata?... A przecież jeszczeście na czczo... Opowiem to zaraz, jak stoję, naszej pani.

– Cicho siedź, Maryna – rzekł stary wyjmując z kieszeni dwa sześciofrankowe talary. – Masz...

– Będę siedziała cicho, ale niech się to nie powtórzy – rzekła Maryna grożąc mu palcem – albo rozpowiem po całym mieście.

Ledwie starzec odszedł, Maryna pognęła do pani.

– Ot proszę pani, wyciągnęłam dwanaście frantów paninemu teściowi, proszę wziąć..

– A to w jaki sposób?

– Ano chciał obejrzeć kotły i magazyn naszego pana, niby żeby spenetrować sekret. Wiedziałam dobrze, że nic już tam nie ma w kuchence, ale narobiłam mu wstydu, niby że chciał okraść syna, i dał mi dwa talary, żebym siedziała cicho...

W tej chwili wbiegła radośnie Brygida niosąc w sekrecie przyjaciółce list Dawida, napisany na wspaniałym papierze:

Moja Ewo ubóstwiana, piszę do Ciebie pierwszej na pierwszym arkusiku papieru uzyskanym moim sposobem. Udało mi się rozwiązać problem gumowania w kadzi!. Funt masy wypada, nawet biorąc w rachubę specjalną uprawę żyznych terenów pod rośliny, których używam, po pięć su. W ten sposób dwunastofuntowa ryza zużyje za trzy franki gumowanej masy. Jestem pewien, iż zdołam zmniejszyć o połowę ciężar książek. Koperta, list, próbki, każde jest odmiennej fabrykacji. Ściskam Cię; tuż tuż, a czeka nas szczęście i majątek, jedyna rzecz, której nam brakowało.

—Masz, ojcze – rzekła Ewa do teścia podając próbki – poświęć synowi zysk z jednego zbioru i daj mu możność zrobienia fortuny; odda ci dziesięciokrotnie to, co mu zaliczysz. Osiągnął swój cel!...

Stary Séchard pobiegł natychmiast do Cointetów. Tam, poddano każdą próbkę szeregowi doświadczeń i drobiazgowych badań: jedne próbki były gumowane, drugie bez kleju; były poznaczone od 3 franków do 10 franków ryza; jedne były metalicznej czystości, inne miękkie jak papier chiński; przedstawiały wszystkie możliwe odcienie białości. Żydom badającym diamenty nie bardziej płonęły oczy, niż płonęły przy tym oczy Cointetów i starego Séchard.

– Pański syn jest na dobrej drodze – rzekł Gruby Cointet.

– Zatem zapłaćcie jego długi – rzekł stary tłoczniak.

– Bardzo chętnie, jeśli nas zechce wziąć do spółki – odparł Wielki Cointet.

– Jesteście rabusie! – wykrzyknął były niedźwiedz. – Ścigacie mego syna pod nazwiskiem Métiviera i chcecie, abym was spłacił, oto wszystko. Nie głupim, moi obywatele!

Bracia spojrzeli po sobie, ale zdołali powściągnąć zdumienie, o jakie przyprawiła ich przenikliwość skąpca.

– Nie jesteśmy jeszcze na tyle milionerami, aby się bawić eskontem – odparł Gruby Cointet. – Czuliśmy się szczęśliwi, gdybyśmy mogli płacić za szmaty gotówką, ale sami wystawiamy jeszcze weksle naszemu dostawcy.

– Trzeba przeprowadzić doświadczenia na większą skalę – rzekł zimno Wielki Cointet – to bowiem, co udaje się w małym garnuszku, może zawieść w fabrykacji na wielki kamień. Wykup pan syna.

– Tak, ale czy syn, uwolniony, przyjmie mnie za współnika?

– To nas nie obchodzi – odparł Gruby Cointet. – Czy myślisz, pocziwcze, że kiedy dasz synowi dziesięć tysięcy, to już wszystko? Patent kosztuje dwa tysiące, trzeba będzie jeździć do Paryża; następnie, nim się puści na ten interes, bezpieczniej jest, jak powiada brat, wyrobić tysiąc ryz, ryzykować całe kadzie, aby sobie zdać sprawę ze wszystkiego. Widzisz pan, nie ma rzeczy, przed którą trzeba by się tak mieć na baczności jak przed wynalazcami.

– Ja – rzekł Wielki Cointet – lubię chleb już upieczony.

Stary spędził noc na przeżuwananiu problemu.

„Jeśli zapłacę długi Dawida, będzie wolny, a wówczas nie ma potrzeby dopuszczać mnie do udziału. Wie dobrze, że wykiwałem go w pierwszej spółce, nie będzie chciał wchodzić w drugą. W moim interesie byłoby trzymać go w więzieniu, gnębić...”

Cointetowie znali dostatecznie ojca Séchard, aby wiedzieć, iż będą w nim mieli towarzysza w polowaniu. Zatem ci trzech ludzie mówili sobie:

– Aby utworzyć towarzystwo oparte na tym sekrecie, trzeba doświadczeń; aby wykonać to doświadczenia, trzeba uwolnić Dawida. Skoro go uwolnimy, wymyka się nam z rąk.

Każdy prócz tego miał jakąś ukrytą myśl. Petit-Claud powiadał sobie:

„Po moim małżeństwie będę miał wolną rękę z Cointetami, ale do tej pory oni mają mnie w garści.”

Wielki Cointet powiadał sobie:

„Wolałbym, bądź co bądź, mieć Dawida pod kluczem, wówczas byłbym panem sytuacji.”

Stary Séchard powiadał sobie:

„Jeśli zapłacę długi, syn ukłoni mi się i powie: Padam do nóżek”.

Ewa, napastowana, straszona przez winiarza wypędzeniem z domu, nie chciała wyjawić ani schronienia męża, ani nawet nakłonić go do przyjęcia żelaznego listu. Nie była pewna, czy jej się uda ukryć Dawida równie dobrze jak pierwszym razem, odpowiadała tedy teściowi:

– Niech ojciec uwolni Dawida, a dowie się wszystkiego.

Czterej zainteresowani znaleźli się jakby przed obficie zastawionym stołem, ale żaden nie miał odwagi zasiąść do uczty, z obawy, by go inni nic uprzedzili; toteż wszyscy nieufnie spojrzeli na siebie.

W kilka dni po zniknięciu Sécharda Petit-Claud odwiedził Wielkiego Cointet w piarni.

– Zrobiłem, co mogłem – rzekł. – Dawid, zamknął się sam w więzieniu, którego nie znamy, i szuka tam w spokoju jakiegoś ulepszenia. Jeśli nie osiągnąłeś pan celu, to nie z mojej winy; czy dotrzyma pan obietnicy?

– Tak, jeśli dopniemy swego – odparł Wielki Cointet. – Stary Séchard siedzi tu od kilku dni, zachodził badać nas o kwestie fabrykacji papieru; stary skąpiec zwęszył wynalazek i chce go wyzyskać, jest zatem nadzieja spółki. Pan jesteście adwokatem ojca i syna...

– Niech pana Duch Święty natchnie, abyś ich wykierował – dorzucił Petit-Claud z uśmiechem.

– Tak – odparł Wielki Cointet. – Jeśli ci się uda wpakować Dawida do więzienia albo wydać go nam w ręce aktem spółki, będziesz mężem panny de la Haye.

– To pańskie ultimatum? – rzekł Petit-Claud.

– Yes – odparł Cointet – skoro mówimy cudzoziemskimi językami.

– Oto zatem moje, w poprawnej francuszczyźnie – podjął Petit-Claud sucho.

– No! Cóż takiego? – rzekł Wielki Cointet, zaciekawiony,

– Przedstaw mnie pan jutro pani de Senonches, spraw, aby rzecz weszła na pozytywne tory, słowem, dopełń pan obietnicy albo ja sam płacę dług Sécharda i wchodzę z nim w spółkę sprzedając kancelarię. Nie chcę się dać wystrychnąć na dudka. Pan mówiłeś ze mną po prostu i ja posługuję się tym samym językiem. Zrobiłem swoje, zrób i pan swoje. Pan masz wszystko, ja nic. Jeśli nie będę miał dowodów pańskiej szczerości, wiem, co mi trzeba uczynić.

Wielki Cointet wziął kapelusz, parasol, przybrał swą jezuicką minę i wyszedł prosząc Petit-Clauda, aby mu towarzyszył.

– Zobaczysz pan, drogi przyjacielu, jak ci przetarłem drogi – rzekł do adwokata.

W jednej chwili przebiegły i chytry fabrykant zrozumiał niebezpieczeństwo, w jakim się znalazł: poznał w Petit-Claudzie jednego z ludzi, z którymi trzeba grać w uczciwe karty. Już wprzód, aby być w porządku i mieć spokojne sumienie, rzucił, przy zdawaniu rachunku z finansów panny de la Haye, kilka stów w ucho eksgeneralnego konsula.

– Miałbym coś dla Franciszki; z trzydziestoma tysiącami franków posagu – rzekł uśmiechając się – panna nie może być wymagająca.

– Pomówimy o tym jeszcze – odparł Francis du Hautoy – Od czasu wyjazdu pani de Bargeton pozycja pani de Senonches bardzo się zmieniła; będziemy mogli wyswatać Franciszkę z jakim znacnym starszym obywatelem,

– I zyskać to, że się będzie źle prowadzić – rzekł papiernik przybierając maskę chłodu. – Ech! Wydajcie ją lepiej za człowieka zdolnego, ambitnego, któremu użyczycie poparcia i który stworzy żonie ładną pozycję.

– Zobaczmy – powtórzył Francis – przede wszystkim trzeba zasięgnąć zdania chrzestnej matki.

Po śmierci pana de Bargeton Luiza de Nègrepelisse kazała sprzedać pałac przy ulicy du Minage. Pani de Senonches, niezadowolona ze swego *domicilium*, skłoniła pana de Senonches, aby kupił ten dom, kolebkę ambicji Lucjana. W nim to zaczęła się nasza opowieść. Zefiryne de Senonches zapragnęła objąć następstwo po pani de Bargeton w jej małym królestwie postanowiła stworzyć salon, słowem, odgrywać rolę wielkiej damy. W wysokim towarzystwie angulemskim nastąpiło rozdwojenie: po pojedynku pana de Bargeton z panem de Chandour jedni obstawali za niewinnością Luizy, drudzy za prawdą potwarzy Stanisława de Chandour. Pani de Senonches oświadczyła się za Bargetonami i zjednała sobie od razu całe stronnictwo. Następnie, zamieszkawszy w pałacu, wyzyskała przyzwyczajenie wielu ludzi, którzy przychodzili tam od tylu lat na partyjkę. Przyjmowała co wieczór i pobiła stanowczo Amelię de Chandour, która wystąpiła jako jej antagonistka. Nadzieje Frania du Hautoy, który znalazł się w samym sercu angulemskiej arystokracji, posunęły się aż do chęci wydania Franciszki za starego pana de Séverac, którego pani du Brossard nie zdołała zagarnąć dla córki. Powrót pani de Bargeton jako prefektowej powiększył jeszcze pretensje Zefiryny dla ukochanej chrze-

śniaczki. Mówiła sobie, że hrabina Sykstusowa du Châtelet użyje swych wpływów dla tej, która stała się jej szermierzem. Papiernik, który znał Angoulême jak swoją kieszeń, ocenił jednym rzutem oka wszystkie trudności, ale postanowił wydobyć się z drażliwej sytuacji za pomocą śmiałego kroku, na jaki tylko Tartufe umiałby się zdobyć. Adwokacina, zdumiony lojalnością swego współnika w krętaństwie, nie przerywał mu medytacji, krocząc z papierni do pałacu przy ulicy du Minage, gdzie, w sieni, służba wstrzymała niewczesne odwiedziny tymi słowami:

– Jaśnie państwo są przy śniadaniu.

– Nie szkodzi. Proszę nas oznajmić – odparł Wielki Cointet.

Dzięki swemu nazwisku nabożny przemysłowiec został wprowadzony natychmiast, przedstawił adwokata mizdrzącej się Zefiryńie, która śniadała z Franiem du Hautoy i panną de la Haye. Pan de Senonches, jak zazwyczaj, otwierał polowanie u pana de Pimentel.

– Oto, pani, młody adwokat, o którym mówiłem, i który podejmie się usamowolnienia jej pięknej pupilki.

Eksdyplomata przyjrzał się adwokatowi, który ze swej strony spojrział ukradkiem na piękną pupilkę. Zefiryńa, której nigdy Cointet ani Franio nie wspomnieli o tym ani słówka, zdumiała się tak, że widelec wypadł jej z dłoni. Panna de la Haye, jędzunia o kwaskowatej twarzy, bez wdzięku, chuda, z płowymi włosami, była mimo swej arystokratycznej minki nadzwyczaj trudna do wyswatania. Te słowa: „Ojciec i matka nieznanii”, zawarte w metryce, broniły jej nieodbicie wstępu do sfery, w której życzliwość chrzestnej matki oraz Frania pragnęłyby ją umieścić. Panna de la Haye, nie znając swego położenia, pozwalała sobie wybredzać; byłaby odrzuciła najbogatszego przemysłowca z Houmeau. Dosyć wymowne skrzywienie na widok chudego adwokaciny zupełnie było jednomyślnie z tym, które Cointet ujrzał na wargach Petit-Clauda. Pani de Senonches i Franio zdawali się porozumiewać oczami nad sposobem odprawienia Cointeta i jego protegowanego. Cointet, który widział wszystko, poprosił pana du Hautoy, aby mu udzielił chwili posłuchania, i przeszedł z dyplomata do salonu.

– Panie – rzekł prosto z mostu – ojcostwo pana zaślepia. Niełatwo przyjdzie panu wydać córkę za męża, toteż w interesie was wszystkich postawiłem was w niemożności cofnięcia się; kocham bowiem Franciszkę jak swoją wychowanekę. Petit-Claud wie wszystko!... Jego niezmierna ambicja poręcza szczęście tego drogiego dziecka. Przede wszystkim. Franciszka zrobi z męża, co zechce; państwo zaś, przy pomocy pani prefektowej, która właśnie przybywa, zrobicie zeń prokuratora. Pan Milaud mianowany jest ostatecznie w Nevers. Petit-Claud sprzeda kancelarię, uzyskacie dlań łatwo miejsce podprokuratora, niebawem zostanie prokuratorem, potem prezydentem sądu, posłem...

Wróciwszy do jadalni, Franio był nadzwyczaj uprzejmy dla konkurenta. Spojrzął znacząco na panią de Senonches i zakończył tę scenę prezentacji zapraszając Petit-Clauda na następny dzień na obiad dla pogadania o interesach. Następnie, odprowadziwszy obu aż na dziedziniec, oświadczył adwokatowi, iż na zalecenie Cointeta gotów jest, zarówno jak i pani de Senonches, zatwierdzić wszystko, co piastun fortuny panny de la Haye obmyślił dla szczęścia tego aniołka.

– Ha! Jakaż brzydka! – wykrzyknął Petit-Claud. – Wpadłem!...

– Wygląda dystygowanie – odparł Cointet – zresztą, gdyby była ładna, czyżby ją panu dali?... Ech, mój drogi! Znalazłby się niejeden drobny obywatel ziemski, któremu trzydzieści tysięcy, poparcie pani de Senonchos oraz hrabiny du Châtelet starczyłyby w zupełności; tym więcej, że pan du Hautoy nie ożeni się nigdy i że ta dziewczyna jest jego dziedziczką... Twoje małżeństwo jest faktem dokonany!...

– A to jak?

– Oto co powiedziałem – odparł Wielki Cointet streszczając adwokatowi swój śmiały zamach. – Mój drogi, pan Milaud ma być, jak mówią, mianowany prokuratorem w Nevers;

sprzedasz kancelarię i za dziesięć lat będziesz ministrem sprawiedliwości. Jesteś dość odważny, aby się nie cofnąć przed żadną usługą, jakiej dwór zażąda.

– Dobrze więc, bądź pan zatem jutro o wpół do piątej na placu du Mûrier – rzekł adwokat, podniecony tą wizją przyszłości – pogadam ze starym Séchard i dobijemy spółki, w której ojciec i syn staną się łupem Cointetów.

W chwili gdy stary proboszcz z Marsac wspinał się do Angoulême, aby powiadomić Ewę o stanie brata, Dawid od jedenastu dni znajdował się ukryty o dwa domy od tego, który zacny kapłan właśnie opuścił.

Kiedy ksiądz Marron stanął na placu du Mûrier, zastał trzech ludzi – trzy typy godne uwagi, każdy w swoim rodzaju – którzy zaważyli całym swoim ciężarem na przyszłości i teraźniejszości biednego dobrowolnego więźnia: byli to stary Séchard, Wielki Cointet i chudy adwokacina. Trzej ludzie, trzy chciwości, ale trzy chciwości tak różne jak ludzie! Jeden gotów był prehandlować syna, drugi klienta, zaś Wielki Cointet kupował te wszystkie ohydy, kołyszając się nadzieją, że nic nie zapłaci. Było koło piątej; większość osób wracających na obiad zatrzymywała się przyglądając się przez chwilę tym trzem ludziom. – Co, u diaska, stary Séchard i Wielki Cointet mogą mieć sobie do powiedzenia?... – zastanawiali się najciekawszy.

– Chodzi zapewne o tego nieszczęśnika, który zostawia żonę, dziecko i teściową bez chleba – odpowiadano.

– Posyłajże tu dzieci na edukację do Paryża! – zawyrokował jeden z prowincjonalnych matadorów. – Ho ho! Co ksiądz tutaj robi, księżu proboszczu? – krzyknął winiarz spostrzegłszy ojca Marron.

– Przyszedłem tu w interesie pańskich najbliższych – odparł starzec.

– Znowu koncept mego syna!... – rzekł stary Séchard.

– Tak by pana niewiele kosztowało wrócić wszystkim szczęście – rzekł ksiądz wskazując okno, z którego pani Séchard wychylała piękną główkę.

W tej chwili Ewa uspokajała krzyki dziecka hojdając je na kolanach i nucąc ma piosenkę.

– Czy ksiądz przynosi nowiny od syna – rzekł ojciec – albo, co by więcej było warte, pieniądze?

– Nie – rzekł ksiądz Marron – przynoszę siostrze nowiny od brata.

– Lucjana?... – wykrzyknął Petit-Claud.

– Tak. Biedny chłopiec przybył z Paryża pieszo. Zastałem go u młynarza, umiera z wyczerpania i nędzy. Och, bardzo jest nieszczęśliwy!

Petit-Claud skłonił się księdzu i ujął Cointeta za ramię mówiąc:

– Mamy być na obiedzie u pani de Senonches, czas się ubierać!...

I, odszedłszy o dwa kroki, szepnął: mu do ucha:

– Kiedy się chwyci młode, ma się niebawem i matkę. Mamy Dawida...

– Ja wyswatałem ciebie, wyswatajże ty mnie – rzekł Wielki Cointet z nieszczerym uśmiechem.

– Lucjan jest moim kolegą szkolnym byliśmy bardzo blisko!... W ciągu tygodnia będę coś wiedział od niego. Postaraj się pan, aby wydano zapowiedzi, a ja podejmuję się przyskrzynić Dawida. Moja misja kończy się z jego zamknięciem pod klucz.

– Ach! – wykrzyknął jakby do siebie Wielki Cointet – ładna by to była rzecz uzyskać patent na nasze nazwisko!

Słyszając to chuderlawy adwokacina zadrżał.

W tej chwili Ewa ujrzała w drzwiach teścia i księdza Marron.

– Ot, pani Séchard – rzekł stary niedźwiedź do synowej – oto nasz proboszcz, który z pewnością przybył nam opowiedzieć ładne historie o bracie.

– Och! – wykrzyknęła Ewa, ugodzona w serce. – Cóż jeszcze mogło mu się zdarzyć?...

Wykrzyk ten zwiastował tyle nagromadzonych bólów, tyle i tak różnorodnych obaw, że ksiądz Marron pośpieszył dodać:

– Niech się pani uspokoi, żyje!

– Czy byłbyś tak łaskaw, ojczy – rzekła Ewa do starego winiarza – poprosić moją matkę; chciałabym, aby słyszała to, co ksiądz proboszcz ma opowiedzieć o Lucjanie.

Starzec poszedł poszukać pani Chardon.

– Czeka was nowy pasztet – rzekł. – Idź pani pogadać z księdzem Marron, który jest dobry człowiek, chociaż ksiądz. Obiad spóźni się zapewne, wróć za godzinę.

I starzec, nieczuły na wszystko, co nie dzwoniło lub nie błyszczało złotem, opuścił starą kobietę nie troszcząc się, jak zniesie cios, który jej zadał. Nieszczęście, jakie ciążyło nad dwojgiem jej dzieci, rozbicie nadziei składanych na głowie Lucjana, nieoczekiwana odmiana tego charakteru, który tak długo zdawał się energiczny i uczciwy, słowem wszystkie wypadki, jakie zaszły od półtora roku, zmieniły panią Chardon do niepoznania. Była ona nie tylko szlachetna z rasy, była szlachetna i z serca, i ubóstwiała swoje dzieci, toteż więcej wycierpiała przez te ostatnie pół roku niż przez cały czas wdowieństwa. Lucjan miał widoki uzyskania nazwiska de Rubempré dekretem królewskim, zaczęcia na nowo tej rodziny, wskrzeszenia jej tytułu i godła, stania się wielkim! I runął w błoto! Pani Chardon, surowsza dlań od siostry, uważała syna za zgubionego od dnia, gdy dowiedziała się o sprawie z weksłami. Matka chce się niekiedy łudzić, ale zawsze zna dobrze dziecko, które wykarmiła, z którym się nie rozstawała; toteż w dyskusjach między Ewą a Dawidem o widoki Lucjana w Paryżu pani Chardon, na pozór dzieląc złudzenia Ewy, drżała, by obawy Dawida nie okazały się słuszne, mówił bowiem tak, jak mówiło w głębi jej matczyne sumienie. Nadto znała wrażliwość córki, aby zdradzić przed nią swe cierpienia, musiała tedy tłumić je w owym milczeniu, do jakiego są zdolne jedynie matki umiejące kochać. Ewa znowuż śledziła ze zgrozą spustoszenia, jakie zgrzyzota czyniła w matce, patrzyła, jak przechodzi od starości do zgrzybiałości, posuwając się w oczach niemal! Matka i córka dopuszczały się tedy wzajem owych szlachetnych kłamstw, które nikogo nią zwodzą. W życiu tej matki zdanie okrutnego winiarza było kroplą wody, która miała przepelnić miarę: tych kilka słów sięgnęło panią Chardon w samo serce.

Toteż kiedy Ewa powiedziała księdzu: „Księżę proboszczu, oto moja matka”, kiedy ksiądz spojrział na tę twarz umęczoną jak twarz starej zakonnicy, okoloną włosami zupełnie białymi, ale uszlachetnioną łagodnym i spokojnym spojrzeniem nabożnej rezygnacji, spojrzeniem kobiety kroczącej, jak mówi Pismo, wedle woli Bożej, zrozumiał całe życie tych dwóch istot. Znikło w księdzu uczucie litości dla kata, dla Lucjana; zadrżał odgadując cierpienia, jakie przeszły jego ofiary.

– Matko – rzekła Ewa ocierając oczy – biedny Lucjan jest bardzo niedaleko, w Marsac.

– A czemu nie tu? – spytała pani Chardon. Ksiądz Marron powtórzył wszystko, co mu Lucjan opowiedział o niedolach podróży i nieszczęściach ostatnich dni w Paryżu. Odmalował rozpacz poety, z chwilą gdy się dowiedział, jak zaciążyła na rodzinie jego nieopatrzność; opisał również obawy jego o przyjęcie, z jakim by się spotkał w Angoulême.

– Czyż doszedł do tego, iż nauczył się wątpić o nas? – rzekła pani Chardon.

– Nieszczęśliwy szedł do was pieszo, znosząc najokropniejsze braki; wraca upokorzony, skruszony i pragnie odmienić życie, naprawić swoje błędy.

– Ojczy – rzekła siostra – mimo złego, jakie nam wyrządził, kocham brata tak, jak się kocha ciało istoty, która już nie istnieje; kochać go w ten sposób to znaczy jeszcze kochać więcej, niż wiele sióstr kocha swoich braci. Wtrącił nas w straszną nędzę; ale niech przyjdzie, podzielą ten lichy kawałek chleba, jaki jeszcze mamy, słowem to, co nam zostawił. Ach, gdyby nie był nas opuszczał, księżę proboszczu, nie postradalibyśmy najdroższych skarbów!

– I to ta sama kobieta, która go stąd uprowadziła, przywiozła go z powrotem swą karocą – wykrzyknęła pani Chardon. – Wyjechawszy w kolasie pani de Bargeton, obok niej, wrócił z tyłu, na walizce!

– W czym mogę być państwu użyteczny? – spytał zacny proboszcz szukając jakiegoś pożądanego frazesu.

– Ach, księżo – odparła pani Chardon – rana pieniężna nie jest śmiertelna, powiadają; ale takich ran nie może uleczyć kto inny niż sam chory.

– Gdybyś, ojczu, miał dość wpływu, aby skłonić mego teścia do wspomnienia Dawida, ocaliłbyś całą rodzinę.

– On nie wierzy w was i wydał mi się bardzo podrażniony – rzekł starzec. Z domyślników winiarza sprawy jego syna wydały się księdzu gniazdem os, w które niebezpiecznie jest stąpić nogą.

Ukończywszy swą misję ksiądz udał się na obiad do Postela, który rozproszył do reszty odrobinę dobrych chęci wuja, przyznając, jak całe Angoulême, słuszność nie Dawidowi, lecz jego ojcu.

– Można sobie dać radę z marnotrawcą – rzekł na zakończenie mały Postel – ale ludzie bawiący się w wynalazki to czysta ruina.

Ciekawość proboszcza nasyciła się zupełnie, co stanowi na prowincji główny cel zapалу, z jakim ludzie zajmują się drugimi. Wieczorem ksiądz obznajmił poetę ze wszystkim, co się dzieje u Séchardów, przedstawiając mu swą podróż jako misję najczystrzego miłosierdzia.

– Zadłużyłeś siostrę i szwagra na dziesięć do dwunastu tysięcy – rzekł w końcu. – Takiej sumy, drogi panie, nikt nie znajdzie u sąsiada. U nikogo z nas się nie przelewa! Myślałem, że chodzi o znacznie mniejszą sumę, kiedy mi pan mówiłeś o swoich skryptach.

Podziękowawszy starcowi za jego dobroć, Lucjan rzekł:

– Słowa przebaczenia, jakieś mi, ojczu, przyniósł, są dla mnie prawdziwym skarbem.

Nazajutrz Lucjan puścił się bardzo rano z Marsac do Angoulême, gdzie stanął około dziewiętej, z laską w rękę, w surducinie dosyć uszkodzonej podróżą oraz w czarnych pantalonach w białe paski. Zużyte obuwie mówiło dość jasno, iż należał do nieszczęśliwej klasy pieszych wędrowców. Toteż nie taił przed sobą wrażeń, jakie musiał wyrzucić na ziomkach kontrast jego powrotu i wyjazdu. Ale z sercem jeszcze drgającym od wyrzutów, które obudziło w nim opowiadanie starego księdza, przyjmował w tej chwili tę karę, gotów znieść spojrzenia znajomych. Powiadał sobie w duchu:

„Jestem heroiczny!”

Wszystkie te poetyckie natury zaczynają od tego, iż oszukują same siebie. W miarę jak Lucjan szedł przez Houmeau, w duszy jego walczył wstyd tego powrotu i poezja wspomnień. Serce mu zabiło, kiedy przechodził pod drzwiami Postela, gdzie szczęściem dlań, Leonia Marron znajdowała się w sklepie sama z dzieckiem. Ujrzał z przyjemnością (taką moc zachowała w nim próżność), iż nazwisko ojca znikło z szyldu. Od swego małżeństwa Postel kazał przemalować sklep i umieścić na szyldzie, jak w Paryżu, po prostu: APTEKA.

Mijając bramę Palet, Lucjan odczuł działanie rodzinnego powietrza, nie czuł już ciężaru swych niedoli i rzekł sobie z rozkoszą:

„Ujrzę ich zatem!”

Dotarł do placu du Mûrier nie spotkawszy nikogo: szczęście, o jakim zaledwie marzył, on, który niegdyś przechadzał się po mieście jako triumfator! Maryna i Kolb, strażujący u bramy, rzucili się ku schodom, wołając:

– Idzie! idzie!...

Lucjan ujrzał starą drukarnię, dziedziniec, zastał na schodach siostrę i matkę: uściskali się zapominając na chwilę w tym uścisku wszystkich nieszczęść. W rodzinie wchodzi się prawie zawsze w jakiś układ z nieszczęściem; człowiek ściele sobie łóżko, a nadzieja pozwala ścierpieć jego twardość. O ile Lucjan przedstawiał obraz rozpaczony, przedstawiał także i jej poezję: opalił się w drodze od słońca, głęboka melancholia naznaczyła jego rysy rzucając cienie na czoło poety. Ta zmiana świadczyła o tylu cierpieniach, że na widok śladów, jakie nędza wyrzyła na jego fizjonomii, jedynym możliwym uczuciem była litość. Wyobraźnia, która przed dwoma laty opuściła łono rodziny, odnajdowała za powrotem smutną rzeczywistość. Ewa, przy całej radości, miała uśmiech męczennicy. Pod wpływem zgryzot twarz pięknej i młodej

kobiety staje się niebiańska. Powaga, która zastąpiła na licach siostry dawną słodycz i niewinność, zbyt wymownie przemawiała do Lucjana, aby mogła nie wyrzucić na nim bolesnego wrażenia. Toteż po pierwszym wylewie, tak żywym i naturalnym, nastąpiła z obu stron reakcja: każde lękało się przemówić. Lucjan mimo woli szukał spojrzeniem tego, którego brakowało w zebraniu. To spojrzenie, dobrze zrozumiane, spowodowało wybuch łez Ewy, a w następstwie i Lucjana. Pani Chardon siedziała blada i na pozór niewzruszona. Ewa wstała, zeszła na dół, aby oszczędzić bratu twardego słowa, i rzekła do Maryny:

– Moje dziecko, pan Lucjan lubi poziomki, trzeba by się postarać!...

– Och! Ja myślałam sobie, że państwo będą chcieli uczcić przyjazd pana Lucjana, Niech pani będzie spokojna, będziecie mieli doskonałe śniadanko i obiad też jak się patrzy.

– Lucjanie – rzekła pani Chardon – masz tutaj dużo do naprawienia. Wyjechawszy, aby stać się przedmiotem naszej dumy, pogrążyłeś nas w nędzy. Niemal strzaskałeś w rękach brata narzędzie fortuny, o której marzył jedynie dla nas wszystkich. Złamałeś nie tylko to... – rzekła matka.

Nastąpiła straszliwa pauza; milczenie Lucjana wyrażało poddanie się tym macierzyńskim wyrzutom.

– Wejdz na drogę pracy – podjęła łagodnie pani Chardon. – Nie potępiam cię, iż kusiłeś się wskrzesić szlachetny ród, z którego pochodzę; ale do takich przedsięwzięć trzeba przede wszystkim majątku i osobistej godności: brakło ci jednego i drugiego. W miejsce wiary zaszczyliłeś w nas nieufność. Zniweczyłeś spokój pracownic i zrezygnowanej rodziny, która kroczyła tutaj trudną drogą... Pierwszym błędom należy się przebaczenie. Nie powtarzaj już tego. Znajdujemy się w położeniu trudnym, bądź roztropny, słuchaj siostry; nieszczęście jest nauczycielem, którego twarde lekcje wydały w niej owoce: nauczyła się myśleć poważnie, jest matką, dźwiga, przez poświęcenie dla drogiego Dawida, cały ciężar gospodarstwa; słowem, stała się, z twojej winy, mą jedyną pociechą.

– Miałaś prawo być surowszą – rzekł Lucjan ściskając matkę. – Przyjmuję twoje przebaczenie, jest ono jedyne, jakiego będę w życiu potrzebował.

Ewa wróciła; z upokorzonej postawy brata zrozumiała, że pani Chardon przemówiła mu do sumienia. Dobroć sprowadziła na jej usta uśmiech, na który Lucjan odpowiedział tłumionymi łzami. Obecność ma jakiś czar, zmienia najbardziej wrogie usposobienia tak między kochankami, jak w łonie rodziny, choćby przyczyny żalu i urazy były najsłuszniejsze. Czy przywiązanie żłobi w duszy drogi, w które rada jest powracać? Czy to zjawisko należy do sfery magnetyzmu? Czy rozum powiada, że trzeba albo już rozstać się na zawsze, albo przebaczyć? Czy objaw ten należy przypisać rozumowaniu, przyczynom fizycznym czy też duszy? Każdy musiał doświadczyć, iż spojrzenie, ruch, postępek kochanej istoty wydobywają z serca tych, których ona najbardziej obraziła, zmartwiła lub znękała, iskry czułości. Choć rozumowi trudno jest zapomnieć, choć poczucie krzywdy trwa jeszcze, serce, mimo wszystko, wraca do swej niewoli. I tak biedna siostra, słuchając aż do śniadania zwierzeń brata, nie była panią swych oczu, kiedy patrzyła na niego, ani też swego głosu, kiedy pozwoliła mówić sercu. Ogarniając obraz literackiego życia w Paryżu, zrozumiała, jak Lucjan mógł ulec w walce. Radość poety pieszczącego dziecię Ewy, wybuchy jego dzieciństwa, szczęście, iż ogląda kraj rodzinny i swoich, zmieszane z głęboką troską o ukrywającego się Dawida, słowa żalu, jakie wydarły się Lucjanowi, rozczulenie jego na widok poziomek, gdy ujrzał, iż pośród swych udręczeń siostra pamiętała o ulubionym przysmaku, wszystko, aż do konieczności pomieszczenia tego marnotrawnego brata i zajęcia się nim, uczyniło dzień ten świętem. Było to jak gdyby wythnienie w niedoli. Aż stary Séchard zmaćił obu kobietom tę chwilę wylania, mówiąc:

– Podejmujecie go, jak gdyby wam przywiózł złote góry!...

– A cóż Lucjan zrobił takiego, abyśmy go nie miały podejmować?... – wykrzyknęła pani Séchard, czuła na opinię Lucjana.

Jednakże po pierwszych chwilach roztkliwienia rzeczywistość upomniała się o swoje prawa. Lucjan zauważył niebawem u Ewy różnicę między przywiązaniem obecnym a tym, jakie dlań miała niegdyś. Dawid był dla niej przedmiotem głębokiej czci, gdy Lucjana kochała mimo wszystko, tak jak się kocha kochankę, mimo klęsk, jakie sprowadza. Szacunek, niezbędny grunt dla przywiązania, jest owym twardym materiałem, który mu daje nieokreśloną pewność, bezpieczeństwo, stanowiące podstawę życia; otóż tego uczucia brakło pani Chardon i Ewie w stosunku do Lucjana. Nie czuł w nich tej ufności, jaką byłby posiadał, gdyby nie chybił honorowi Sąd wydany o nim przez d'Artheza, sąd, który stał się przekonaniem siostry, przebijał mimo woli w jej gestach, spojrzeniach, głosie. Lucjan budził współczucie; ale aby miał być chlubą, ozdobą rodziny, bohaterem domowego ogniska, wszystkie te piękne nadzieje pierzchył bezpowrotnie. Lękano się jego nieopatrności tak dalece, iż tajono przed nim schronienie Dawida. Ewa, nieczuła na pieszczoty, w jakie stroiła się ciekawość Lucjana, spragnionego widoku szwagra, nie była już tą Ewą z Houmeau, dla której niegdyś spojrzenie Lucjana było nieodpartym nakazem. Lucjan mówił o naprawieniu błędów, chępiąc się, iż mógłby ocalić Dawida. Ewa odpowiadała:

– Nie mieszaj się do tego; wrogowie nasi to najbardziej przewrotni i szczymani ludzie pod słońcem.

Lucjan potrząsnął głową, jak gdyby mówiąc: „Walczyłem z paryżanami...” Siostra odpowiadała spojrzeniem, które znaczyło: „I padłeś...”

„Nie kochają mnie już – myślał Lucjan. – Dla rodziny, jak i dla świata, trzeba tedy powodzenia!”

Od drugiego dnia, starając się wytłumaczyć sobie brak zaufania matki i siostry, poeta ogarniał rodzinny dom myślą nie nienawistną, ale zgryźliwą. Zaczął przykładać miarę paryską do tego skromnego prowincjonalnego życia, zapominając, że cierpliwa mierność tej wzniosłej swą rezygnacją rodziny była jego dziełem.

„Ot, mieszczki z nich, niezdolne mnie zrozumieć” – mówił sobie oddalając się w ten sposób od siostry, matki i Sécharda, których nie mógł już oszukać ani co do swego charakteru, ani co do przeszłości.

Ewa i pani Chardon, w których tyle wstrząśnień i nieszczęść obudziło zmysł jasnowidzenia, śledziły tajemne myśli Lucjana, odczuły jego niesprawiedliwy sąd i jego obcość.

„Paryż bardzo go nam odmienił” – myślały.

Zbierały wreszcie owoc egoizmu, które same wyhodowały. Z obu stron ten lekki zaczyn musiał dojść do fermentacji i doszedł w istocie, zwłaszcza u Lucjana, który tyle sobie miał do wyrzucenia. Co do Ewy, była ona z rzędu sióstr umiejących powiedzieć bratu, który pobłądził: „Przebacz mi twoje winy...” Kiedy spójnia dusz bywa równie doskonała jak niegdyś między Ewą i Lucjanem, wszelka skaza na tym ideale jest śmiertelna. Gdy zbrodniarze godzą się po pchnięciach sztyletu, zakochani rozchodzą się nieodwołalnie dla jednego spojrzenia, jednego słowa. Często we wspomnieniu o rzekomej doskonałości serc kryje się tajemnica niewyjaśnionego na pozór rozstania. Można żyć z nieufnością w sercu wówczas, gdy przeszłość nie jawi obrazu przywiązania czystego i bez chmurki, ale dla dwojga istot niegdyś doskonale bliskich, skoro spojrzenie, słowo wymagają ostrożności, życie staje się niemożliwe. Dlatego też wielcy poeci każą swoim Pawłom i Wirginiom⁸ umierać na progu młodości. Czy moglibyście sobie wyobrazić Pawła i Wirginię poróżnionych? Zważmy na chwałę Ewy i Lucjana, że sprawy materialne, mimo iż tak drażliwe, nie jątrzyły tych ran; zarówno u nieskazitelnej siostry, jak u ciężko winnego poety wszystko rozgrywało się w sferze uczucia, toteż najmniejsze nieporozumienie, najdrobniejsza sprzeczką, nowy zawód ze strony Lucjana mogły ich rozłączyć lub stać się przyczyną rodzinnego starcia, którego nie da się naprawić. Gdzie chodzi o pieniądze, wszystko się da ułożyć; ale uczucia są nieubłagane.

⁸ Paweł i Wirginia – para niewinnych a nieszczęśliwych kochanków z powieści pod tymże tytułem, napisanej przez Bernardina de Saint-Pierre (1737–1814).

Nazajutrz Lucjan otrzymał numer miejscowego dziennika i pobladł z przyjemności widząc się tematem wstępnego artykułu, na jaki pozwoliła sobie ta szacowna gazetka, która, podobna w tym do prowincjonalnych akademii, jak dobrze wychowana panna, wedle określenia Woltera, nigdy nie dała przyczyn do mówienia o sobie

„Niech Franche-Comté wbija się w pychę tym, że wydało Wiktora Hugo, Karola Nodier i Cuviera; Bretania Chateaubrianda i Lamennais'go, Normandia Kazimierza Delavigne, Turenia autora „Eloi”⁹; dziś Angoulême, które już za Ludwika XIII zrodziło znakomitego Gueza, bardziej znanego pod nazwiskiem de Balzac, nie ma nic do pozazdrośczenia tym prowincjom ani też Limuzji, która wydała Dupuytrena, ani Owernii, ojczyźnie Montlosiera, ani Bordeaux, które miało szczęście patrzeć na urodzenie tylu wielkich ludzi; my także mamy poetę! Autor pięknych sonetów zatytułowanych „Stokrocie” łączy do chwały poety sławę prozaika, świat bowiem zawdzięcza mu również wspaniałe romans „Gwardzista Karola IX”. Przyjdzie dzień, w którym wnuki nasze będą dumne, iż miały za ziomka Lucjana Chardon, rywala Petrarki!!!”

W prowincjonalnych dziennikach tego czasu wykrzykniki podobne byty do owych „hura”, którymi przyjmuje się mowy na mityngach w Anglii.

„Mimo olśniewających sukcesów w Paryżu młody poeta przypomniał sobie, że pałac Bargeton był kolebką jego triumfów, że arystokracja angulemska pierwsza przyklasnęła jego poematom; że małżonka prefekta, hrabiego du Châtelet, dodawała odwagi pierwszym jego krokom w służbie Muz; i wrócił między nas!... Całe Houmeau doznało głębokiego wzruszenia, kiedy wczoraj zjawił się w nim nasz Lucjan de Rubempré. Nowina o jego powrocie wywarła wszędzie najżywsze wrażenie. To pewna, iż Angoulême nie da się wyprzedzić mieszkańcom Houmeau w objawach czci, jakie rodzinne miasto gotuje się złożyć temu, który, w prasie czy literaturze, tak chlubnie reprezentował je w Paryżu. Lucjan, poeta zarazem religijny i rojalistyczny, zwycięsko stawiał czoło rozjuszeniu stronnictw; przybył, jak powiadają, odpocząć po trudach walki, która zużyłaby atletów silniejszych jeszcze od tego delikatnego artysty i marzyciela.

Dzięki głęboko politycznej myśli, której przyklaskujemy i którą, jak powiadają, pierwsza powzięła hrabina du Châtelet, jest mowa o tym, aby przywrócić wielkiemu poecie tytuł i nazwisko znakomitej rodziny de Rubempré, której matka poety, pani Chardon, jest jedyną lato-roślą. Odmładzać w ten sposób, za pomocą nowych talentów i nowej chwały, stare i bliskie wygaśnięcia rody jest u nieśmiertelnego twórcy Konstytucji¹⁰ nowym dowodem jego stałego dążenia wyrażonego słowy: Jedność i zapomnienie.

Nasz poeta zamieszkał u siostry swej, pani Séchard...”

W rubryce „Kronika angulemska” znajdowały się następujące nowiny:

„Nasz prefekt, hrabia du Châtelet, już zamianowany zwyczajnym podkomorzym JKM, otrzymał godność radcy stanu do nadzwyczajnych poruczeń.

Wszystkie władze złożyły wczorajszego dnia panu Prefektowi swoje uszanowanie.

Hrabina Sykstusowa du Châtelet będzie przyjmowała co czwartek.

Mer Escarbas, pan de Nègrepelisse, reprezentant młodszej gałęzi rodziny d'Espard, ojciec pani du Châtelet, świeżo mianowany hrabią, parem Francji i komandorem Św. Ludwika, jest, jak powiadają, upatrzony na przewodniczącego wielkiego kolegium wyborczego w Angoulême przy najbliższych wyborach.”

– Patrz! – rzekł Lucjan do siostry przynosząc dziennik.

Przeczytawszy uważnie, Ewa oddała gazetę Lucjanowi z zamyśloną twarzą.

– Cóż ty na to?... – spytał Lucjan, zdziwiony tą wstrzemięźliwością, która miała odcień chłodu.

⁹ Autorem alegorycznego poematu „Eloa” jest poeta romantycan Alfred de Vigny (1797–1863).

¹⁰ Nieśmiertelny twórca Konstytucji – to Ludwik XVIII.

– Mój drogi – rzekła – ten dziennik należy do Cointetów; oni wyłącznie rozstrzygają o treści; zniewolić może ich pod tym względem jedynie prefektura albo konsystorz. Czy przypuszczasz, że twój dawny rywal – dzisiejszy prefekt, jest dość wspaniałomyślny, aby śpiewać twoje pochwały? Czy zapominasz, że Cointetowie ścigają nas pod nazwiskiem Métiviera i chcą z pewnością doprowadzić Dawida do tego, aby im oddał w ręce zyski swego odkrycia?... Z którejkolwiek strony pochodzi ten artykuł, wydaje mi się niepokojący. Budziłeś tutaj jedynie nienawiści, zazdrości; spotwarzano cię na mocy przysłowia: „Nikt nie jest prorokiem we własnym kraju”, i oto wszystko zmienia się w gnieniu oka.

– Nie znasz miłości własnej prowincjonalnych miasteczek – odparł Lucjan. – W pewnej miejscinie na południu ludność wyległa, aby przyjmować u bram młodego człowieka, który otrzymał nagrodę na jakimś konkursie, widząc w nim wielkiego człowieka *in spe!*

– Słuchaj mnie, drogi Lucjanie, nie chcę ci mówić kazań, powiem wszystko w jednym słowie: miej się tu na baczności przed najmniejszym drobiazgiem.

– Masz słusność – odparł Lucjan, przykro dotknięty, iż znalazł u siostry tak mało entuzjazmu.

Poeta był u szczytu radości, widząc, jak pokątny i hańbiący powrót do Angoulême zmienia się w triumf.

– Nie wierzysz: w tę trochę sławy, która nas kosztuje tak drogo! – wykrzyknął Lucjan po godzinie milczenia, w czasie którego burza zebrała się w jego sercu.

Za całą odpowiedź Ewa spojrzała na Lucjana, a spojrzenie to sprawiło, iż zawstydzził się swego oskarżenia.

Na krótko przed obiadem woźny z prefektury przyniósł list zaadresowany do Lucjana Chardon; list ten jak gdyby przyznawał słusność próżności poety, którego już oto świat wyrzywał rodzinie. List mieścił następujące zaproszenie:

Hrabstwo Sykstusowie du Châtelet mają zaszczyt prosić p. Lucjana Chardon na obiad d. 15 września br.

Do listu dołączona była karta wizytowa:

Hrabia Sykstus du Châtelet Podkomorzy JKM Prefekt Charenty, Radca Stanu

– Jesteś pan w łasce – rzekł stary Séchard – mówią o panu w mieście jak o wielkiej figurze... Wszczyła się sprzeczka między Angoulême a Houmeau, które z nich ma ci uwić wieńce...

– Droga Ewo – szepnął Lucjan siostrze – znajduję się najzupełniej w tym samym położeniu co w dniu, gdy miałem pierwszy raz iść do pani de Bargeton: nie mam się w co ubrać na ten obiad.

– Masz tedy zamiar przyjąć to zaproszenie?... – krzyknęła pani Séchard, przestraszona.

Wywiązała się w tej kwestii polemika między bratem i siostrą. Zdrowy rozsądek mieszkanki prowincji powiadał Ewie, że należy się pokazywać światu jedynie z uśmiechniętą twarzą, w nienagannym stroju; ale pod tym kryła się jeszcze jej prawdziwa myśl: „Dokąd ten obiad zawiedzie Lucjana? Jakże nań ma zamiary ten wielki świat? Czy nie knują czegoś przeciw niemu?”

Wreszcie, udając się na spoczynek, Lucjan rzucił siostrze:

– Ty sobie nie zdajesz sprawy z mego wpływu! Żona prefekta zlekła się dziennikarza; zresztą w hrabinie du Châtelet tkwi zawsze jeszcze dawna Luiza! Kobieta, która uzyskała tyle faworów, może ocalić Dawida! Powiem jej o odkryciu, którego mój brat dokonał; uzyskać dziesięć tysięcy od ministerstwa będzie dla niej drobnostką.

O jedenastej wieczór Lucjan, jego siostra, matka i stary Séchard jak również Kolb i Maryna zbudzili się, wyrwani ze snu przez orkiestrę miejską wzmocnioną muzyką załogi, i ujrzeli plac du Mûrier pełen ludzi. Młodzież miejscowa wyprawiała serenadę dla Lucjana Chardon de Rubempré. Lucjan stanął w oknie pokoju siostry i po ostatnim utworze, wśród najgłębszego milczenia, rzekł:

– Dziękuję wam, rodacy, za zaszczyt, jaki mi czynicie, zaszczyt, którego będę się starał być godny; darujcie mi, że nie powiem więcej: wzruszenie moje jest tak żywe, że nie pozwala mi znaleźć słów.

– Niech żyje autor „Gwardzisty”!... Niech żyje autor „Stokroci”!... Niech żyje Lucjan de Rubempré!

Po tych trzech salwach, wzniesionych przez kilka głosów, trzy wieńce wraz z kilkoma bukietami wpadły, zręcznie rzucone, przez okno do mieszkania. W dziesięć minut później plac był pusty i cichy.

– Wolalbym dziesięć tysięcy franków – rzeki stary Séchard, który z głęboko szyderczą miłą obracał w rękach wieńce i bukiety. – Ale cóż! Pan dałeś im stokrotki, oni oddają ci bukietki: robicie w kwiatkach.

– Tak pan ceni zaszczyt, jaki mi świadczą ziomkowie! – wykrzyknął Lucjan, którego fizjonomia przedstawiała wyraz zupełnie wolny od melancholii i promieniejący prawdziwą radością. – Gdybyś znał ludzi, papo Séchard, wiedziałbyś, że podobna chwila nie zdarza się dwa razy w życiu. Jedynie prawdziwemu entuzjastomowi można zawdzięczać podobne triumfy!... To, droga matko i siostró, zaciera wiele zgryzot.

Lucjan uściskał matkę i siostrę, jak się ściskają ludzie w owych chwilach, gdy radość występuje brzegów falą tak szeroką, że trzeba ją przelać w serce przyjaciela... („W braku przyjaciela – rzekł kiedyś Bixiou – pijany powodzeniem autor ściska odźwiernego”).

– I cóż, drogie dziecko – rzekł do Ewy – czemu płaczesz? A, to z radości...

– Ach – rzekła Ewa do matki, skoro znalazły się same i miały wrócić do łóżek – zdaje się, że w każdym poecie mieszka piękniejsza najgorszego rodzaju...

– Masz słuszość – odparła matka potrząsając głową – Lucjan zapomniał już wszystko, nie tylko swoje nieszczęścia, ale i nasze.

Matka i córka rozstały się nie śmiejąc wyrazić całej swojej myśli.

W krajach pożeranych niesubordynacją społeczną, ukrytą pod słowem „równość”, wszelki triumf jest cudem, który nie dzieje się, jak i wiele cudów zresztą, bez udziału zręcznych maszynistów. Na dziesięć owacji, jakie spotykają żyjących ludzi z porywu wdzięcznej ojczyzny, z pewnością dziewięć ma przyczyny obce osobie laureata. Czyż triumf Woltera na deskach Komedii Francuskiej nie był triumfem filozofii jego wieku? We Francji można triumfować jedynie wtedy, kiedy cały świat wieńczy siebie w osobie triumfatora. Toteż obie kobiety miały słuszość w swoich przeczuciach. Sukces prowincjonalnego geniusza był czymś zbyt przeciwnym prowincjonalnej martwocie Angoulême, aby sprężyną jego nie miał być jakiś interes albo też gorliwy maszynista: dwa zarówno niebezpieczne współpracownictwa. Nieufność Ewy, jak bywa zresztą u większości kobiet, tkwiła w instynkcie: sama przed sobą nie umiałaby jej usprawiedliwić. Zасыpiając myślała:

„Kto tutaj tak bardzo jest przejęty Lucjanem, aby na jego rzecz poruszyć całe miasto? „Stokrocie” nie są zresztą jeszcze wydane; skądże tedy te owacje na rachunek przyszłego sukcesu?...”

Triumf ten był w istocie dziełem Petit-Clauda. W dniu, w którym proboszcz z Marsac oznajmił mu powrót Lucjana, adwokat był po raz pierwszy na obiedzie u pani de Senonches, która miała oficjalnie przyjąć prośbę jego o rękę pupilki. Był to jeden z owych rodzinnych obiadów, których uroczystość ujawnia się raczej w toaletach niż w ilości biesiadników. Mimo iż w rodzinie, wszyscy czują się jak na przedstawieniu, każdy wyraża coś swoim zachowaniem. Franciszkę wystawiono niby za gablotką. Pani de Senonches wywiesiła flagi swoich najwyszukańszych toalet. Pan du Hautoy był w czarnym fraku. Pan de Senonches, uwiadomiony przez żonę o przybyciu pani du Châtelet, która miała się pokazać u nich po raz pierwszy, oraz o oficjalnym występie konkurenta Franciszki, przybył od państwa de Pi-mentel. Cointet, ubrany w swój najpiękniejszy orzechowy surdut, przypominający krojem sutannę, migotał oczom obecnych diamentem wartości sześciu tysięcy franków, wpiętym w żabot;

była to zemsta bogatego kupca nad ubogą arystokracją. Petit-Claud, wystrzyżony, wyczesany, wymyty, nie mógł się wyzbyć sztywnej i oschłej miny. Trudno było nie porównać tego chudego adwokacyny w opiętym fraku do zamrożonej żmii; ale nadzieja tak ożywiła jego oczy podobne do oczu sroki, twarz jego oblekła się w tyle lodowatego chłodu, trzymał się tak sztywno, że utrafił właśnie w ton godnego i ambitnego prokuratora z prowincji. Pani de Senonches prosiła zaufanych, aby nie wspominali nikomu o pierwszym spotkaniu jej pupilki z konkurentem ani o zapowiadanej wizycie pani prefektowej, spodziewała się tedy, iż goście napłyną hurmem. Prefekt i jego żona załatwili urzędowe wizyty prostym rzuceniem biletów, zachowując zaszczyt osobistej bytności jako osobliwe i celowe wyróżnienie, toteż arystokracja angulemska nie posiadała się z ciekawości i wiele osób z obozu Chandour postanowiło udać się do pałacu Bargeton – jako że wzbraniano się nazywać ów dom pałacem Senonches. Oznaki wpływów hrabiny du Châtelet rozbudziły wiele ambicji; opowiadano zresztą, iż tak zmieniła się na korzyść, że każdy chciał to osądzić własnymi oczami. W drodze Petit-Claud dowiedział się od Cointeta, iż pani prefektowa pozwoliła łaskawie, aby Zefiryra przedstawiła jej narzeczonego drogiej Frani; za czym adwokat postanowił wyciągnąć korzyść z fałszywego położenia, w jakim powrót Lucjana stawiał Luizę.

Państwo de Senonches kupując dom Bargetonów wzięli na siebie tak ciężkie zobowiązania, iż jako szczerzy mieszkańcy prowincji nie odważyli się podjąć najmniejszej zmiany. Toteż pierwszym słowem Zefiryry, kiedy wyszła na spotkanie uroczyście oznajmionej prefektowej, było:

– Patrz, droga Luizy, jesteś tu jeszcze u siebie!... – Tak mówiła pokazując świecznik z kryształowymi wisiorami, boazerie i umeblowanie, które niegdyś tak bardzo olśniły Lucjana.

– O tym, moja droga, najmniej pragnę sobie przypominać – rzekła z wdziękiem prefektowa rzucając dokoła spojrzenie, aby się przyjrzeć zgromadzeniu.

Każdy przyznał w duchu, iż Luiza de Nègrepelisse niepodobna była do samej siebie. Wielki świat paryski, w którym bawiła półtora roku, pierwsze chwile szczęścia małżeńskiego, które tak samo przekształciły kobietę, jak Paryż mieszkankę prowincji, pewna godność, jaką daje władza, wszystko to uczyniło z hrabiny du Châtelet osobę zaledwie tak podobną do dawnej pani de Bargeton, jak dwudziestoletnia dziewczyna podobna jest do swej matki. Miała zachwycający stroik z koronek i kwiatów, niedbale przypięty diamentowa szpilką. Włosy ułożone *à l'anglaise* dobrze oprawiały twarz i odmładzały ją zacierając kontury. Fularowa wycięta suknia, rozkosznie oszyta frędzelkami – dzieło słynnej Wiktoriny – uwydatniała smukłą kibić. Ramiona, okryte blondynową chusteczką, ledwie byty widoczne pod gazą, zręcznie owiniętą koło zbyt długiej szyi. Głowiąc bawiła się ładnymi drobiażdżkami, z którymi obchodzenie się jest zabójczą rafą dla mieszkanki prowincji; śliczny flakonik z solami wisiał na łańcuszku u bransolety; w rękę trzymała wachlarz i chusteczkę, nic nie czując się nimi zakłopotana. Smak najdrobniejszych szczegółów, wzięcie skopiowane z pani d'Espard odślaniały w Luizie pilną uczennicę Dzielnicy Saint-Germain. Co się tyczy starego galanta z epoki Cesarstwa, to dojrzał w małżeństwie jak owe melony, które, z zielonych poprzedniego dnia, stają się żółte w ciągu jednej nocy. Znajdując na rozkwitłej twarzy żony świeżość, którą Sykstus postradał, podawano sobie z ucha do ucha tradycyjne prowincjonalne koncepty tym skwapliwiej, iż wszystkie kobiety wściekle były o nową pozycję ekskrólowej Angoulême; uparty intruz musiał tedy zapłacić za żonę. Wyjawszy państwa de Chandour, nieboszczyka pana de Bargeton, pana de Pimentel i Rastignaków, zebranie było prawie równie liczne jak w dniu, kiedy Lucjan czytał w tym samym salonie swoje utwory, gdyż Jego Wielebność ksiądz biskup przybył również w asystencji wielkich wikariuszów. Petit-Claud, wzruszony widokiem angulemskiej arystokracji, która cztery miesiące temu nie mogła być dlań nawet fantastycznym marzeniem, uczuł, iż nienawiść jego do wyższych klas słabnie. Hrabina du Châtelet wydała mu się uroczą, zwłaszcza iż równocześnie rzekł sobie w duchu:

„Pomyśleć, że ta kobieta może mnie zrobić podprokuratorem!”

W połowie wieczoru, użyczwszy jednako długiej chwili rozmowy każdej z kobiet, odmieniając ton i wzięcie wedle ważności osoby oraz jej zachowania się w epoce ucieczki z Lucjanem, Luiza usunęła się z Jego Wielbnością do buduaru. Wówczas Zefiryra ujęła pod ramię Petit-Clauda, któremu serce biło jak młotem, i zaprowadziła go do tego buduaru, gdzie rozpoczęły się nieszczęścia Lucjana i gdzie miały się one dopełnić.

– Oto pan Petit-Claud, moja droga; polecam ci go tym żywiej, iż wszystko, co uczynisz dla niego, będzie niewątpliwie z korzyścią mojej pupilki.

– Pan jest adwokatem? – rzekła dostojna córka Nègrepelisse'ów mierząc spojrzeniem Petit-Clauda.

– Niestety, tak, pani hrabino.

Nigdy syn krawca z Houmeau nie miał, w całym życiu, sposobności posłużyć się tymi dwoma słowami; toteż kiedy je wymawiał, usta miał jakby przepełnione.

– Ale – podjął – od pani hrabiny zależy, abym się znalazł w trybunale. Pan Milaud idzie, jak mówią, do Nevers...

– Zwykle – zauważyła hrabina – zostaje się drugim, potem pierwszym podprokuratorem. Ja chciałabym pana widzieć od razu pierwszym... Aby się zająć panem i uzyskać dla pana tę łaskę, chciałabym mieć pewność pańskiego oddania tronowi, religii, a zwłaszcza panu de Villèle.

– Ach, pani – rzekł Petit-Claud nachylając się do ucha hrabiny – jestem człowiekiem gotowym do bezwarunkowego posłuszeństwa królowi.

– Tego potrzeba nam dzisiaj – odparła uchylając się wstecz, aby mu dać do zrozumienia, że nie życzy sobie rozmowy na ucho. – Jeśli zawsze będzie się pan cieszył poparciem pani de Senonches, może pan na mnie liczyć – dodała czyniąc królewski ruch wachlarzem.

– Pani – rzekł Petit-Claud, który ujrzał Cointeta w drzwiach buduaru – Lucjan wrócił.

– Więc co?... – odparła hrabina tonem, który byłby oniemiał pospolitego człowieka.

– Pani hrabina nie rozumie mnie – odparł Petit-Claud posługując się formułą pełną szacunku. – Ja pragnę złożyć jej dowód mego oddania. Jak pani hrabina chce, aby wielki człowiek, którego pani stworzyła, był przyjęty w Angoulême? Nie ma pośredniej drogi; musi stać się przedmiotem wzgardy albo chwały.

Luiza de Nègrepelisse nie myślała dotąd nad tym problemem, który niewątpliwie miał dla niej swą wagę, więcej z powodu przeszłości niż teraźniejszości. Otóż od obecnych uczuć hrabiny dla Lucjana zależało powodzenie planu, jaki ukuł adwokat, aby doprowadzić do skutku uwięzienie Sécharda.

– Panie Petit-Claud – rzekła przybierając postawę wyniosłą i godną – pan chce być człowiekiem rządu. Wiedz pan, że pierwszą jego zasadą jest nie mylić się nigdy i że kobiety, bardziej jeszcze od rządu, mają poczucie władzy i poczucie własnej godności.

– Tak właśnie myślałem, pani – odparł żywo, przyglądając się hrabinie nieznacznie a bystro – Lucjan przybywa tu w ostatecznej nędzy. Ale o ile ma być przedmiotem owacyj, mogę go także zmusić, właśnie z przyczyny owacji, do opuszczenia Angoulême, gdzie siostra jego i szwagier są ścigani przez komorników...

Dumną twarz Luizy de Nègrepelisse przebiegł lekki skurcz stłumionej radości. Zdziwiona, iż adwokat odgadł ją tak dobrze, spojrzała nań rozwijając wachlarz. W tej chwili weszła Franciszka, co dało hrabinie czas na znalezienie odpowiedzi.

– Widzę – rzekła ze znaczącym uśmiechem – że będzie pan rychło prokuratorem...

Czy to nie znaczyło powiedzieć wszystko, nie zdradzając się?

– Och, pani – wykrzyknęła Franciszka biegnąc dziękować hrabinie – pani zatem będę winna szczęście mego życia!

I, nachylając się do swej protektorki ruchem młodego dziewczęcia, szepnęła:

– To byłaby dla mnie śmierć na wolnym ogniu, gdyby mi przyszło być żoną prowincjonalnego adwokacyny.

Jeżeli Zefiryra przypuściła ten szturm do Luizy, popchnął ją do tego Franio, któremu nie zbywało na pewnej znajomości biurokratycznego świata.

– W pierwszych dniach wszelkiego dojścia do władzy, czy to chodzi o prefekta, czy o dynastię, czy o przedsiębiorstwo – rzekł ekskonsul do przyjaciółki – świeżo upieczeni szczęśliwcy okazują nadzwyczajny zapał do oddawania usług; ale niebawem spostrzegają się w uciążliwościach protekcji i stają się jak z lodu. Dziś Luiza uczyni dla Petit–Clauda to, czego za kwartał nie chciałaby zrobić dla twego męża.

– Czy pani hrabina pomyślała – rzekł Petit–Claud – o zobowiązaniach, jakie nakłada na nią triumf naszego poety? Będzie pani trzeba przyjąć Lucjana w ciągu tych dziesięciu dni, które potrwa entuzjazm miasteczka.

Prefektowa skinęła głową, aby odprawić Petit–Clauda, i podniosła się, aby pomówić z panią de Pimentel, która ukazała się w drzwiach buduaru. Przejęta niespodziewanym wyniesieniem starego Nègrepelisse do godności para, margrabina uważała za potrzebne odświeżyć stosunki z kobietą dość zręczną, aby swój *quasi* fałszywy krok wyzyskać dla pomnożenia wpływu.

– Powiedz mi, droga, czemu zadałaś sobie ten trud, aby wprowadzić ojca do Izby Parów? – spytała margrabina wśród poufnej rozmowy, w której ugięła kolano przed wyższością drogiej Luizy.

– Moje dziecko, udzielono mi tej łaski tym łatwiej, iż ojciec nie ma dzieci i będzie głosił zawsze za koronę; ale jeśli będę miała synów, liczę na to, że starszy będzie mógł przejąć tytuł, herb i parostwo po dziadku...

Pani de Pimentel pomyślała ze zmartwieniem, że matka, której ambicja rozciąga się na dzieci mające dopiero się urodzić, nie będzie jej pomocną w wyniesieniu do parostwa pana de Pimentel, co było jej sekretnym marzeniem.

– Mam prefektową w garści – rzekł Petit–Claud do Cointeta wychodząc – i przyrzekam panu akt spółki... Będę za miesiąc podprokuratorem, a pan będziesz władcą losów Séchara. Staraj się pan teraz znaleźć kogoś, kto by odkupił moją kancelarię; w pół roku zrobiłem z niej pierwszą w Angoulême.

– Wystarczyło wsadzić cię na siodło – rzekł Cointet, prawie zazdrosny o swe dzieło.

Każdy zrozumie teraz przyczynę triumfu Lucjana w rodzinnym mieście. Na sposób owego króla Francji, który się nie mści za księcia Orleanu¹¹, Luiza nie chciała pamiętać zniewag wyrządzonych w Paryżu pani de Bargeton. Chciała wziąć Lucjana pod swój patronat, zmiażdżyć go protekcją i pozbyć się go w przyzwoity sposób. Świadomy, drogą plotek, całej paryskiej intrygi, Petit–Claud dobrze odgadł tę nienawiść, jaką kobieta żywi dla mężczyzny, który nie umiał kochać jej w chwili, gdy miała ochotę być kochaną.

Nazajutrz po owacji, która była usprawiedliwieniem przeszłości Ludwika de Nègrepelisse, aby do reszty odurzyć Lucjana i ugnieść go w rękach, Petit–Claud zjawił się u pani Séchar na czele sześciu młodych ludzi, ekskolegów Lucjana.

Deputację tę wysłali do autora „Stokroci” i „Gwardzisty Karola IX” koledzy, aby go zaprosić na bankiet, jaki zamierzali wydać na cześć wielkiego człowieka wyrosłego z ich szeregów.

– Patrzcie! To ty, Petit–Claud! – wykrzyknął Lucjan.

– Twój powrót tutaj – rzekł Petit–Claud – pobudził naszą miłość własną, wzięliśmy na ambit, zebraliśmy składkę i gotujemy dla ciebie wspaniały bankiet. Dyrektor kolegium i profesorowie będą również; jak się rzeczy zapowiadają, będziemy mieli z pewnością i władze.

– Na kiedyż to? – spytał Lucjan.

– W najbliższą niedzielę.

¹¹ Król Francji, który się nie mści za księcia Orleanu – to Ludwik Filip; zasiadłszy na tronie w 1830 r. oświadczył, że nie będzie się mścił na swych przeciwnikach politycznych, ultraroyalistach za prześladowania, których od nich doznał za Restauracji, gdy nosił tytuł księcia Orleanu.

– Niemożliwe – odparł poeta. – Mógłbym przyjąć aż za dziesięć dni... wówczas, bardzo chętnie...

– A zatem, na twoje rozkazy – rzekł Petit-Claud – dobrze, za dziesięć dni.

Lucjan był czarujący wobec dawnych kolegów, którzy okazywali mu podziw graniczący z czcią. Podtrzymywał, przez jakie pół godziny, nader błyskotliwą rozmowę, czuł się bowiem na piedestale i chciał usprawiedliwić opinię świata; zatknął ręce za kamizelkę, przemawiał jak człowiek, który widzi rzeczy z wysokości, na której współobywatele go postawili. Był skromny, przystępny, prawdziwy geniusz w negliżu. Były to skargi atlety znużonego walkami Paryża, rozczarowanego zwłaszcza; wieszował kolegom, że nie opuścili poczciwej prowincji, etc. Oczarował ich. Następnie wziął na stronę Petit-Clauda i zażądał szczerzej prawdy o sprawach Dawida, wyrzucając mu sekwestr, pod jakim zastał szwagra. Lucjan chciał wziąć Petit-Clauda na chytrą. Petit-Claud postarał się utrwalić dawnego kolegę w mniemaniu, iż on, Petit-Claud, jest mizernym adwokacina z prowincji, pozbawionym wszelkiego sprytu.

Obecne ukształtowanie społeczeństwa, nieskończenie bardziej złożone niż dawniej, spowodowało różniczkowanie zdolności u człowieka. Niegdyś ludzie wybitni, zmuszeni do wszechstronności, pojawiali się, wśród starożytnych narodów, w małej liczbie i na kształt pochodni. Później, o ile zdolności się wyspecjalizowały, zdatność odnosiła się jeszcze do ogółu rzeczy. I tak, człowiek będący szczwaną liszką, jak to mówiono o Ludwiku XI, mógł zużyć swą przemyślność do wszystkiego; ale dziś sama zdatność uległa podziałom. Ile zawodów, tyle rozmaitych chytrą. Przebiegłego dyplomata wystrychnie doskonale na dudka, gdzieś na zapadłej prowincji, w pokątnej sprawie, mierny adwokat lub nawet chłop. Najsprytniejszy dziennikarz może się okazać zupełnym głupcem w kwestiach handlowych; toteż Lucjan musiał się stać i stał się igraszką w ręku Petit-Clauda. Przebiegły adwokat oczywiście sam napisał artykuł, wskutek którego Angoulême, łącznie z przedmieściem, znalazło się w obowiązku uczczenia Lucjana. Współobywatele zgromadzeni na placu du Mûrier byli to robotnicy z drukarni i papierni Cointetów, prowadzeni przez dependentów Petit-Clauda, Cachana i paru ekskolegów Lucjana. Stawszy się dla poety dawnym kolegą z ławy szkolnej, adwokat przypuszczał trafnie, iż w sposobnej chwili Lucjan zdradzi mu tajemnicę schronienia Dawida. Otóż jeżeli Dawid padnie przez winę Lucjana, pobyt w Angoulême stanie się niemożliwy dla poety. Dlatego, aby lepiej ugruntować swój wpływ, adwokat uczynił się wobec Lucjana małym.

– Jakżebym mógł nie zrobić, co tylko było w mej mocy? – rzekł. – Przecież chodziło tu o siostrę dawnego kolegi; ale w trybunale bywają sytuacje z góry skazane na stracenie. Dawid prosił mnie 1 czerwca, abym mu zapewnił spokój na trzy miesiące; jakoż katastrofa przyszła dopiero we wrześniu, a i tu jeszcze zdołałem ubezpieczyć przed wierzycielami całe jego mienie; wygram w apelacji, uzyskam wyrok, że przywilej żony jest bezwarunkowy i że w danym wypadku nie jest żadnym oszukaństwem... Co do ciebie, wracasz nieszczęśliwy, ale jesteś genialnym człowiekiem...

Lucjan uczynił ruch człowieka, któremu kadzielnica buja zanadto blisko nosa.

– Tak, mój drogi – podjął Petit-Claud – czytałem „Gwardzistę Karola IX”, to więcej niż romans, to dzieło! Przedmowę mogło napisać tylko dwóch ludzi: Chateaubriand albo ty!

Lucjan przyjął pochwałę, nie mówiąc, że przedmowa jest pióra d'Artheza. Na stu francuskich autorów dziewięćdziesięciu dziewięciu postąpiłoby jak on.

– Otóż tutaj ludzie jak gdyby cię nie znali – podjął Petit-Claud z udanym oburzeniem. – Kiedy widziałem tę powszechną obojętną, powziąłem myśl poruszenia naszego światka. Kropnąłem artykuł, który musiałeś czytać.

– Jak to, to ty?... – wykrzyknął Lucjan.

– Tak, ja!... Angoulême i Houmeau zaczęły się spierać o pierwszeństwo; zebrałem młodych ludzi, kolegów z ławy szkolnej, i zorganizowałem wczorajszą serenadę; następnie, raz wpłynąwszy na fale entuzjazmu, puściliśmy subskrypcję na obiad. „Jeżeli Dawid musi się

kryć, niech przynajmniej Lucjan będzie uwięziony!” – powiedziałem sobie. Zrobiłem więcej – podjął Petit–Claud – widziałem hrabinę du Châtelet i dałem jej do zrozumienia, że winna jest samej sobie to, aby wydobyć Dawida z jego położenia; może to zrobić, musi!... Jeśli Dawid w istocie znalazł tajemnicę, o której mi mówił, rząd nie zrujnuje się popierając go, a cóż za honor dla prefekta grać rolę człowieka, który, dzięki swej szczęśliwej protekcji, ma połowę zasługi w tak doniosłym odkryciu! Jednym zamachem zyska rozgłos światłego administratora... Siostra twoja przerażona jest naszą sądową pukanią! Przeleżała się dymu... Wojna w trybunale kosztuje równie drogo, jak na polu bitwy; ale Dawid utrzymał swą pozycję, jest panem tajemnicy; nie mogą go uwięzić, nie uwiężą go!

– Dziękuję ci, mój drogi, widzę, że mogę ci powierzyć mój plan, pomożesz mi go urzeczywistnić.

Petit–Claud spojrział na Lucjana; haczykowany jego nos przybrał kształt pytajnika.

– Chcę ocalić Sécharda – rzekł Lucjan ważnym tonem – jestem przyczyną jego nieszczęścia, naprawię wszystko... Mam wielką władzę nad Luizą...

– Jaką Luizą?...

– Hrabinią du Châtelet.

Petit–Claud uczynił gest zdumienia.

– Mam większą władzę nad nią, niż ona sama myśli – podjął Lucjan – ale, mój drogi, o ile mam władzę nad waszym rządem, nie mam fraka....

Petit–Claud wykonał nowy ruch, jak gdyby chcąc ofiarować sakiewkę.

– Dziękuję – rzekł Lucjan ściskając rękę adwokata. – Za dziesięć dni złożę wizytę pani prefektowej i oddam ci twoją wizytę.

I rozstali się wymieniając koleżeński uścisk dłoni.

„Musi być poeta – rzekł sobie w duchu Petit–Claud – bo ma klepki nie w porządku”.

„Nie ma co – myślał Lucjan wracając do siostry – gdy chodzi o przyjaciół, naprawdę wiąże jedynie ława szkolna...”

– Mój Lucjanie – spytała Ewa – co tobie przyrzekł Petit–Claud, że jesteś dla niego taki czuły? Strzeż się go!

– Jego? – wykrzyknął Lucjan. – Słuchaj, Ewo – dodał jakby pod wpływem zastanowienia – nie wierzysz już we mnie, nie ufasz mi, możesz także nie ufać Petit–Claudowi, ale za dziesięć lub dwanaście dni odmienisz zdanie – dodał z miną zwycięscy.

Lucjan udał się do swego pokoju i napisał taki list do Stefana Lousteau:

Mój przyjacielu, z nas dwu, ja jeden mogę sobie przypomnieć o tysiącu franków, które Ci pożyczyłem: ale zbyt dobrze znam, niestety! położenie, w jakim będziesz otwierając ten list, aby nie dodać natychmiast, że nie żądam ich od Ciebie w walucie złotej lub srebrnej; nie, proszę Cię o nie w kredycie, tak jakby ktoś ich żądał od Floryny w pocałunkach. Mamy wspólnego krawca, możesz tedy dać mi sporządzić w najkrótszym czasie kompletną przyodziewę. Nie będąc zupełnie zredukowany do kostiumu Adama, nie mogę wszelako pokazać się w mieście. Tutaj, ku wielkiemu memu zdumieniu, czekają mnie honory departamentalne, należne świecznikom paryskim. Jestem bohaterem bankietu, ni mniej, ni więcej jak poseł z lewicy; pojmujesz obecnie konieczność czarnego fraka? Przyrzeknij zapłatę, weź ją na siebie, puść w ruch aparat reklamy; słowem, znajdź nowy wariant sceny don Juana z panem Niedziela¹², trzeba mi bowiem wyniedzielić się za wszelką cenę. Nie mam nic prócz lachów; weź to za punkt wyjścia! Mamy wrzesień, pogoda jest prześliczna; ergo, czuwaj nad tym, abym otrzymał z końcem tygodnia śliczny kostium poranny: żakiecik ciemnobrązowy, trzy kamizelki, jedna kanarkowa, druga w szkocką kratę, trzecia biała; dalej trzy pary pantalonów zdobywczych, jedne białe angielskie, drugie nankinowe, trzecie kaszmirowe czarne; wreszcie czarny frak i czarną atlasową kamizelkę na wieczór. Jeżeliś znalazł jaką nową Florynę, polecam się

¹² Scena Don Juana z panem Niedziela – w komedii Moliera „Don Juan”, gdzie krawiec Niedziela daje się wywieść w pole miłymi słówkami swego arystokratycznego dłużnika.

jej o dwa wzorzyste krawaty. To jeszcze nic, liczę na Ciebie, na Twój spryt: krawiec to najmniejsza troska. Drogi przyjacielu, niejedną raz biadaliśmy nad tym: inteligencja nędzy, która z pewnością jest najdzielniejszą trucizną ze wszystkich, jakie nurtowały kiedy człowieka par excellence, paryżanina! ta inteligencja, której sprawność zdumiałaby szatana, nie znalazła jeszcze sposobu wydostania na kredyt kapelusza! Kiedy wprowadzimy w modę kapelusze po tysiąc franków, kapelusze staną się dostępne; ale do tej pory trzeba nam zawsze mieć dosyć złota w kieszeni, aby zapłacić kapelusz. Ach, ileż złego narobiła nam Komedia Francuska ze swą wieczną apostrofą do służącego: „Lafleur, włożysz mi złoto do kieszeni!” Czuję tedy głęboko wszystkie trudności wykonania tej prośby: dołącz do przesyłki krawca parę butów, parę trzewików, kapelusz, sześć par rękawiczek! To znaczy żądać niemożliwości, wiem. Ale czyż życie literackie nie jest niemożliwością ujętą w regularne formy?... Powiadam Ci tylko jedno: działaj ten cud płodząc jaki wielki artykuł albo małe świństwo, a kwituję Cię i zwalniam z długu. A to jest dług honorowy, mój chłopcze, wisi od roku; zarumieniłbyś się, gdybyś był zdolny się rumienić. Drogi Lousteau, żart na stronę, okoliczności są poważne. Osądź z jednego słowa: Rybka przytyła, została żoną Czapli, Czapla zaś jest prefektem w Angoulême. Ta ohydna para może ocalić mego szwagra, którego wpędziłem w straszliwe położenie, którego ścigają, a on ukrywa się, jest pod brzemieniem zaskarżonych weksli!... Chodzi o to, aby ukazać się na nowo pani prefektowej i odzyskać, za wszelką cenę, jej serce. Czyż nie jest straszne myśleć, że los Dawida zależy od ładnej pary bucików, od szarych jedwabnych ażurowych pończoch (nie zapomnij o nich) i od nowego kapelusza!... Ogłoszę się chorym i cierpiącym, położę się do łóżka jak w komedii, aby się uwolnić od zapalu rodaków. Rodacy wyprawili mi wczoraj, tak, tak, mój drogi, bardzo piękną serenadę. Zaczynam pytać siebie, ilu głupców trzeba, aby złożyć to słowo „rodacy”, od czasu jak się dowiedziałem, że twórcami entuzjazmu stolicy angulemczyków było kilku moich dawnych kolegów.

Gdybyś mógł zamieścić w kromce paryskiej parę wierszy o mym przyjęciu, podwyższyłbyś mnie tutaj o kilka obcasów. Dałbym zresztą uczuć Rybce, że mam, jeżeli nie przyjaciół to przynajmniej jakiś wpływ w prasie paryskiej. Ponieważ nie zrezygnowałem z przyszłości, odwdzięczę Ci to. Gdyby Ci trzeba było tego artykułu do jakiego tygodnika, mam czas, aby przemyśleć go do woli. Na zakończenie tylko jedno słowo, przyjacielu: liczę na Ciebie, jak Ty możesz liczyć na tego, który się pisze Twoim oddanym – Lucjanem de R.

Adresuj wszystko do biura dylizansów poste restante.

List ten, w którym Lucjan pod wpływem świeżego sukcesu odzyskał ton dawnej wyższości, przypomniał mu Paryż. Od tygodnia pogrążony w beznadziejnym spokoju prowincji, zwracał się myślą ku barwnym niedolom Paryża; uczył nieokreślone żale, cały tydzień marzył o hrabinie du Châtelet. Przywiązywał tyle wagi do swego pojawienia się w świecie, że kiedy z zapadnięciem nocy schodził do Houmeau, aby spytać w biurze dylizansów o pakiety z Paryża, przechodził wszystkie męki niepewności, jak kobieta, która pomieściła swoje ostatnie nadzieje w oczekiwanej toalecie, i która traci widoki otrzymania jej.

„Ach! Lousteau! Przebaczam ci twoje zdrady” – rzekł w duchu, widząc z kształtu, że przesyłka musi zawierać wszystko, o co prosił.

W pudełku z kapeluszem znalazł następujący list:

Z salonu Floryny

Moje drogie dziecko!

Krawiec znalazł się bardzo correct; ale, jak to przeczuł Twój głęboki retrospektywny rzut oka, krawaty, kapelusz, jedwabne pończochy wniosły niepokój w nasze serca, nie miały bowiem czego zaniepokoić w naszych sakiewkach. Mówiliśmy nieraz z Blondetem: można by zrobić majątek, zakładając firmę, gdzie by młodzi ludzie mogli dostać przedmioty niewielkiej ceny. Ostatecznie bowiem płacimy w końcu bardzo drogo to, czego nie płacimy. Zresztą, wielki Napoleon, zahamowany w wyprawie na Indie brakiem pary butów, powiedział: „Sprawy łatwe nigdy nie przychodzą do skutku!” Zatem wszystko szło z wyjątkiem obuwia... Widziałem

Cię wyfraczonym bez kapelusza, ukamizelczonym bez butów i myślałem Ci już posłać parę mokasynów, które pewien Amerykanin darował Florynie jako osobliwość. Floryna złożyła kapitał czterdziestu franków z tym przeznaczeniem, aby je p o s t a w i ć dla Ciebie. Natan, Blondet i ja wybraliśmy się w tej misji. Grając nie na swój rachunek, mieliśmy takie szczęście, iż zostało jeszcze tyle, aby zaprosić na kolację Drętwę, eksszczura¹³ imć pana des Lupeaux. Należało nam się to od pani ruletki! Floryna zajęła się sprawunkami, przydała do nich trzy piękne koszule. Natan ofiarowuje Ci laskę. Blondet, który wygrał trzysta franków, posyła złoty łańcuszek. Drętwa przyczepia doń złoty zegarek wielkości czterdziestofrankówki: darował go jej jakiś dudek, a nie chodzi. „Ot tandeta, jak i to, co dostał w zamian!” – zwierzyła się nam. Bixiou, który czekał na nas w Rocher-de-Cancalle, dołączył do tego honorowego daru stolicy flaszkę wody portugalskiej. Nasz pierwszy komik rzekł: „Jeśli to może uczynić go szczęśliwym, niech nim będzie!...” – z tym basowym akcentem i tą mieszczzańską pompą, w której tak celuje. Wszystko to, drogie dziecko, dowodzi Ci, jak w Paryżu kocha się przyjaciół w nieszczęściu. Floryna, której, wiedziony słabością, przebaczyłem, prosi, abys nadesłał artykuł o ostatniej książce Natana. Bywaj, mój synu! Mogę Cię tylko żałować, iż wróciłeś do zapiecka, któryś szczęśliwie opuścił, kiedyś się stał starym kamratem Twego przyjaciela – Stefana L.

„Pocziwi chłopcy! Poszli grać dla mnie!” – myślał Lucjan, wzruszony. Z krajów niezdrowych albo z tych, gdzie się najwięcej wycierpiało, przychodzą takie fale powietrza, które podobne są rajskim zapachom. W życiu rozpaczliwym swą mdłością wspomnienie dawnych cierpień jest jakby nieokreśloną rozkoszą. Ewa zdumiała się, kiedy brat zeszedł w nowym ubraniu; ledwie go poznała.

– Mogę teraz przejść się po Beaulieu! – wykrzyknął, – Nie powiedzą o mnie: „Wrócił w łachmanach!” Widzisz ten zegarek: daruję ci go, siostrzyczko, bo należy do mnie; podobny jest zresztą do mnie, sprężynę ma pękniętą.

– Jaki z ciebie dzieciak!... – rzekła Ewa. – Nie można o nic mieć żalu do ciebie.

– Czyżbyś sobie wyobrażała, drogie dziecko, że postarałem się o tę wyprawkę w głupiuchnej intencji błyszczenia w oczach Angoulême, o które troszczyć się ot, tyle? – rzekł smagając powietrze trzcina o złotej gałce. – Chcę naprawić zło, którego narobiłem, i dlatego musiałem znaleźć się pod bronią.

Powodzenie Lucjana jako eleganta było jedynym rzeczywistym triumfem jaki osiągnął, ale triumf ten był olbrzymi. Zawiesz rozwiązuje języki, podczas gdy podziw je ścina. Kobiety były oczarowane, mężczyźni wymyślali co wlezie; słowem, Lucjan mógł wykrzyknąć z piosenkarzem: „Ubranie moje, dzięki składam tobie!” Poszedł złożyć dwa bilety w prefekturze; oddał również wizytę Petit-Claudowi, którego nie zastał. Nazajutrz po bankiecie wszystkie dzienniki paryskie zawierały w rubryce „Angoulême” następującą notatkę:

„A n g o u l ê m e. Powrót młodego poety, którego początki były tak świetne, autora „Gwardzisty Karola IX”, jedyne francuskiego romansu historycznego wolnego od naśladownictwa Waltera Scotta i będącego, dzięki swej przedmowie, wydarzeniem literackim, zaznaczył się owacją równie zaszczytną dla pana Lucjana de Rubempré, jak dla jego rodzinnego miasta. Ojczysty gród poety pokwapił się wydać na jego cześć bankiet patriotyczny. Nowy prefekt, zaledwie osiadły w mieście, przyłączył się do objawów powszechnego zapału, podejmując autora „Stokroci”, którego talent w początkach swoich doznał tyle zachęty ze strony hrabiny du Châtelet.”

We Francji, gdy raz padnie hasło entuzjazmu, nikt nie jest go już w mocy powstrzymać. Pułkownik garnizonu ofiarował swą orkiestrę. Właściciel hotelu „Dzwon”, którego indyki z truflami docierają aż do Chin w pięknych porcelanowych dziełkach, udekorował salę draperiami, na których laurowe wieńce przeplatane bukiecikami wywoływały wspaniały efekt. O piątej godzinie czterdzieści osób znajdowało się tam, wszyscy w gali. Gromada stu kilku

¹³ Szczur – tak nazywano wówczas w teatrach paryskich początkujące tancerki.

mieszkańców, ściągniętych głównie obecnością orkiestry na dziedzińcu, reprezentowała rodaków.

– Całe Angoulême jest tutaj – rzekł Petit–Claud wychylając się oknem.

– Nic nie rozumiem – rzekł do żony Postel, który przyszedł posłuchać muzyki. – Jak to! Prefekt, generalny poborca, pułkownik, dyrektor prochowni, poseł, mer, prowizor, dyrektor odlewni w Ruelle, prezydent, prokurator, pan Milaud, wszystkie władze się zeszyły!...

Kiedy zajęto miejsca przy stole, orkiestra zaczęła wariacje na temat hymnu „Niech żyje król, niech żyje Francja!”, hymnu, który nie zdołał zyskać popularności. Była piąta. O ósmej deser na sześćdziesiąt pięć porcji, odznaczający się Olimpem z cukrów, nad którym górowała Francja z czekolady, dał sygnał do toastów.

– Panowie – rzekł prefekt wstając – niech żyje król!... Niech żyje prawa dynastia! Czyż nie pokojowi, jakim obdarzyli nas Burboni, zawdzięczamy generację poetów i myślicieli, utrzymującą w rękach Francji berło literatury?...

– Niech żyje król? – krzyczeli biesiadnicy, między którymi przeważali ministerialni. Podniósł się czcigodny prowizor.

– Za zdrowie młodego poety – rzekł – bohatera dnia, który z wdziękiem poezji Petrarcki, w rodzaju, który Boileau mienił tak trudnym, umiał połączyć talent prozaika!

– Brawo, brawo!

Powstał pułkownik.

– Panowie! Za zdrowie rojalisty, gdyż bohater tej ucztę miał odwagę bronić zdrowych zasad!

– Brawo! – rzekł prefekt, który nadawał ton oklaskom.

Z kolei podniósł się Petit–Claud.

– W imieniu kolegów Lucjana wnoszę toast na chwałę kolegium w Angoulême, za zdrowie czcigodnego prowizora, który nam jest tak drogi i któremu winniśmy przypisać lwią część zasługi w naszych sukcesach.

Stary prowizor, który nie spodziewał się tego toastu, wytarł sobie oczy. Lucjan powstał: zapanowało najgłębsze milczenie, poeta zbladł. W tej chwili stary prowizor, który siedział obok niego po lewej, włożył mu na głowę laurowy wieniec. Zaczęto klaskać. Lucjan miał łzy w oczach i w głosie.

– Urznął się – rzekł do Petit–Clauda przyszyły prokurator w Nevers.

– To nie wino go upiło – odparł adwokat.

– Drodzy rodacy, ukochani koledzy – rzekł wreszcie Lucjan – chciałbym mieć całą Francję za świadka tej sceny. W ten sposób wychowuje się ludzi i zdobywa dla naszego kraju wielkie dzieła i wielkie czyny. Ale zważywszy to niewiele, co zrobiłem, i ten wielki zaszczyt, jakiego za to doznaję, mogę się czuć tylko zawstydzonym i zdać się po trosze na przyszłość z usprawiedliwieniem dzisiejszego przyjęcia. Pamięć tej chwili doda mi sił wśród nowych walk. Pozwólcie mi przypomnieć waszej czci tę, która była mą pierwszą muzą i protektorką, a zarazem wypić toast na cześć rodzinnego miasta; zatem, zdrowie pięknej hrabiny Sykustusowej du Châtelet i zdrowie szlchetnego miasta Angoulême!

– Nieźle się spisał – rzekł prokurator, który potrząsnął głową z uznaniem. – Nasze toasty były przygotowane, a on swój zaimprovizował.

O dziesiątej biesiadnicy rozeszli się grupami. Dawid Séchard słysząc tę niezwykłą muzykę rzekł do Brygidy:

– Co dziś takiego dzieje się w Houmeau?

– Wydają – odparła – bankiet dla pańskiego szwagra Lucjana...

– Biedny chłopiec – rzekł – musi żałować, że mnie tam nie ma!

O północy Petit–Claud odprowadził Lucjana aż na plac du Mûrier. Tam Lucjan rzekł do adwokata:

– Mój drogi, do zgonu ci tego nie zapomnę.

– Jutro – rzekł adwokat – podpisuję u pani de Senonches kontrakt ślubny z panną Franciszką de la Haye, jej wychowanicą; zrób mi tę przyjemność i przyjdź; pani de Senonches prosiła, abym cię przyprowadził. Spotkasz prefektową, która musi być mile pogłaskana twoim toastem, z pewnością powiedzą jej o nim.

– Miałem w tym swoją myśl – rzekł Lucjan.

– Och, ty ocalisz Dawida!

– Jestem tego pewien – odparł poeta. W tej chwili, jakby czarami, ukazał się Dawid. Oto w jaki sposób. Dawid znajdował się w położeniu dość trudnym: żona broniła mu bezwarunkowo i przyjmować Lucjana, i uwiadamiać go o miejscu schronienia, podczas gdy Lucjan wypisywał doń najczulsze listy, powiadając, iż w najbliższym czasie naprawi wszystko. Otóż panna Clerget, objaśniając Dawidowi przyczyny uroczystości, której muzyka dochodziła do jego uszu, oddała mu równocześnie dwa następujące listy:

Mój drogi, rób tak, jakby Lucjana tu nie było; nie niepokój się niczym, utrwaj w swojej drogiej głowie ten pewnik: bezpieczeństwo nasze całkowicie zależy od tajemnicy, w jakiej zdołamy zachować przed wrogami miejsce Twego ukrycia. Smutno to wyznać, ale więcej ufam Marynie, Kolbowi, Brygidzie niż memu bratu. Niestety! Biedny Lucjan nie jest już niewinnym i tkliwym poetą, któregośmy znali. Dlatego właśnie, że chce się mieszać do Twoich spraw i ma tę zarozumiałość, iż spodziewa się znaleźć sposób umorzenia naszych długów (przez pychę, Dawidzie!...), obawiam się go. Otrzymał z Paryża piękne ubranie i pięć sztuk złota w ładnej sakiewce. Oddał mi je i żyjemy z tych pieniędzy. Mamy wreszcie jednego wroga mniej: Twój ojciec nas opuścił, wyjazd zaś jego zawdzięczamy Petit–Claudowi, który przejrzał jego intencje i z miejsca je unicestwił mówiąc mu, że Ty już nie uczynisz ani kroku na własną rękę, że on, Petit–Claud, nie pozwoli Ci ustąpić swego wynalazku bez zaliczki trzydziestu tysięcy: najpierw piętnaście, aby zlikwidować Twoje sprawy; piętnaście tysięcy, które otrzymałbyś w każdym wypadku, bez względu na wynik. Petit–Claud jest dla mnie zagadką. Ściskam Cię tak, jak kochająca żona ściska nieszczęśliwego męża. Nasz Lucuś ma się dobrze. Cóż za widok tego kwiatu, który nabiera barw i rośnie wśród burz domowych! Matka, jak zawsze, modli się i ściska Cię prawie równie czule jak – Twoja Ewa.

Petit–Claud i Cointetowie, przestraszeni chłopską chytrą starością starego Sécharda, pozbyli się go, jak się okazuje, tym łatwiej, iż winobranie wzywało go do Marsac.

List Lucjana, dołączony do listu Ewy, brzmiał jak następuje:

Drogi Dawidzie, wszystko idzie dobrze. Jestem uzbrojony od stóp do głów; ruszam dziś w pole; za dwa dni odwalę kawał drogi. Z jakąż rozkoszą uściskam Cię, kiedy będziesz wolny i czysty od moich długów! Ale czuję się zraniony na całe życie i do głębi serca nieufnością jaką siostra i matka mi wciąż okazują. Czyż nie wiem bez nich, że kryjesz się u Brygidy? Za każdym razem kiedy Brygida przychodzi do nas, mam wiadomość od Ciebie i odpowiedź na moje listy. Jest zresztą oczywiste, że siostra mogła polegać tylko na dawnej koleżance. Dzisiaj byłbym z Tobą! Mógłbym Ci wyrazić, jak ciężko mnie boli, że nie mogę Cię mieć przy sobie na uczcie, jaką dają dla mnie! Próżność naszego Angoulême zgotowała mi mały triumf, który za kilka dni utonie doszczętnie w niepamięci, ale w którym Twoja radość byłaby jedyną szczerą radością. Słowem, jeszcze kilka dni, a przebaczysz temu, który nad wszystkie chwały świata ceni sobie to, iż jest bratem Twym – Lucjanem.

Serce Dawida znalazło się w rozdwojeniu, pod działaniem dwóch sił, mimo iż były one nierówne, ubóstwiał bowiem żonę, tkliwość zaś dla Lucjana ostygła nieco w miarę utraty szacunku. Ale w samotności siła uczuć zmienia się zupełnie. Człowiek sam, wydany na pastwę trosk podobnych tym, jakie pożerały Dawida, ulega myślom, przeciw którym znalazłby siłę w zwyczajnych warunkach. I tak, czytając list Lucjana wśród fanfar tego nieoczekiwanego triumfu, uczuł się głęboko wzruszony znajdując słowa żalu, których się spodziewał. Tkliwe dusze nie umieją się oprzeć tym drobnym objawom uczucia, przypisując im u drugich potęgę, do jakiej są sami zdolni. Czyż to nie jest kropla wody przelewająca pełny puchar?... Toteż

koło północy błagania Brygidy nie mogły wstrzymać Dawida od zamiaru widzenia się z Lucjanem.

– Nikogo – rzekł – nie ma o tej porze na ulicy, nikt mnie nie zobaczy, nie mogą mnie uwięzić w nocy; gdyby mnie zaś spotkano, mogę się znowuż posłużyć sposobem Kolba, aby wrócić do swego schronienia. Zresztą – dodał – zbyt dawno nie uściskałem żony i dziecka.

Brygida ustąpiła tym argumentom, ostatecznie dość racjonalnym, i pozwoliła wyjść Dawidowi, który krzyknął: „Lucjan!” w chwili, gdy Lucjan i Petit—Claud życzyli sobie dobrej nocy. I bracia płacząc rzucili się sobie w ramiona.

Niewiele bywa podobnych momentów w życiu. Lucjan czuł w Dawidzie wylew owej bezwzględnej przyjaźni, z którą człowiek nie liczy się nigdy, mimo iż doświadcza wyrzutów, że ją oszukał. Dawid czuł potrzebę przebaczenia. Szlachetny i wspaniałomyślny wynalazca chciał nade wszystko przemówić Lucjanowi do serca i rozprószyć chmury między siostrą a bratem. Wobec sprawy uczucia wszelkie niebezpieczeństwa wynikłe z kwestii pieniężnej znikły. Petit—Claud rzekł do klienta:

– Idź do domu, skorzystaj przynajmniej ze swej nieostrożności, uściskaj żonę i dziecko... i żeby cię nikt nie widział – Cóż za nieszczęście – mówił sobie Petit—Claud zostawszy sam na placu du Mûrier. – Ach! gdybym miał tutaj Cérizeta...

W chwili, gdy adwokat monologował przechadzając się wzdłuż parkanu, okalającego miejsce, gdzie dziś wznosi się dumnie gmach sądu, usłyszał pukanie w deskę, jak gdyby ktoś stukał do drzwi.

– Jestem – rzeki Cérizet, którego głos przechodził przez szczeliny źle spojonych desek. – Widziałem Dawida wychodzącego z Houmeau. Zaczynałem się domyślać miejsca jego schronienia, teraz jestem pewny i wiem, gdzie go chwycić; ale aby mu zastawić pułapkę, trzeba mi wiedzieć coś o projektach Lucjana... i oto pan ich wyprawia do domu! Zostań pan przynajmniej tutaj pod jakim bądź pozorem. Kiedy Dawid i Lucjan wyjdą, ściągnij pan ich w moją stronę; będą myśleli, że są sami, i usłyszą ostatnie słowa pożegnania.

–Diabeł z ciebie! – rzekł półgłosem Petit—Claud.

– Do kroćset – wykrzyknął Cérizet – czegoż by się nie zrobiło, aby zapracować na to, coś mi pan obiecał!

Petit—Claud wydostał się z ogrodzenia i przechadzał się po placu spoglądając w okna pokoju, gdzie zgromadziła się rodzina, i myśląc o swej przyszłości, jakby dla dodania sobie odwagi, zręczność bowiem Cérizeta pozwalała mu zadać ostatni cios. Petit—Claud był jednym z owych ludzi głęboko przebiegłych i fałszywych, którzy, przemknąwszy zmienność ludzkiego serca i strategię interesów, nie dają się nigdy złapać na przynętę chwili ani na pozory żadnego przywiązania. Dlatego niewiele zrazu rachował na Cointeta. W razie gdyby małżeństwo chybiło, przygotował sobie środki zalania Wielkiemu Cointetowi sadła za skórę – choćby nawet nie miał tytułu oskarżać go o zdradę; ale od swego sukcesu w pałacu Bargeton Petit—Claud grał w otwarte karty. Jego kontrmina stała się bezużyteczna, a była niebezpieczna dla pozycji politycznej, do której dążył. Oto podstawy, na których chciał oprzeć swą przyszłość: Gannet oraz kilku grubszych kupców zaczęli tworzyć w Houmeau „komitet liberalny”, związany przez stosunki handlowe z przywódcami opozycji. Gabinet pana Villèle, zatwierdzony przez Ludwika XVIII na łożu śmierci, stał się sygnałem zmiany taktyki opozycji, która od śmierci Napoleona wyrzekła się niebezpiecznej drogi konspiracji. Stronnictwo liberalne organizowało na prowincji system legalnego oporu: dążyło do tego, aby opanować wybory i dojść do celu przez pozyskanie mas. Petit—Claud, zaciekle liberał i dziecię Houmeau, był promotorem, duszą i tajemną sprężyną opozycji niższego miasta, uciśnionego przez arystokrację wyższego Angoulême. On pierwszy wskazał na niebezpieczeństwo zostawienia Cointetom władzy nad całą prasą w departamencie Charenty, gdzie opozycja powinna była mieć dziennik, aby nie być w tyle za innymi miastami.

– Niech każdy z nas złoży udział pięciuset franków Gannerakowi, będzie miał wówczas dwadzieścia kilka tysięcy, aby kupić drukarnię Séchardów, której staniemy się panami, trzymając w ręku właściciela za pomocą pożyczki – rzekł Petit–Claud.

Adwokat przeparał tę myśl, chcąc wzmocnić w ten sposób swą dwoistą pozycję wobec Cointetów i Sécharda; z natury rzeczy zwrócił oczy na hultaja w typie Cérizeta i postanowił żeń uczynić człowieka zaprzędanego partii.

– Jeśli zdołasz zwaćać kryjówkę pryncypała i oddać mi go w ręce – rzekł do dawnego korektora – dostaniesz dwadzieścia tysięcy na kupno drukarni i prawdopodobnie staniesz na czele dziennika. Zatem, naprzód marsz!

Bardziej pewny sprawności człowieka takiego jak Cérizet niż wszystkich Doublonów na świecie, Petit–Claud przyrzekł Cointetowi uwięzienie Sécharda. Ale od czasu jak Petit–Claud pieścił nadzieję wielkiej kariery urzędniczej, przewidywał konieczność zerwania z liberałami, tak dobrze zaś podgrzał sprawę w Houmeau, że kapitał potrzebny do nabycia drukarni miał już w ręku. Wówczas Petit–Claud postanowił zostawić rzeczy naturalnemu biegowi.

„Ba – pomyślał sobie – Cérizet dopuści się jakiegoś prasowego przestępstwa; wówczas wyzyskam tę okoliczność, aby pokazać swoje talenty...”

Podszedł do bramy drukarni i rzekł do Kolba, który stał na straży:

– Idź powiedzieć Dawidowi, niech korzysta z chwili i ulotni się, a miejcie się dobrze na baczności; ja już odchodzę, jest pierwsza.

Skoro Kolb opuścił posterunek, Maryna zajęła jego miejsce. Lucjan i Dawid zeszli na dół, Kolb szedł przed nimi o sto kroków naprzód, Maryna o sto kroków w tyle. Kiedy bracia przechodzili koło parkanu, Lucjan mówił z zapalem do Dawida:

– Mój drogi – rzekł – plan jest nadzwyczaj prosty; ale jak o nim mówić przy Ewie? Nigdy nie zrozumiałaby tego rodzaju środków. Jestem pewien, że w sercu Luizy drzemie pragnienie, które potrafię rozbudzić; chcę ją mieć, bodaj dlatego, aby się zemścić na tym cymbale prefekcie. Jeśli się pokochamy, choćby na tydzień, każę jej zażądać od ministerstwa dwudziestu tysięcy franków subwencji dla ciebie. Jutro ujrzę tę damę w buduaru, gdzie zaczęły się nasze amory i gdzie, wedle Petit–Clauda, nic się nie zmieniło; zagram komedię. Zatem pojutrze rano prześlę przez Brygidę słóweczko, aby ci donieść, czy mnie wygwizdano... Kto wie, może już będziesz wolny!.. Rozumiesz teraz, dlaczego chciałem ubrać z Paryża? W łachmanach niepodobna grać roli pierwszego amanta.

O szóstej rano Cérizet odwiedził Petit–Clauda.

– Jutro w południe niech Doublon będzie gotów; nakryję ptaszka, ręczę za to – rzekł paryżanin – mam w ręku jedną z robotnic panny Clerget!

Wysłuchawszy planu przyszłego drukarza, Petit–Claud pobiegł do Cointeta.

– Zrób pan, aby dziś wieczór pan du Hautoy zgodził się uczynić Franciszkę swoją bezsporną dziedziczką, a za dwa dni podpiszesz spółkę z Séchardem. Ślub mój dopiero w tydzień po kontrakcie, jest zatem obopólna gwarancja: z rączki do rączki. Ale baczmy dobrze dziś wieczór, co się będzie działo między Lucjanem a hrabiną du Châtelet, w tym bowiem tkwi wszystko... Jeżeli Lucjan poweźmie nadzieję uzyskania czegoś przez prefektową, Dawid jest mój...

– Wierzę, że zostaniesz ministrem sprawiedliwości.

– Dlaczego by nie? Pan de Peyronnet nim został – odparł Petit–Claud, który jeszcze nie całkiem wyzbył się swego liberalizmu.

Dwuznaczne położenie panny de la Haye sprowadziło większość arystokracji angulemskiej na uroczystość podpisywania kontraktu. Ubóstwo przyszłego stadła, które miało się obejść bez prezentów ze strony pana młodego, podsycalo zainteresowanie, które świat chętnie okazuje; z miłosierdziem bowiem jest tak jak z triumfami; świat lubi współczucie, które zadowala miłość własna. Toteż margrabina du Pimentel, hrabina du Châtelet, pan de Senonches i kilku przyjaciół domu wystąpili z podarkami, które narobiły w mieście wiele hałasu. Te ładne

drobiażdżki, dołączone do wyprawy przygotowywanej od roku przez Zefiryne, do klejnotów ojca chrzestnego i do przepisanych zwyczajem podarków oblubieńca, pocieszyły Franciszkę i pobudziły ciekawość wielu matek, które przybyły w towarzystwie córek. Petit–Claud i Cointet zauważyli już, iż „urodzeni” angulemscy cierpią ich obu na swoim Olimpie jako konieczność: jeden był administratorem mienia, prawnym opiekunem Franciszki, drugi był niezbędny przy podpisaniu kontraktu jak wisielec przy egzekucji; ale nazajutrz po ślubie, o ile pani Petit–Claud zachowałąby prawo odwiedzania chrzestnej matki, mąż czuł, iż z trudnością by go tam dopuszczono; przyrzekł sobie w duchu odwet nad tym pysznym światkiem. Rumieniąc się za swych mizernych rodziców, adwokat uznał za właściwe nie sprowadzać na uroczystość matki, zamieszkałej w Mansle; poprosił ją, aby się wymówiła chorobą i dała mu zezwolenie na piśmie. Upokorzony tym, iż znalazł się bez rodziny, bez oparcia, bez nikogo, kto by podpisał kontrakt z jego strony, Petit–Claud czuł się tedy szczęśliwy, iż może przedstawić jako swego przyjaciela człowieka sławnego i mile widzianego przez hrabinę. Wstąpił tedy po Lucjana powozem. Poeta rozwinął tego pamiętnego wieczoru zasoby toalety, która musiała mu zapewnić, bez protestu, wyższość nad wszystkimi mężczyznami. Pani de Senonches oznajmiła zresztą zjawienie się bohatera chwili; spotkanie poróżnionych kochanków stanowiło jedną z owych scen, których prowincja szczególnie jest łakoma. Lucjan wyrósł do wysokości lwa: miał być tak piękny, tak zmieniony, tak nadzwyczajny, iż cały kobiecy świat „urodzonego” Angoulême pałał żądzą ujrzenia go. Idąc za modą epoki, której zawdzięczamy przejście od dawnych balowych pluderków do szpetnych dzisiejszych spodni, Lucjan włożył czarne obcisłe pantalonki. Strój męski uwydatniał wówczas jeszcze kształty, ku rozpaczycy ludzi chudych lub źle zbudowanych, kształty zaś Lucjana były istic apollinińskie. Szare jedwabne ażurowe pończochy, lekkie pantofelki, czarna atlasowa kamizelka, krawat, wszystko było najstarszanniej dobrane, ulane wprost na nim. Jasne, bujne kędziory podkreślały białość czoła, dokoła którego pukle wiły się z wyszukaną gracją. Oczy, pełne dumy sypały iskry. Drobne, kobiece ręce, piękne pod wykwinną rękawiczką, nie raczyły się ukazać obnażone. Całe wzięcie skopiował Lucjan z de Marsaya, sławnego paryskiego dandysa: w jednej ręce trzymał laskę i kapelusz, którego nie odłożył ani na chwilę, drugą gestykulował lekko, podkreślając słowa. Lucjan chciał się wsunąć nieznacznie, na sposób tych sławnych ludzi, którzy przez fałszywą skromność pochylają głowę przechodząc pod bramą Saint–Denis. Ale Petit–Claud, który miał tylko jednego przyjaciela, „podał go” z całą okazałością. W pełni wieczoru, niemal celebrując, przyprowadził Lucjana przed panią de Senonches. Przechodząc poeta słyszał szmery, które niegdyś byłyby go przyprawiły o zawrót głowy, a które przyjął dziś chłodno: dziś czuł się pewny, iż sam jeden wart jest całego tego angulemskiego Olimpu.

– Pani – rzekł do pani de Senonches – winszowałem już memu przyjacielowi Petit–Claud, w którym widzę materiał na przyszłego ministra, że ma szczęście wejść do pani domu, mimo iż węzły, jakie łączą chrzestną matkę z jej pupilką, są natury dość wątej... (To było powiedziane w sposób doskonale podchwcony przez wszystkie kobiety, które nasłuchiwały pilnie, choć nieznacznie). – Co do mnie, błogosławię okoliczność, która pozwala mi przedłożyć pani moje uniżone służby.

Słowa te wygłosił Lucjan bez najmniejszego zakłopotania, z miną wielkiego pana, który zaszczycił odwiedzinami skromną chatkę. W czasie odpowiedzi Zefiryne, pełnej ozdobnych zakrętasów, poeta wodził oczyma po salonie, przygotowując dalsze efekty. Skłonił się z wdziękiem, cieniując swe uśmiechy, Franiowi du Hautoy i prefektowi, którzy skłonili się | wzajem; następnie podszedł do pani du Châtelet, udając, iż w tej chwili ją spostrzega. Spotkanie to, było tak dalece główną okrasą wieczoru, iż zapomniano wręcz o kontrakcie ślubnym, na którym miały położyć podpisy najwybitniejsze osobistości, prowadzone w tym celu do sypialni bądź przez rejenta, bądź przez Franciszkę. Lucjan uczynił kilka kroków w stronę Luizy i z ową paryską gracją, za którą tęskniła od swego powrotu, rzekł dość głośno:

– Czy pani zawdzięczam zaproszenie, dzięki któremu będę miał zaszczyt obiadować pojutrze w prefekturze?

– Zawdzięcza je pan jedynie swojej sławie – odparła sucho Luiza, nieco dotknięta zaczepnym frazesem, który Lucjan obmyślił, aby zranić dumę swej dawnej protektorki.

– Ach, pani hrabino – rzekł Lucjan tonem zarazem subtelnym i pewnym siebie – niepodobna mi będzie korzystać z zaproszenia, jeśli mam nieszczęście być u niej w niełasce.

I nie czekając odpowiedzi obrócił się na miejscu, spostrzegając biskupa, któremu skłonił się z wdziękiem.

– Wasza Dostojność była niemal prorokiem – rzekł czarującym głosem – a dołożę starań, aby się nim stała w zupełności. Szczęśliwy się czuję, iż przybyłem tu dzisiaj, skoro mogę złożyć Waszej Dostojności wyrazy mego szacunku.

Lucjan wciągnął biskupa w rozmowę trwającą z dziesięć minut. Wszystkie kobiety patrzyły na Lucjana jak na zjawisko. Jego nieoczekiwane zuchwalstwo odebrało pani du Châtelet mowę, nie umiała znaleźć odpowiedzi. Widząc Lucjana przedmiotem podziwu kobiet, nasłuchując, od grupy do grupy, szeptów powtarzających na ucho odpowiedź, którą Lucjan jakoby zmiądzzył hrabinę i okazał jej wyraźnie wzgardę, uczuła w sercu skurcz podrażnionej ambicji.

„Gdyby nie przyszedł do prefektury po tej odpowiedzi, cóż za skandal! – pomyślała. – Skąd mu się bierze ta duma? Czyżby panna des Touches była nim zajęta?... Jest tak piękny! Powiadają, że poleciała do niego w Paryżu, nazajutrz po śmierci tej aktorki!... Może przyjechał, aby ocalić szwagra, i znalazł się w Mansle za naszą karocą wskutek wypadku w podróży? Patrzył na nas owego ranka osobliwym wzrokiem...”

Oblegał ją rój myśli; nieszczęściem dla siebie, Luiza poddawała się im patrząc na Lucjana, który rozmawiał z biskupem, jak gdyby był królem zebrania, nie kłaniał się nikomu i czekał, aż się ktoś doń zbliży wodził spojrzeniem po sali, nadając mu wyraz rozmaity, ze swobodą godną de Marsaya, swego pierwowzoru. Opuścił prałata, aby się przywitać z panem de Senonches, który ukazał się w pobliżu.

Po dziesięciu minutach Luiza nie wytrzymała. Wstała, podeszła do biskupa i rzekła:

– Cóż takiego opowiada Waszej Wielbności ten młody człowiek, że tak często widzę uśmiech na Jej ustach?

Lucjan usunął się o kilka kroków, aby zostawić dyskretnie panią du Châtelet z prałatem.

– Ach, pani hrabino, to młodzieniec bardzo niepospolity! Tłumaczył mi właśnie, iż pani zawdzięczała całą swoją siłę...

– Nie jestem niewdzięcznikiem, pani!... – rzekł Lucjan ze spojrzeniem pełnym wyrzutu, które oczarowało hrabinę.

– Porozumiejmy się – rzekła przywołując Lucjana ruchem wachlarza – chodź pan tu razem z Jego Wielbnością, tutaj!... Jego Dostojność będzie naszym sędzią.

Wskazała na buduaręk pociągając biskupa.

– Szczególną, w istocie, rolę każe odgrywać biskupowi – rzekła dość głośno jakaś dama z obozu Chandour.

– Naszym sędzią!... – rzekł Lucjan, spoglądając kolejno na prałata i na prefektową. – Jest zatem i winny?...

Luiza siadła na kanapce swego dawnego buduaru. Posadziwszy Lucjana po jednej stronie, a biskupa po drugiej, zaczęła mówić. Lucjan, ku zachwytowi, zdziwieniu i szczęściu pani du Châtelet, nie słuchał. Przybrał postawę i ruchy Pasty w „Tankredzie”, kiedy ma mówić: *O patria!*... Fizjonomią swoją odśpiewał słynną kawatynę *de'rizzi*. Wreszcie uczeń Koralii dokazał tego, iż uronił nieznaczną łezkę.

– Ach, Luizo, jak ja cię kochałem! – szepnął jej do ucha, nie troszcząc się o prałata ani o rozmowę, w chwili gdy ujrzał, iż hrabina zauważyła jego łzy.

– Wytrzymaj oczy albo mnie zgubisz na tym samym miejscu po raz drugi – rzekła odwracając się ku niemu ruchem, który zgorszył biskupa.

– Pierwszy wystarczy – odparł żywo Lucjan. – To odezwanie godne kuzynki pani d'Espard osuszyłoby wszystkie łzy Magdaleny. Mój Boże!... Odnalazłem na chwilę moje wspomnienia, iluzje, moje dwadzieścia lat, a pani mi je...

Biskup przeszedł nagle do salonu, rozumiejąc, iż godność jego nie bardzo licuje z dłuższym pobytym w tej atmosferze. Zostawiono ostentacyjnie Lucjana i prefektową sam na sam. W kwadrans potem Sykstus, któremu nie podobały się rozmówki, śmiechy i przechadzki pod progiem buduaru, wkroczył z miną więcej niż chmurną i zastał Lucjana i Luizę bardzo ożywionych.

– Luizo – rzekł do ucha żony – ty, która lepiej ode mnie znasz Angoulême, czy nie powinnaś być myśleć o stanowisku prefektowej i o rządzie?

– Mój drogi – rzekła Luiza mierząc swego „odpowiedzialnego wydawcę” wzrokiem, którego wyniosłość przyprawiła go o drżenie – rozmawiam z panem de Rubempré o rzeczach nader ważnych dla ciebie. Chodzi to, aby ocalić wynalazcę, któremu grozi, iż stanie się ofiarą najnikczemniejszych machinacji, i ty nam pomożesz! Co zaś do tego, co te panie mogą o mnie pomyśleć, zobaczysz, w jaki sposób postąpię sobie, aby zmrozić jad na ich językach.

Wyszła z buduaru wsparta na ramieniu Lucjana i poprowadziła go do podpisania kontraktu, urągając, ze śmiałością wielkiej damy, pozorom.

– Podpiszemy razem – rzekła podając pióro Lucjanowi.

Lucjan poprosił Luizę, aby mu wskazała miejsce, gdzie położyła podpis, tak aby oba nazwiska znalazły się obok siebie.

– Panie de Senonches, czy byłby pan poznał pana de Rubempré? – rzekła hrabina zmuszając nieuprzejmego myśliwca, aby przywitał Lucjana.

Przeprowadziła Lucjana do salonu, sadzając go między Zefiryną a sobą na groźnej środkowej kanapie. Następnie, niby królowa na tronie, zaczęła, zrazu półgłosem, dowcipną rozmowę, do której przyłączyło się kilku dawnych przyjaciół oraz większość kobiet, tworzących niby jej dwór. Niebawem hrabina naprowadziła Lucjana, który stał się bohaterem całego koła, na rozmowę o życiu paryskim. Poeta nakreślił z nieopisaną werwą jego obraz, przeplatając go anegdotkami o sławnych ludziach, których to smakotyków mieszkańcy prowincji są tak szczególnie łakomi. Podziwiano dowcip i inteligencję dandysa, jak wprzód podziwiano jego urodę. Hrabina Sykstusowa tak pieczołowicie przedłużała swój triumf, grała na Lucjanie jak kobieta zachwycona swym instrumentem, podawała mu piłkę rozmowy tak zręcznie, żebrała dłoń uznania za pomocą tak kompromitujących spojrzeń, że wiele kobiet zaczęło się dopatrywać w tym przypadkowym jednoczesnym powrocie Luizy i Lucjana głębokiej miłości, która padła ofiarą jakiegoś obustronnego nieporozumienia. Może jakieś chwilowe zwady spowodowały to niewczesne małżeństwo z du Châteletem, przeciw któremu obecnie buntuje się dawne uczucie.

– A zatem – rzekła Luiza półgłosem, podnosząc się z kanapy o pierwszej po północy – do pojutra, a proszę, bądź pan punktualny.

Pożegnała Lucjana lekkim, ale nader przyjacielskim skinieniem i poszła szepnąć parę słów Sykstusowi, który szukał kapelusza.

– Jeżeli to, co mi moja małżonka powiedziała przed chwilą, jest prawdą, drogi Lucjanie, licz na mnie – rzekł prefekt puszczając się w pościg za żoną, która zabierała się do odejścia nie oglądając się nań, jak w Paryżu. – Od dziś wieczora szwagier twój może być pewny swego bezpieczeństwa.

– Należało mi się to od pana hrabiego – rzekł Lucjan z uśmiechem.

– Wszystko spaliło tedy na panewce!... – rzekł Cointet do ucha Petit-Claudowi, który, jak on, był świadkiem tego pożegnania.

Petit–Claud, oszołomiony powodzeniem Lucjana, zdumiony fajerwerkami jego dowcipu i jego urokiem, spoglądał na Franciszkę de la Haye, której fizjonomia, pełna podziwu dla Lucjana, zdawała się mówić oblubieńcowi: „Bądź taki jak twój przyjaciel”.

Błysk radości przemknął po twarzy Petit–Clauda.

– Obiad u prefekta dopiero pojutrze, mamy jeszcze dzień, rękę za wszystko.

– A zatem, mój drogi – rzekł Lucjan do Petit–Clauda wracając o drugiej pieszo – przybyłem, ujrzałem, zwyciężyłem! Za kilka godzin Dawid będzie bardzo szczęśliwy.

„Oto wszystko, co chciałem wiedzieć” – pomyślał Petit–Claud. – Uważałem cię tylko za poetę, ale ty jesteś i Lauzunem¹⁴, to znaczy dwakroć poetą – odparł żegnając go uściskiem dłoni, który miał być ostatni.

– Droga Ewo – rzekł Lucjan budząc siostrę – dobra nowina! Za miesiąc Dawid nie będzie miał już długów!...

– Jakim cudem?

– Otóż w spódniczce pani du Châtelet kryje się dawna Luiza; kocha mnie więcej niż kiedykolwiek, postara się za pośrednictwem męża przesłać raport o naszym odkryciu ministrowi spraw wewnętrznych!... Tak więc mamy przed sobą już tylko miesiąc cierpień, tyle, ile mi trzeba, aby się zemścić na prefekcie i uczynić go najszczęśliwszym z mężów. Ewa, słuchając brata, miała uczucie, że śni.

– Kiedym oglądał ten popielaty salonik, gdzie przed dwoma laty drżałem jak dziecko, kiedym patrzył na te meble, malowidła i postacie, miałem wrażenie, że łuska spada mi z oczu! Jak Paryż odmienia człowieka!

– Czy to szczęście?... – rzekła Ewa zrozumiałszy wreszcie brata.

– No, kładź się, ty już usypiasz; pogadamy jutro – rzekł Lucjan.

Plan Cérizeta odznaczał się nadzwyczajną prostotą. Mimo iż należał on do rzędu podstępów, jakimi posługują się prowincjonalni komornicy, aby pochwycić dłużników, podstępów, których powodzenie jest wielce wątpliwe, miał się on powieść, opierał się bowiem zarówno na znajomości charakterów Lucjana i Dawida, jak i na ich nadziejach. Wśród robotnic, których Cérizet (chwilowo odkomenderowany przez Cointetów do poruczeń szczególnych) był Don Juanem i nad którymi panował wygrywając jedne przeciw drugim, wyróżniał w tej chwili jedną z prasowaczek Brygidy Clerget, dziewczynę prawie równie piękną, jak pani Séchard, nazwiskiem Henryka Signol, której rodzice posiadali winniczkę o dwie mile od Angoulême na drodze do Saintes. Signolowie, jak wszyscy wieśniacy, uważali, iż nie mają na tyle, aby chować jedyne dziecko przy sobie, i przeznaczyli ją do „obowiązku”, to znaczy na pokojową w jakimś zamożnym domu. Na prowincji panna służąca musi umieć prac i prasować wykwinną bieliznę. Zakład pani Prieur, której Brygida była następczynią, miał tak świetną reputację, że Signolowie oddali tam córkę na naukę, płacąc za mieszkanie i życie. Pani Prieur należała do tej rasy prowincjonalnych pryncypałów starej daty, którzy poczuwają się do zastępowania rodziców. Żyła z uczennicami jak w rodzinie, prowadziła je do kościoła i dozorowała je sumiennie. Henryka, ładna, bujnie rozwinięta brunetka o śmiałym oku, gęstych, długich, włosach, była biała, jak są białe dziewczęta Południa, białością magnolii. To też Cérizet wziął natychmiast piękną dziewczynę na oko, ale ponieważ należała do rodziny uczciwych rolników, ustąpiła jedynie pokonana zazdrością, złym przykładem i tym kuszącym słowem: „Ożenię się z tobą!”, które szepnął jej Cérizet, skoro został młodszym korektorem u Cointetów. Dowiedziawszy się, iż Signolowie posiadają winnicę wartości jakich dziesięciu do dwunastu tysięcy i dość przyzwoity domek, paryżanin postarał się o to, aby Henryce umożliwić inne małżeństwo. Taki był stan amatorów pięknej Henryki i sprytnego Cérizeta, kiedy Petit–Claud ukazał chłopakowi nadzieje na drukarnię Sécharda, przy subwencji dwudziestu tysięcy franków, która miała dlań być niby wędzidłem. Ta przyszłość olśniła korektora, w

¹⁴ Antonin książę de Lauzun (1632–1723) – wzbudził miłość księżny de Montpensier, stryjecznej siostry Ludwika XIV, i poślubił ją potajemnie, wbrew woli króla.

głowie mu się zawróciło, panna Signol wydała mu się zaporą dla jego ambicji, zaczął zaniebywać biedną dziewczynę. Henryka, w rozpaczy, przywiązała się do korektorzyny tym więcej, im mniej on okazywał jej względów. Odkrywszy, że Dawid ukrywa się u panny Clerget, paryżanin zmienił poglądy co do Henryki, nie zmieniając wszelako postępowania; postanowił zużyć do swych celów jej rozpaczliwe położenie i jej miłość. W dniu, w którym Lucjan miał odzyskać swą Luizę, Cérizet zwierzył rankiem Henryce tajemnicę Brygidy i dał do poznania, że los ich i małżeństwo zależą od wytropienia kryjówki Dawida. Raz wprowadzona na trop, Henryka odgadła bez trudności, że drukarz może się znajdować jedynie w alkierzyku panny Clerget. Dziewczyna wydając tę tajemnicę nie sądziła, aby popełniała coś złego; ale ta pierwsza zdrada wciągnęła ją w sidła Cérizeta.

Lucjan spał jeszcze, kiedy Cérizet przyszedł dowiedzieć się o rezultacie wieczoru, słuchał w gabinecie Petit–Clauda opisu wielkich, mimo że małych, wydarzeń, które miały niebawem poruszyć całe Angoulême.

– Czy Lucjan napisał do pana słówko od swego powrotu? – spytał paryżanin potrząsnawszy głową na znak zadowolenia, skoro Petit–Claud skończył.

– Oto wszystko, co mam od niego – odparł adwokat podając list, gdzie Lucjan skreślił parę wierszy na papierze listowym, którym posługiwała się siostra.

– A zatem – rzekł Cérizet – dziesięć minut przed zachodem słońca niech Doublon zasadzi się przy bramie Palet, niech ukryje żandarmów i rozstawi ludzi, będziemy mieli ptaszka.

– Jesteś pewny swojej sprawy? – rzekł Petit–Claud mierząc spojrzeniem Cérizeta.

– Zdaję się na los – rzekł eksurwis paryski – ale los to skończony hultaj, nie lubi uczciwych ludzi.

– Trzeba, aby się powiodło – rzekł adwokat sucho.

– Powiedzie się – odparł Cérizet. – To pan pchnąłeś mnie w błoto, możesz mi tedy dać tych parę banknotów, żebym się miał czym obetrzeć... Ale, drogi panie – rzekł paryżanin pochwywszy na twarzy adwokata wyraz, który mu się nie podobał – jeżeli mnie pan zwiódł, jeśli nie kupisz mi drukarni w ciągu tygodnia... przygotuj się, że zostawisz młodą wdowę – rzeki cicho ulicznik paryski sącząc śmierć w spojrzeniu.

– Jeśli uwięzimy Dawida o szóstej, bądź o dziewiątej u pana Gannerac; załatwimy twój interes – odparł rozkazująco adwokat.

– Zrozumiano; gość będzie obsłużony! – rzekł Cérizet.

Cérizet znał już sztukę, która polega na wywabianiu pisma i która dziś poważnie podkopuje interesy skarbu. Wywabił więc kilka wierszy skreślonych przez Lucjana i zastąpił je innymi, naśladowując pismo z doskonałością złowróbną dla przyszłości korektora.

Mój drogi Dawidzie, możesz przyjść bez obawy do prefekta, sprawa Twoja załatwiona; zresztą o tej porze możesz już wyjść; idę naprzeciw Ciebie, aby Ci wytłumaczyć, jak się masz zachować u prefekta – Twój brat Lucjan.

W południe Lucjan napisał list do Dawida, donosząc mu o powodzeniu wieczoru i zapewniając o poparciu prefekta, który, jak mówił, tegoż samego dnia ma złożyć ministrowi raport o odkryciu, do którego bardzo się zapalił. W chwili gdy Maryna przyniosła ten list Brygidzie, pod pozorem oddania jej koszul Lucjana do prania, Cérizet, pouczony przez Petit–Clauda o możliwości tego listu, wyciągnął z domu pannę Signol i chodził z nią długo nad brzegiem Charenty. Musiała toczyć się walka, w której honor Henryki bronił się długo, przechadzka bowiem trwała dwie godziny. Nie tylko wchodził w grę interes dziecka, ale także całe przyszłe szczęście, los; a to, o co prosił Cérizet, to był drobiazg – uwodziciel bowiem nie odsłonił dziewczynie konsekwencji swego żądania. Jednakże nieproporcjonalna cena tej drobnostki przerażała Henrykę. Mimo to Cérizet uzyskał wreszcie od kochanki, iż zgodziła się wziąć udział w intrydze. O piątej Henryka miała wyjść i wrócić oznajmiając pannie Clerget, iż pani Séchard prosi ją o natychmiastowe przybycie. Następnie, w kwadrans po wyjściu Brygidy,

wejdzie, zapuka do alkierza i odda Dawidowi fałszywy list Lucjana. Po czym Cérizet zdał się ze wszystkim na los.

Pierwszy raz od roku blisko Ewa uczuła, iż się rozluźnia żelazna obręcz, jaką ścisła ją konieczność. Wreszcie zaczęła mieć nadzieję. I ona także zapragnęła ucieszyć się bratem, pokazać się pod ramię z człowiekiem wielbionym przez rodzinne miasto, ubóstwianym przez kobiety, kochanym przez dumną hrabinę du Châtelet. Ubrała się odświętnie i po obiedzie zamierzyła przejść się po Beaulieu pod ramię z Lucjanem. O tej godzinie, we wrześnie, całe Angoulême zażywa świeżego powietrza.

– Ho ho! To piękna pani Séchard – rzekło kilka głosów na widok Ewy.

– Nigdy nie myślałabym tego o niej – rzekła jakaś kobieta.

– Mąż się chowa, żona wystawia się na pokaz – rzekła pani Postel dość głośno, aby biedna kobieta mogła usłyszeć.

– Och, wracajmy, źle uczyniłam – rzekła Ewa do brata.

Na kilka minut przed zachodem słońca, na drodze, która spada w zakrętach ku Houmeau, dal się słyszeć gwar jakiegoś zbiegowiska. Lucjan i Ewa, zdjęci ciekawością, skierowali się w tamtą stronę, z kilku słów bowiem, jakie padły dokoła nich, można było sądzić, jakoby popełniono tam jakąś zbrodnię.

– Zdaje się, że przytrzymał złodzieja... Błady jest jak śmierć – rzekł przechodzień do nich, widząc, iż biegną w stronę rosnącej ciżby.

Ani Lucjan, ani Ewa nie doznawali najmniejszego lęku. Ujrzeni sporą gromadkę dzieci, starych kobiet, robotników wracających z roboty; gromadka ta poprzedzała żandarmów, których galony błyszcząły w głównej grupie. Grupa ta ciągnęła za sobą setkę innych osób, posuwała się naprzód jak chmura niosąca burzę.

– Ach – rzekła Ewa – to mój mąż!

– Dawid! – krzyknął Lucjan,

– To jego żona! – krzyknął tłum rozstępując się.

– Kto zdołał cię wywabić z domu? – spytał Lucjan.

– Twój list – odparł Dawid, błady i wzruszony.

– Byłam tego pewna – rzekła Ewa padając jak martwa.

Lucjan podniósł siostrę; dwie osoby pomogły ją przenieść do domu, gdzie Maryna ułożyła ją do łóżka. Kolb pobiegł po lekarza. Kiedy zjawił się doktor, Ewa nie odzyskała jeszcze przytomności. Lucjan musiał wyznać matce, iż stał się przyczyną aresztowania Dawida, nie mógł bowiem mieć najmniejszego pojęcia o *qui pro quo* z fałszywym listem. Lucjan, spiorunowany spojrzeniem matki, która zawarła w nim przekleństwo, pobiegł do swego pokoju i zamknął się. Czytając ten list, pisany w nocy i przerywany raz po raz, każdy odgadnie, że zdań rzuconych w pośpiechu, wzruszenia, jakie przechodził Lucjan:

Ukochano, siostrzo, widzieliśmy się przed chwilą ostatni raz. Postanowienie moje jest nieodwołalne. Oto dlaczego. W wielu rodzinach zdarza się nieszczęsna jednostka, która dla swoich bliskich jest jakby chorobą. Ja jestem taką jednostką dla Was. Spostrzeżenie to nie jest moje, ale człowieka znającego dobrze świat. Wieczeraliśmy jednego dnia w kółku przyjaciół, w Rocher-de-Cancale. Wśród tysiąca żarcików, jakie padaly, ów dyplomata powiedział, że pewna młoda osoba, która, ku powszechnemu zdziwieniu, nie wychodzi za mąż, jest „chora na swego ojca.” Za czym rozwinął swą teorię chorób rodzinnych. Wytłumaczył nam, czemu, gdyby nie matka, któryś dom żyłby szczęśliwie; w jaki sposób któryś syn zrujnował ojca, jak ów ojciec zniszczył przyszłość i stanowisko dzieci. Mimo iż bronił swej tezy w poł żartem, poparł ją w ciągu dziesięciu minut tyloma przykładami, że mnie to uderzyło. Ta prawda opłacała wszystkie nedorzeczne, ale dowcipne paradoksy, jakimi dziennikarze bawią się między sobą, kiedy nie ma dla kogo grać komedii. Otóż ja jestem klątwą naszej rodziny. Z sercem przepelnionym czułością, działałam jak wróg. Wszystkie Wasze poświęcenia odplaciłem złem. Mimo iż mimowolny, ten ostatni cios najokrutniejszy jest ze wszystkich. Gdy ja wiodłem w Paryżu ży-

cie niegodne, pełne uciech i nędz, biorąc kamaraderię za przyjaźń, opuszczając prawdziwych przyjaciół dla ludzi, którzy chcieli i umieli mnie wyzyskać, zapominając o Was lub przypominając sobie tylko po to, aby Wam czynić źle – Wy szliście skromną ścieżką pracy, idąc mozolnie, ale pewnie ku fortunie, którą ja chciałem tak obłądnie pochwycić. Gdy Wy stawaliście się lepsi, ja brnąłem coraz dalej na drodze zguby. Tak, mam nieokiełznane ambicje, które nie pozwalają mi pogodzić się ze skromnym i prostym życiem. Mam upodobania, nałogi, a wspomnienie ich zatruwa szczęście, które mi jest dostępne i które niegdyś byłoby mnie zadowolilo. O, droga Ewo, sądzę się sam surowiej niż ktokolwiek w świecie, potępiam się bezwarunkowo i nieubłaganie. Walka w Paryżu wymaga ciągłego napięcia, a moja wola działa jedynie wybuchami, a mózg nierównomiernie. Przyszłość przeraża mnie tak, że nie chcę przyszłości, a teraźniejszość jest mi nie do zniesienia. Chciałem Was ujrzeć; lepiej bym uczynił opuszczając kraj na zawsze. Ale ekspatriacja bez środków do życia byłaby szaleństwem, a szaleństw mam już dosyć... Śmierć zdaje mi się znośniejsza niż niepełne życie; w jakiegokolwiek zaś roli się znajdę, próżność popchnie mnie do czynienia głupstw. Niektóre istoty są jak zera: trzeba im cyfry, która by je poprzedzała, wówczas nicość ich nabiera dziesięciokrotnej wartości. Ja mogę nabrać wartości jedynie przez skojarzenie się z silną, nieubłaganą wolą. Pani de Bargeton to była żona dla mnie, przegrałem życie przez to, iż nie opuściłem dla niej Koralii. Dawid i Ty mogliście być dla mnie wybornymi sternikami, ale nie jesteście dość silni, aby ujarzmić mą słabość, która na pozór wymyka się panowaniu. Lubię życie łatwe, bez trosk; aby się wymigać przeciwnościom, jestem zdolny do rzeczy, które mogą mnie zawieść bardzo daleko. Jestem urodzonym księciem. Mam inteligencji więcej niż trzeba, aby wypłynąć, ale mam ją jedynie przez chwilę, nagroda zaś w szrankach, w których staje do biegu tyle ambicji, przypada temu, kto rozwija tylko tyle siły, ile jest konieczne, i znajduje jeszcze jej zapas u schyłku dnia. Potrafiłbym robić źle, jak tu narobiłem, z intencjami najlepszymi w świecie. Są ludzie-dęby, ja jestem może tylko wdzięcznym bluszczem, a mam pretensję być cedrem. Oto mój bilans. Ten rozdzwiek między środkami a pragnieniami, ten brak równowagi będzie zawsze udaremniał me wysiłki. Istnieje w sferze literackiej wiele takich charakterów, a to z przyczyny nieustannych dysproporcji między umysłem a charakterem, między pragnieniem a wolą. Jaki byłby mój los? Mogę to z góry odgadnąć przypominając sobie kilka dawnych słów paryskich, dziś zupełnie zapomnianych. Znajdę się u progu starości, przedwcześnie zużyty, bez majątku, bez szacunku u ludzi. Cała moja obecna istota wzdryga się przed podobną starości: nie chcę być lachmanem. Droga, ubóstwiana siostrzo, którą uwielbiam zarówno dla okazanej mi ostatnio surowości, jak za miłość z dawnych dni, jeśli zbyt drogo opłaciliśmy przyjemność, jaką znalazłem w tym, aby ujrzeć Ciebie i Dawida, pomyślcie może kiedyś, iż żadna cena nie była zbyt wysoka, by opłacić ostatnie szczęście biednej istoty, która Was kochała!... Nie dowiadujcie się o mnie ani o mój los; na to mi się choć zda inteligencja, aby doprowadzić do skutku mój zamiar. Rezygnacja, mój aniele, jest codziennym samobójstwem; co do mnie, mam zapas rezygnacji tylko na jeden dzień, skorzystam z niej i dzisiaj...

Godzina druga w nocy

Tak, już postanowiłem. Żegnaj więc na zawsze, droga Ewo! Doświadczam pewnej słodczy na myśl, że już będę żył tylko w Waszych sercach. Tam będzie mój grób... nie chcę innego. Jeszcze raz, żegnajcie!... To ostatnie słowo brata Twego – Lucjana.

Napisawszy ten list, Lucjan zeszedł bez hałasu, położył go na kolebce małego Lucusia, złożył na czole uśpionej siostry ostatni, zwilżony łzami pocałunek i wyszedł. Zgasił świecę w szarzącym blasku spojrzawszy ostatni raz na stary dom otworzył po cichu drzwi do sieni, ale mimo tych ostrożności obudził Kolba, który spał na materacu rozciągniętym na ziemi w hali.

– Gdo icie?... – zakrzyknął Kolb.

– To ja – rzekł Lucjan – idę stąd, Kolb.

– Lebi pyż ban sropił, szepyz nikty nie bzychocził – rzekł Kolb do siebie, ale dość głośno, aby Lucjan usłyszał.

– Lepiej byłbym zrobił, żeby nie przychodził na świat – odparł Lucjan. – Bądź zdrów, Kolb, nie mam ci za złe myśli, którą podzielał. Powiesz Dawidowi, że moim ostatnim westchnieniem był żal, że go nie mogę uściskać.

Skoro Alzacyjny wstał i ubrał się, Lucjan zamknął drzwi i puścił się ku Charencie przez aleję Beaulieu, ale tak jak gdyby szedł na zabawę, oblekł bowiem niby całun swe paryskie suknie, cały wykwinny ryszunek dandysa. Uderzony akcentem ostatnich jego słów, Kolb chciał się dowiedzieć, czy pani Ewa wie o wyjeździe brata i czy się z nią pożegnał, ale znajdując dom pogrążony w głębokim milczeniu, pomyślał, że wyjazd był zapewne ułożony z góry, i położył się z powrotem.

W stosunku do wagi przedmiotu, bardzo mało pisano o samobójstwie, nie obserwowano go. Może choroba ta umyka się obserwacji. Samobójstwo jest wynikiem uczucia, które nazwalibyśmy, jeżeli chciecie, szacunkiem dla samego siebie, aby go nie mieszać ze słowem „honor”. W dniu, w którym człowiek sobą gardzi lub czuje się wzgardzony, w chwili, gdy rzeczywistość jest w rozdzwisku z jego nadziejami, zabija się, składając w ten sposób hołd społeczeństwu, wobec którego nie chce pozostać odarty ze swych cnót lub z blasku. Co bądź by kto mówił, wśród ateuszów (u chrześcijanina trzeba uważać samobójstwo za niemożliwe) tchórze tylko przyjmują życie w hańbie. Samobójstwo bywa trojaki: raz, samobójstwo będące tylko ostatnim napadem długiej choroby i należące niewątpliwie do patologii; dalej, samobójstwo z rozpacz; wreszcie – z wyrozumowania. Lucjan chciał się zabić z rozpacz i z wyrozumowania; są to dwa rodzaje samobójstwa, z których można się cofnąć; nieodwołalne jest tylko samobójstwo patologiczne; często jednakże wszystkie trzy przyczyny się łączą, jak u Jana Jakuba Rousseau.

Lucjan, raz powziąwszy postanowienie, zamyślił się nad wyborem środków: jako poeta, chciał skończyć poetycznie. Myślał zrazu po prostu rzucić się do Charenty; ale schodząc ostatni raz zakosami do Beaulieu, usłyszał wyobraźnią hałas, jaki wywoła jego samobójstwo, ujrzał ohydne widowisko, własne ciało wydobyte z wody, zniekształcone, będące przedmiotem dochodzeń sądowych; uczuł, jak bywa u samobójców, przyływ pośmiertnej próżności. W ciągu dnia spędzonego w młynie przechadzał się nad rzeką i zauważył niedaleko od młyna okrągłe jezioro, takie, jak zdarza się w biegu małych rzeczek, a którego spokojna powierzchnia zdradzała głębię. Woda nie jest wówczas ani zielona, ani niebieska, ani przejrzysta, ani żółta; Jest jak gdyby zwierciadło z polerowanej stali. Na brzegach tej czary nie widać było ani mieczyków, ani niezapominajek, ani szerokich liści nenufaru; trawa na stoku była krótka i gęsta, dokoła płaczące wierzyby rosły wcale malowniczo. Łatwo było odgadnąć przepaść pełną wody. Ktoś, kto by się zdobył na odwagę napełnienia kieszeni kamykami, mógłby znaleźć tam nieuniknioną śmierć, bez obawy, że go odnajdą kiedyś.

– Ha – rzekł poeta podziwiając ładny zakątek – oto miejsce dla topielców wymarzone!

Obraz ten stanął mu w pamięci w chwili, gdy dochodził do Houmeau. Szedł tedy ku Marsac, zdany na pastwę ostatnich i grobowych myśli, z niezłomnym postanowieniem, aby w ten sposób pochować na wieki sekret swojej śmierci, uniknąć śledztwa, pogrzebu, nie pokazać się oczom ludzi w ohydny stan niesionego przez wodę topielca. Dotarł niebawem do pagórków, których tyle spotyka się po drodze we Francji, zwłaszcza między Angoulême a Poitiers. Dylizans z Bordeaux do Paryża nadjeżdżał z całą chyżością; można było przypuszczać, iż podróżni zechcą wysiąść, aby się piąć na długie zbocze piechotą. Lucjan, który nie chciał, aby go widziano, rzucił się w zapadłą dróżkę i zaczął rwać kwiatki w jakiejś winnicy. Kiedy wrócił na gościniec, trzymając w ręku bukiet pieniącego się w kamienistych winnicach żółtego kwiecia, wpadł prosto na podróżnego, ubranego zupełnie czarno, o pudrowanych włosach, obutego w trzewiki ze srebrnymi klamrami. Płec miał ciemną i pokrytą bliznami, jak gdyby w dzieciństwie wpadł w ogień. Podróżny ten, wyglądający na osobę duchowną, szedł z wolna i

palili cygaro. Słyszając Lucjana, który skoczył z winnicy na drogę, nieznajomy odwrócił się; melancholijna piękność poety, jego symboliczny bukiet i wykwintny strój uderzyły go wyraźnie. Podróżny podobny był w tej chwili do myśliwca, który znajduje długo i bezskutecznie szukaną ofiarę. Wyczekał, aż Lucjan się zbliży, i przyglądał mu się z dala, jak gdyby błędząc oczyma po zboczach. Lucjan, który czynił ten sam ruch, ujrzał małą kolaskę, zaprzężoną w dwa konie, oraz pocztyliona pieszo.

– Odjechał pana dyliżans, młody panie, stracisz miejsce, chyba że zechcesz wsiąść do mej kolaski, aby go doścignąć; poczta idzie szybciej niż publiczny wehikuł – rzekł podróżny do Lucjana, wymawiając te słowa z wybitnym akcentem hiszpańskim i dając swej propozycji cechy najwykwintniejszej grzeczności.

Nie czekając na odpowiedź, Hiszpan dobył z kieszeni puzderko cygar i otwarłszy podał je z uprzejmym gestem Lucjanowi.

– Nie jestem podróżnym – odparł Lucjan – i jestem zbyt blisko kresu drogi, aby się bawić w przyjemność palenia...

– Jest pan bardzo surowy dla samego siebie – odparł Hiszpan. – Mimo iż jestem kanonikiem w Toledo, pozwalam sobie od czasu do czasu na cygarko. Bóg zesłał nam tytoń, aby usypiać nasze bóle i namiętności... Zdajesz się pan mieć zmartwienie, przynajmniej masz jego godło w ręku, jak smutny bóg Hymenu. Ot, weź pan... wszystkie zmartwienia twoje ulecą z tym dymem...

I ksiądz ponownie wysunął kuszącym ruchem słomiane puzderko, obrzucając Lucjana pełnym współczucia spojrzaniem.

– Daruj, ojcze – odparł sucho Lucjan – nie ma cygara, które by mogło rozproszyć me zgryzoty...

Przy tych słowach oczy Lucjana zwilżyły się łzami.

– Och, młodzieńcze, czy więc Opatrzność wzbudziła we mnie chęć przechadzki (podróżni zwykli w ten sposób rozpraszać ogarniającą ich nad ranem senność), iżbym mógł, niosąc ci pociechę, dopełnić mojej misji na ziemi?... I jakież tak wielkie zgryzoty możesz mieć w swoim wieku?

– Twoje pociechy, ojcze, byłyby bezużyteczne; pan jesteś Hiszpan, ja Francuz; pan wierzysz w nakazy Kościoła, ja jestem ateusz...

– *Santa Yirgen del Pilar!*¹⁵ Ateusz! – wykrzyknął ksiądz ujmując Lucjana pod ramię z macierzyńską pieczołowitością. – Ba! oto jedna z osobliwości, które przyrzekałem sobie studiować w Paryżu. My, Hiszpanie, nie wierzymy w ateuszów... W jednej tylko Francji można, mając dziewiętnaście lat, wyznawać podobne zasady.

– Och, jestem ateuszem do szpiku kości; nie wierzę ani w Boga, ani w społeczeństwo, ani w szczęście. Przypatrz mi się dobrze, ojcze, za kilka godzin bowiem już mnie nie będzie... Oto moje ostatnie słońce!... – rzekł Lucjan z pewną emfazą, wskazując na niebo.

– Ejże! Cóż takiego uczynił, aby umierać? Kto cię skazał na śmierć?

– Najwyższy trybunał, ja sam!

– Dziecko! – wykrzyknął ksiądz. – Czy zabiłeś człowieka? Czy czeka cię rusztowanie? Mówmyż na rozum. Skoro chcesz wstąpić, wedle siebie, w nicość, wszystko ci jest obojętne na ziemi?

Lucjan skinął głową.

– A zatem możesz mi opowiedzieć swoje strapienia?... Chodzi zapewne o jakąś miłość, która nie idzie po myśli?...

Lucjan uczynił gest bardzo wymowny.

¹⁵ Santa Virgen del Pilar! (hiszp.) – Święta Dziewico ze Słupa! (W Hiszpanii posąg Matki Boskiej na Słupie z kościoła w Saragossie jest przedmiotem tradycyjnego kultu.)

– Chcesz się zabić, aby uniknąć hańby lub dlatego, żeś zwątpił o życiu? Więc dobrze, zabijesz się równie dobrze w Poitiers, jak w Angoulême, w Tours równie dobrze, jak w Poitiers. Ruchome piaski Loary nie zwracają łupu...

– Nie, ojciec – odparł Lucjan – znalazłem, co mi trzeba. Przed trzema tygodniami spostrzegłem najbardziej uroczą przystań, przez jaką może się dostać na tamten świat człowiek zmierzony życiem...

– Na tamten świat? Nie jesteś więc ateuszem.

– Och! To, co rozumiem pod „tamnym światem”, to przyszłe przeobrażenie w zwierzę lub roślinę...

– Cierpisz na jaką nieuleczalną chorobę?

– Tak, ojciec.

– Aha, doszliśmy wreszcie do kłębka – rzekł ksiądz. – A jakąż?

– Ubóstwo.

Ksiądz spojrział na Lucjana i rzekł z nieskończonym wdziękiem oraz z uśmiechem niemal ironicznym:

– Diament nie zna swej wartości.

– Jeden chyba ksiądz zdolny jest głaskać miłymi słówkami biedaka, który ma umrzeć!... – krzyknął Lucjan.

– Nie umrzesz! – rzekł Hiszpan z powagą w głosie.

– Słyszałem – odparł Lucjan – iż ograbia się ludzi na gościńcu, nie wiedziałem, że się ich wzbogaca.

– Dowiesz się – rzekł ksiądz przyjrawszy się czy odległość, w jakiej znajdował się pojazd, pozwoli im przejść samotnie jeszcze kilka kroków. – Posłuchaj – rzekł ksiądz żując cygaro – ubóstwo to nie jest dostateczna racja, aby umrzeć. Trzeba mi sekretarza, mój umarł właśnie w Barcelonie. Znajduję się w tym samym położeniu, w jakim był baron de Görtz, słynny minister Karola XII, który przybył bez sekretarza do pewnego miasteczka, jadąc do Szwecji, jak ja do Paryża. Baron spotkał syna złotnika, chłopca uderzającego pięknnością, mimo iż z pewnością nie mogła się równać z twoją. Baron de Görtz odgadł w młodym człowieku inteligencję, jak ja widzę poezję na twoim czole; wziął go do kolaski, jak ja wezmę ciebie; i z tego chłopca, skazanego na to, by oksydować nakrycia i fabrykować klejnoty w miasteczku podobnym do Angoulême, uczynił swego faworyta, jak ty będziesz moim. Przybywszy do Sztokholmu baron instaluje chłopca i zarzuca go pracę. Młody sekretarz trawi nocę na pisaniu; jak wszyscy wielcy pracownicy, nabiera nałogu: zaczyna żuć papier. Śliczny chłoptaş zaczyna od papieru białego, ale przyzwyczajają się i przechodzi do papieru zapisanego, który mu się zdaje smakowitszy. Nie palono jeszcze wówczas tak jak dziś. Wreszcie sekretarzyna dochodzi z jednego smaku w drugi do tego, że zaczyna żuć pergaminy i zjadać je. Toczyły się wówczas między Rosją a Szwecją rokowania o traktat pokojowy, który Stany narzucały Karolowi XII, jak w roku 1814 chciano zmusić Napoleona, aby się układał o pokój. Podstawą negocjacji był traktat zawarty między dwoma mocarstwami z przyczyny Finlandii. Görtz powierza oryginał swemu sekretarzowi, ale kiedy przychodzi moment przedstawienia Stanom projektu, zachodzi ta mała trudność, że traktat znikł bez śladu. Stany wyobrażają sobie, że przez usługę dla króla minister postarał się usunąć dokument. Stawiają barona de Görtz w stan oskarżenia; wówczas sekretarz wyznaje, iż zjadł traktat... Wszczytna się proces, fakt stwierdzono, skazują sekretarza na śmierć.

Ale ponieważ nie jesteś w tym położeniu, weź cygaro i zapal czekając na naszą kolaskę.

Lucjan wziął cygaro i zapalił, jak to jest przyjęte w Hiszpanii, od cygara księdza, mówiąc sobie:

„Ma słuszość, zawsze mam czas się zabić”.

– Często – podjął Hiszpan – właśnie w chwili, kiedy młodzi ludzie najbardziej rozpaczają o przyszłości, zaczyna się ich dobra dola. Oto co ci chciałem powiedzieć, ale wolałem wyka-

zać przykładem. Piękny sekretarz, skazany na śmierć, znajdował się w sytuacji tym rozpaczliwszej, iż król szwedzki nie mógł go ułaskawić, skoro wyrok wydały Stany szwedzkie, ale przymknął oczy na ucieczkę. Śliczny młodzieniec umyka na łódce z kilkoma talarami w kieszeni i przybywa na dwór kurlandzki, opatrzony listem polecający Görtza, w którym szwedzki minister tłumaczy księciu przygodę i manię swego protegowanego. Książę pomieszcza ładnego chłopca jako sekretarza u swego intendenta. Książę był rozrzutnikiem, miał ładną żonę i intendenta, trzy źródła ruiny. Jeżeli myślisz, że ów młodzian, skazany na śmierć za to, iż zjadł traktat dotyczący Finlandii, poprawił się ze swego przewrotnego smaku, nie znasz władzy, jaką ma nałóg nad człowiekiem; kara śmierci nie powstrzyma go, gdy chodzi o rozkosz, jaką sobie stworzył! Skąd pochodzi ta potęga narowu? Czy ta siła tkwi w samej jego istocie, czy pochodzi z ludzkiej słabości? Czy istnieją pasje będące już na granicy szaleństwa? Śmiać mi się chce, gdy widzę, jak moralisci usiłują zwalczać podobne choroby za pomocą pięknych sentencji!... Zdarzyła się chwila, w której książę, podrażniony odmową intendenta, gdy raz zażądał pieniędzy, zapragnął przejrzeć rachunki, ot, głupstwo! Nic łatwiejszego jak sporządzić rachunek, nie w tym trudność. Intendent powierzył sekretarzowi wszystkie akta, aby z nich ustalił bilans listy cywilnej Kurlandii. Wśród swej pracy, w nocy, gdy ją miał już ukończyć, młody papierozerca spostrzeżę się, iż żuje pokwitowanie księcia na dość znaczną sumę. Strach go ogarnia; przerywa w pół wyrazu, biegnie rzucić się do stóp księżnej, tłumacząc jej swój nałóg, błagając o wstawiennictwo, żebrząc ratunku. Było to w nocy... Uroda młodego sekretarza wywarła takie wrażenie na tej kobiecie, iż wyszła zań, skoro została wdową. I tak, w pełni XVIII wieku, w kraju, gdzie królowała wszechwładna moc herbu, syn złotnika został panującym... Ba, czymś więcej?... Był regentem w czasie śmierci pierwszej Katarzyny, opanował cesarzową Annę i zapragnął być Richelie' em Rosji, Otóż, młodzieńcze, wiedz to jedno: że jeżeli ty jesteś piękniejszy od Birona¹⁶, ja, mimo iż prosty kanonik, wart jestem więcej od barona Görtza. Zatem siadaj! Znajdziemy ci księstwo kurlandzkie w Paryżu, w braku zaś księstwa, zawsze znajdziemy bodaj jaką księżnę.

Hiszpan wziął Lucjana pod ramię, zmusił go dosłownie, aby wsiadł do kolasy, a poczytylion zatrzasnął drzwiczki.

– Teraz mów, słucham – rzeki kanonik toledański do zdumionego Lucjana. – Jestem stary ksiądz, któremu wszystko możesz powiedzieć bez, obawy. Schrupałeś dotąd zapewne jedynie swą ojcowiznę albo pieniądze mamusi. Narobiliśmy trochę dłużków, jesteśmy zaś nadziani honorem aż po koniuszek tych ślicznych lakierowanych bucików... No, wypowiadaj się śmiało; zupełnie tak, jakbyś mówił do samego siebie.

Lucjan znajdował się w położeniu owego rybaka z arabskiej bajki, który, chcąc się utopić w pełnym oceanie, dostaje się w podmorską krainę i zostaje tam królem. Ksiądz hiszpański wydawał mu się tak szczerze życzliwy, że poeta nie wahał się otworzyć mu serce; opowiedział tedy, pomiędzy Angoulême a Ruffec, całe swe życie, nie opuszczając żadnego błędu, aż do ostatniej kłęski, jaką spowodował. W chwili gdy kończył to opowiadanie, wygłoszone tym poetyczniej, ile że powtarzał je trzeci raz od dwóch tygodni, pojazd przybył w miejsce, gdzie, niedaleko Ruffec, znajduje się wioska Rastignaków. Nazwisko to, wymówione przez Lucjana, uczyniło na kanoniku wrażenie.

– Oto – rzekł Lucjan – skąd wyruszył młody Rastignac, który z pewnością nie więcej jest wart ode mnie, ale który miał więcej szczęścia.

– A!...

– Tak, ta pańska rudera to ich dom. Został, jak panu mówiłem, kochankiem pani de Nucingen, żony słynnego bankiera. Ja bawiłem się w poezję; on, sprytniejszy, trzymał się rzeczy pozytywnych.

¹⁶ Errist Johann Biron (1690–1772) – wszechwładny faworyt carowej Anny.

Ksiądz kazał stanąć, chciał, przez ciekawość, przejść małą aleję, która z gościńca prowadziła do domu, i przyglądał się wszystkiemu z większym zaciekawieniem, niżby się można spodziewać po hiszpańskim księdzu.

– Ojciec zna Rastignaków?... – spytał Lucjan.

– Znam cały Paryż – rzeki Hiszpan, siadając z powrotem. – Zatem dla braku dziesięciu czy dwunastu tysięcy miałeś się zabić. Jesteś dziecko, nie znasz ani ludzi, ani świata. Los człowieka wart jest tyle, na ile go sam szacuje; ty cenisz swą przyszłość na dwanaście tysięcy, otóż ja z miejsca kupuję cię za wyższą cenę. Co do uwięzienia szwagra, to błahostka. Jeśli ten zacny pan Séchard zrobił odkrycie, będzie bogaty. Ludzie bogaci nie siedzą nigdy w więzieniu za długi. Nie wydajesz mi się zbyt mocny w historii. Są dwie historie: jedna urzędowa, kłamliwa, ta, której uczą, historia *ad usum delphini*¹⁷; druga, historia sekretna, gdzie znajdują się prawdziwe przyczyny wydarzeń, historia haniebna. Pozwól sobie opowiedzieć, w trzech słowach, drugą historyjkę, której nie znasz. Ambitny młody człowiek, ksiądz, chce się docisnąć do spraw publicznych, robi się pokornym psem faworyta, faworyta królowej; faworyt nabiera dlań sympatii, podnosi go do rangi ministra, dając mu miejsce w Radzie. Pewnego wieczora jeden z tych ludzi, którym się zdaje, że oddają przysługę (nie oddawaj nigdy przysług, o które cię nie proszą!), uwiadamia ambitnego młodzieńca, że życie jego dobroczyńcy jest zagrożone. Król zbrzydził sobie jego kuratelę; jutro faworyt, jeśli się uda do pałacu, ma zginąć. I cóż, młodzieńcze, cóż byś uczynił, gdybyś otrzymał ten list?...

– Poszedłbym natychmiast ostrzec swego dobroczyńcę – wykrzyknął żywo Lucjan.

– Jesteś wciąż tym samym dzieckiem, jakim okazałeś się w obrazie swego życia – rzekł ksiądz. – Młodzieniec powiedział sobie: „Jeśli król waży się aż na zbrodnię, mój dobroczyńca jest zgubiony; trzeba udać, żem otrzymał list za późno!” I spał do godziny, w której zabijano faworyta...

– To potwór! – rzekł Lucjan, który podejrzewał, iż ksiądz chce go wypróbować.

– Wszyscy wielcy ludzie są potworami; ten nazywał się kardynał de Richelieu – odparł kanonik – dobroczyńca zaś jego – marszałek d'Ancre. Widzisz, że nie znasz jeszcze historii Francji. Czy nie miałem słuszności, mówiąc, że historia nauczana w szkołach to zbiorek dat i faktów przede wszystkim nader wątpliwy, a potem bez najmniejszego pożytku? Na co ci się zda wiedzieć, że istniała Joanna d'Arc? Czyś wyciągnął kiedy z tego konkluzję, że gdyby Francja była wówczas przyjęła andegaweńską dynastię Plantagenetów, dwa zjednoczone narody miałyby dzisiaj władztwo nad światem, i że dwie wyspy, gdzie się dziś wytwarza ferment zamieszek politycznych całego kontynentu, byłyby dwiema francuskimi prowincjami?... Ba, czy zastanawiałeś się nad środkami, za pomocą których Medyceusze, prości kupcy, doszli do godności wielkich książąt Toskanii?

– Poeta, we Francji, nie ma obowiązku być benedyktyinem – rzekł Lucjan.

– Otóż, młodzieńcze, zostali książętami tak samo, jak Richelieu ministrem. Gdybyś szukał w historii przyczyny wydarzeń zamiast uczyć się na pamięć ich nagłówków, byłbyś z nich wyciągnął reguły postępowania. Z tego, co zacerpnąłem, ot tak, nie przebieając, w zbiorce prawdziwych faktów, wynika to prawo. Uważaj ludzi, a zwłaszcza kobiety jedynie za narzędzia, ale nie pozwól im się tego domyślać. Uwielbiaj jak bóstwo tego, kto, stojąc wyżej od ciebie, może ci być użyteczny, i nie opuszczaj go, póki nie opłaci na wagę złota twego służalstwa. W stosunkach ze światem bądź twardy jak Żyd i jak on uniżony; czyn dla władzy wszystko to, co on czyni dla pieniędzy. Ale też człowiek upadły, niech będzie dla ciebie tak, jakby nigdy nie istniał. Wiesz, czemu winieneś postępować w ten sposób?... Chcesz panować nad światem, prawda? Trzeba zacząć od tego, aby być posłusznym światu i dobrze go studiować. Uczeni zgłębiają książki, politycy zgłębiają ludzi, ich interesy, źródła ich postępów. Otóż świat, społeczeństwo, ludzie, wzięci w ogóle, są fatalistami i ubóstwiają fakt. Wiesz,

¹⁷ *Ad usum delphini* (łac.) – do użytku delfina (tj. następcy tronu); formułą tą opatrzone były skrócone ze względów moralnych wydania klasyków łacińskich przeznaczone dla syna i wnuka Ludwika XIV.

czemu ci czynię ten mały wykład historii? Ponieważ domyślam się w tobie bezgranicznej ambicji...

– Tak, ojcze!

– Poznałem to – odparł kanonik. – Ale w tej chwili powiadasz sobie: „Ten hiszpański kanonik wymyśla anegdoty i nakręca historię, aby mi dowieść, że byłem nadto cnotliwy...”

Lucjan uśmiechnął się widząc, iż tak dobrze odgadnięto jego myśl.

– A zatem, młody człowieku, weźmy fakty, które stały się już banalne – rzekł ksiądz. – Pewnego dnia Francja stała się niemal cała łupem Anglików, król ma już tylko jedną prowincję. Z łona ludu podnoszą się dwie istoty: uboga młoda dziewczyna, właśnie ta Joanna d'Arc, o której mówiliśmy; następnie mieszczanin, nazwiskiem Jakub Coeur. Jedna daje swe ramię i urok swego dziewictwa, drugi swoje złoto: królestwo uratowane. Ale dziewczyna dostaje się do niewoli!... Król, który może wykupić dziewczynę, pozwala ją spalić żywcem. Co zaś do bohaterskiego mieszczanina, król daje go oskarżyć o śmiertelne zbrodnie swoim dworakom, którzy rozszarpują jego mienie. To, co zdarto z niewinnego człowieka, osaczonego, tropionego, zdławionego ręką sprawiedliwości, bogaci pięć szlacheckich domów... I ojciec arcybiskupa z Bourges opuszcza królestwo, aby doń nigdy nie wrócić, bez grosza ze swych majątków we Francji, nie mając innego mienia prócz tego, które zawierzył Arabom, Saracenom w Egipcie. Mógłbyś jeszcze powiedzieć: „To przykłady zbyt stare, wszystkie te niewdzięczności mają za sobą trzysta lat publicznego nauczania, szkielety zaś liczące tyleż lat życia przechodzą w sferę bajki”. Otóż, młody człowieku, czy wierzysz w ostatniego półboga Francji, w Napoleona? Trzymał jednego ze swych generałów w niełasce, zrobił go marszałkiem jedynie bardzo niechętnie, nigdy nie posługiwał się nim szczerze. Ten marszałek nazywał się Kellermann. Wiesz czemu? Kellermann ocalił Francję i Pierwszego Konsula pod Marengo śmiałą szarżą, której dano brawo wśród krwi i ognia. W biuletynie nie było nawet wzmianki o tej bohaterskiej szarży. Przyczyna oziębłości Napoleona dla Kellermanna jest także przyczyną niełaski Fouchégo, Talleyranda: to ta sama niewdzięczność króla Karola VII, Richelieu'go, niewdzięczność...

– Ale, ojcze, przypuściwszy, iż ocalisz mi życie i dasz w rękę fortunę – rzekł Lucjan – czynisz mi w ten sposób wdzięczność zbyt lekką.

– Urwisie – rzekł ksiądz uśmiechając się i biorąc Lucjana za ucho, aby je pokręcić z pufałością jak gdyby królewską – gdybyś był niewdzięczny wobec mnie, byłbyś wówczas człowiekiem silnym i pokłoniłbym się przed tobą; ale jeszcze nie zaszedłeś tak daleko; z prostego ucznia chciałeś zbyt rychło stać się mistrzem. To wada Francuzów w waszej epoce. Popsuł ich przykład Napoleona. Wnosisz dymisję, ponieważ nie możesz otrzymać epoletów, których pragniesz... Ale czyś skupił całą swą wolę, wszystkie czyny w jednej myśli?...

– Niestety, nie – rzekł Lucjan.

– Byłeś tym, co Anglicy nazywają *inconsistent*¹⁸ – ciągnął kanonik z uśmiechem.

– Mniejsza o to, czym byłem, skoro nie mogę już być niczym! – odparł Lucjan.

– Niech poza wszystkimi twymi pięknymi przymiotami znajdzie się siła *semper virens*¹⁹ – rzekł ksiądz, ostentacyjnie pokazując, iż umie nieco po łacinie – a nie oprze ci się nic w świecie. Kocham cię już na tyle...

Lucjan uśmiechnął się z niedowierzaniem.

– Tak – ciągnął nieznajomy odpowiadając na jego uśmiech – obchodzisz mnie tak, jak gdybyś był moim synem, jestem zaś dość silny, aby mówić z tobą otwarcie, jak ty mówiłeś ze mną. Wiesz, co mi się podoba w tobie?... Sam uczyniłeś z sobą generalne pranie, możesz tedy wysłuchać kursu moralności. którego nie spotkasz nigdzie; ludzie bowiem skupieni w gromadę są jeszcze bardziej obłudni niż wówczas, gdy interes zmusza ich do grania komedii. Dłate-

¹⁸ Inconsistent (ang.) – nietrwały, niestały.

¹⁹ Semper virens (łac.) – wiecznie zielona.

go też znaczną część życia pochłania plewienie w swoim sercu tego, czemu pozwoliło się wzrosnąć w młodości. Ta operacja nazywa się nabywaniem doświadczenia.

Lucjan, słuchając księdza, myślał:

„To jakiś stary dyplomata, rad, iż może rozerwać się w drodze. Bawi go to, aby przewracać w głowie biednemu chłopcu, którego spotkał na progu samobójstwa, po czym puści mnie wolno, wyczerpawszy zabawę... Ale rozumie się na paradoksach i nie ustępuje w niczym takiemu Blondetowi albo Lousteau”.

Mimo tej roztropnej myśli wpływ zepsucia, jakie roztaczał ów dyplomata, wchodził głęboko w duszę Lucjana, z natury dość podatną w tej mierze, i czynił w niej spustoszenia tym większe, ile że wspierał się na głośnych przykładach. Przykuty urokiem tej cynicznej konwersacji, Lucjan czepiał się tym chętniej życia, iż czuł jak gdyby potężne ramie, dobywające go z głębin samobójstwa na powierzchnię.

Ksiądz zdawał sobie sprawę ze swego zwycięstwa, toteż od czasu do czasu okraszał swe historyczne sarkazmy chytrym uśmieszkami.

– Jeżeli zasady moralne księdza podobne są do jego poglądu na historię – rzekł Lucjan – chciałbym wiedzieć, jaka jest w tej chwili pobudka owego rzekomego miłosierdzia?

– To, młody człowieku, jest ostatni punkt mego kazania; pozwolisz mi go zachować na później, w ten sposób bowiem nie rozstaniemy się dzisiaj – odparł z subtelnym uśmiechem ksiądz, widząc, że sztuczka się udała.

– A zatem, mówmy o moralności – rzekł Lucjan, który pomyślał: „Zabawię się i ja jego kosztem”.

– Moralność, młody człowieku, zaczyna się z prawem – rzekł ksiądz. – Gdyby chodziło tylko o religię, prawa byłyby zbyt liczne: ludy religijne mają mało praw. Ponad prawem cywilnym jest prawo polityczne. Chcesz wiedzieć, co, dla człowieka politycznego, widnieje na czołe tego waszego XIX stulecia? Francuzi wymyślili w 1793 wszechwładzę ludu, która skończyła się samowładnym monarchą. Oto historia waszego narodu. Co do obyczajów: pani Tallien i pani Beauharnais prowadziły się zupełnie jednako; Napoleon pojmuje jedną za żonę, czyni z niej waszą cesarzową, drugiej zaś nie zechciał nigdy przyjąć, mimo iż była księżną. On sam, *sans-culotte* w 1793, wkłada w 1804 żelazną koronę. Krwiożerczy kochankowie basta „równość lub śmierć” w 1792 stają się od 1806 współtwórcami arystokracji ulegalizowanej przez Ludwika XVIII. Za granicą arystokraci, którzy królują dziś w Dzielnicy Saint-Germain, zrobili gorzej: byli lichwiarzami, kupcami, paszтетnikami, ekonomami, pastuchami. We Francji zatem, tak w prawie politycznym, jak i moralnym, wszyscy i każdy z osobna zadali kłam punktowi wyjścia przez ostateczny rezultat; wszyscy wykazali rozbieżność przekonań i postępowania. Nie było logiki ani u rządu, ani u jednostek. Dlatego moralność jest dziś wam czymś obcym. Dzisiaj u was sukces jest najwyższą racją wszystkich postępów, bez względu na ich wartość i charakter. Fakt nie jest już niczym sam w sobie, cały jest w pojęciu, jakie drudzy sobie o nim tworzą. Stąd, młody człowieku, nowa nauka: miej piękne pozory! Ukrywaj podszewkę swego życia i pokazuj bardzo świetny wierzch. Dyskrecja, ta dewiza ambitnych, jest hasłem naszego zakonu²⁰; niech się stanie i twoim. Wielcy popełniają niemal tyle podłości, co nędzarze; ale popełniają je w cieniu, paradują zaś cnotami: są zawsze wielcy. Mali rozwijają swe cnoty w cieniu, wystawiają swe nędze na światło: są przedmiotem wzgardy. Ty ukrywałeś swe wielkości, odślaniałeś zaś rany. Kochałeś publicznie aktorkę, żyłeś z nią; mieszkaleś u niej; nie czyniłeś nic godnego nagany, każdy uważał, że oboje jesteście zupełnie wolni, ale stawaleś w ten sposób wbrew pojęciom świata; jakoż brakło ci owego poważania, którego świat używa ludziom posłusznym jego prawu. Gdybyś podzielił Koralię z owym panem Camusot, gdybyś ukrywał swoje z nią stosunki, zaślubiłbyś panią de Bargeton, byłbyś prefektem i margrabią de Rubempré. Zmień postępowanie: wysuń naprzód swą pięk-

²⁰ Nasz zakon – ze słów księdza można by wnosić, że należy on do zakonu Jezuitów, który, zniesiony w r. 1773, odżył w r. 1814, a we Francji pojawił się w r. 1818.

ność, wdzięk, dowcip, poezję. Jeśli sobie pozwolisz na małe bezceństwo, niech to będzie w czterech ścianach. Wówczas nie popełnisz już owego nietaktu, aby czynić widoczną plamę na dekoracjach wielkiego teatru zwanego światem. Napoleon nazywa to: prać brudną bieliznę w rodzinie. Z drugiej zasady wypływa ten dalszy pewnik: wszystko polega na formie. Zrozum, co nazywam formą. Są ludzie bez wychowania, którzy, przyciśnięci potrzebą, biorą drugiemu jakąś sumę gwałtem; nazywają się zbrodniarzami i mają do czynienia z kodeksem karnym. Biedny genialny człowiek znajduje sekret, który wart jest całej skarby, pożyczasz mu trzy tysiące (na wzór tych Cointetów, którym wpadły w ręce twoje trzy tysiące franków i którzy obłupią twego szwagra), nękaś go póty, aż ci odstąpi wszystko albo część sekretu; masz do czynienia tylko ze swoim sumieniem, sumienie zaś nie zaprowadzi cię przed kratki sądowe. Wrogowie porządku społecznego korzystają z tej sprzeczności, aby ujadać na sprawiedliwość i gniewać się w imieniu ludu o to, że posyła się na galery złodzieja, który w nocy skradnie kurę z podwórka, gdy skazuje się ledwie na kilka miesięcy więzienia człowieka, który rujnuje całe rodziny podstępny bankructwem; ale ci hipokryci wiedzą dobrze, że skazując złodzieja sędziowie utrzymują między bogatymi a biednymi barierę, której obalenie byłoby końcem porządku społecznego, gdy fałszywy bankrut, zręczny łowca sukcesyj, łajdacki bankier, powoduje jedynie przemieszczenie kapitałów. Tak więc społeczeństwo, mój synu, zmuszone jest, na swoją rzecz, czynić to samo rozróżnienie, jakie ja czynię na twoją. Najważniejsze jest to, aby się czuć równym całej społeczności. Napoleon, Richelieu, Medyceusze mieli się za równych swemu wiekowi. Ty szacujesz się na dwanaście tysięcy franków!... Twoje społeczeństwo nie uwielbia już prawdziwego Boga, ale złotego cielca!... Taka jest religia waszej konstytucji, która w polityce liczy się już tylko z własnością. Czyż to nie znaczy powiedzieć wszystkim poddanym: „Starajcie się być bogaci...”? Kiedy, zdoławszy sobie legalnie wykroić fortunę, będziesz bogatym i margrabią, wówczas pozwolisz sobie na honor i tym podobne zbytki. Wówczas rozwinięsz tyle skrupułów, iż nikt nie będzie śmiał cię oskarżyć, żeś im kiedykolwiek chybił; o ile chybisz im kiedy, dążąc do fortuny, czego nie radziłbym ci nigdy – rzekł ksiądz ujmując rękę Lucjana i klepiąc ją poufale. – Cóż tedy trzeba włożyć w tę piękną główkę?... Jedynie tę zasadę: postaw sobie świetny cel i kryj środki, jakimi doń dążysz. Postępowałeś jak dziecko, bądź mężczyzną, bądź myśliczem, czaj się w zasadzce wśród tego paryskiego świata, czekaj ofiary i przypadku, nie oszczędzaj ani swej osoby, ani tego, co się nazywa godnością, wszyscy bowiem jesteśmy posłuszni czemuś, jakiemuś nałogowi, jakiejś konieczności; ale przestrzegaj najwyższego prawa: tajemnicy.

– Przerażasz mnie, ojciec – wykrzyknął Lucjan – to mi trąci filozofią opryszków.

– Masz słusność – rzekł kanonik – ale nie ja ją stworzyłem. Tak rozumowali wszyscy ci, co chcieli dojść, dom austriacki, jak i dom francuski. Ty nie masz nic, jesteś w położeniu Medyceuszów, Richelieu’go, Napoleona w początkach ich kariery. Ci ludzie, mój chłopcze, uważali, iż przyszłość ich warta jest niewdzięczności, zdrady i najsłabszych sprzeczności postępowania. Trzeba wszystko ważyć, aby zdobyć wszystko. Rozumujmy. Kiedy siadasz do gry, czy spierasz się o warunki? Reguły są ustanowione, przyjmujesz je.

„Ho ho! – pomyślał Lucjan – on zna i karteczki.”

– W jaki sposób zachowujesz się przy grze? – rzekł ksiądz. – Czy przestrzegasz najpiękniejszej z cnót, szczerości? Nie tylko ukrywasz swą grę, ale nawet, kiedy jesteś pewny triumfu, starasz się wzbudzić przekonanie, że grozi ci przegrana. Słowem, maskujesz się, nieprawdaż?... Kłamiesz, aby zyskać pięć ludwików!... Cóż byś powiedział o graczu dość wspaniałomyślnym, aby przestrzec drugich, że w karcie ma „wózek”? Otóż człowiek ambitny, który chce walczyć wedle zasad cnoty, podczas gdy przeciwnicy obywają się bez nich, jest dzieckiem. Takiemu dziecku stary polityk mógłby powiedzieć to, co gracze mówią komuś, kto nie korzysta ze swoich „wózków”: „Drogi panie, niech pan nigdy nie grywa w hazard”... Alboż to ty ustanawiałeś reguły w grze ambicji? Dlaczego mówiłem ci o potrzebie postawienia się na równi ze społeczeństwem?... Dlatego, że dziś, młody człowieku, społeczeństwo nieznacznie

przywłaszczyło sobie tyle praw nad jednostką, że jednostka zmuszona jest walczyć ze społeczeństwem. Nie ma już praw, istnieją jedynie obyczaje, to znaczy komedia, wyłącznie forma.

Lucjan uczynił gest zdumienia.

– Ach, dziecko – rzekł ksiądz w obawie, iż posunął się za daleko – spodziewałeś się znaleźć archanioła Gabriela w księdzu obciążonym wszystkimi nieprawościami kontrdyplomacji dwóch królów? (Jestem pośrednikiem między Ferdynandem VII a Ludwikiem XVIII, dwoma wielkimi... królami, którzy obaj zawdzięczają koronę głębokim... kombinacjom.) Wierzę w Boga, ale bardziej wierzę w nasz zakon, nasz zakon zaś wierzy jedynie w doczesną władzę. Aby uczynić władzę doczesną bardzo silną, zakon nasz podpira Kościół apostołski, katolicki i rzymski, to znaczy całokształt uczuć, które utrzymują lud w posłuszeństwie. Jesteśmy nowożytnymi templariuszami, mamy swój ideał. Jak templariuszów, tak i nasz zakon złamano dla tych samych przyczyn: byłby zagarnął świat. Jeśli chcesz być żołnierzem, ja będę twoim hetmanem. Słuchaj mnie, jak żona słucha męża, dziecko matki, a ręczę ci, że w niespełna trzy lata będziesz: margrabią de Rubempré, zaślubisz jedną z najwyższej urodzonych panien i zasiądziesz kiedyś na ławie parów. W tej chwili, gdybym cię nie był zabawił rozmową, czym byłbyś? Trupem nie do odszukania w mule rzeczonym; a więc zdobądź się na wysiłek poezji!...

Tu Lucjan spojrział z ciekawością na swego protektora.

– Młody człowiek, który siedzi tu, w tej kolasce, obok księdza Karlosa Herrery, tytularnego kanonika kapituły w Toledo, sekretnego posła JKM Ferdynanda VII do JKM króla Francji, wiozącego mu depeszę, która powiada może: „Kiedy mnie oswobodzisz, każ powiesić wszystkich tych, którym łaszę się w tej chwili, zwłaszcza zaś mego posła, aby był na pewno sekretny”, ten młody człowiek – rzekł ksiądz – nie ma nic wspólnego z poetą, który umarł. Wyłowiłem cię, wróciłem cię życiu, należysz do mnie, jak stworzenie do stwórcy, jak w bajkach cudownych afryt do geniusza, ikoglan²¹ do sułtana, jak ciało do duszy. Podtrzymam cię tą oto potężną dłońią na drodze władzy; równocześnie zaś przyrzekam ci rozkosz, zaszczyty, nieustające uciechy... Nigdy nie braknie ci pieniędzy... Będziesz błyszczał, będziesz paradował, gdy ja, schylony w błocie fundamentów, będę murował błyszczący gmach twej fortuny. Ja kocham potęgę dla potęgi! Będę szczęśliwy twymi rozkoszami, których mi wzbroniono. Słowem, będę tobą!... Otóż w dniu, w którym ten pakt człowieka z biesem, dziecka z dyplomata, przestanie ci dogadzać, zawsze możesz sobie poszukać małego zakątka, jak ten, o którym mi mówiłeś, aby się utopić; będziesz trochę więcej albo trochę mniej tym, czym jesteś dziś: nieszczęśliwym lub zhańbionym.

– To nie jest kazanie arcybiskupa Grenady²² – wykrzyknął Lucjan widząc, iż kolasa zatrzymuje się przed stacją.

– Nie wiem, jaką nazwę dajesz temu związłemu katechizmowi, mój synu (adoptuję cię bowiem i uczynię cię spadkobiercą); ale to jest kodeks ambicji. Niewielka jest liczba wybrańców bożych. Nie ma wyboru: albo trzeba się zakopać w klasztorze (a i tam często odnajdziesz świat w miniaturze!), albo przyjąć ten kodeks.

– Może lepiej jest człowiekowi nie być tak uczonym – rzekł Lucjan próbując zgłębić duszę strasznego księdza.

– Jak to! – rzekł ksiądz. – Zgrawszy się przez nieznamość zasad gry, ty chcesz opuścić partię w chwili, gdy stajesz się silny, gdy zjawiasz się mając za sobą tęgie plecy... i nawet nie okazujesz pragnienia odwetu? Jak to! Nie doświadczasz chętki, aby wsiąść na kark tym, który cię wygnali z Paryża?

Lucjan zadrżał, jak gdyby jakiś instrument z brązu, jakiś chiński gong wydał straszliwy dźwięk szarpiący wszystkie nerwy.

²¹ Afryt – w bajkach arabskich demon niższej kategorii, podległy geniuszowi, ikoglan – paż na dworze sułtana.

²² Kazanie arcybiskupa Grenady – aluzja do VII księgi powieści „Gil Blas” Alain-René Lesage'a (1668–1747). Protektor Gil Blasa, arcybiskup Grenady, ma aspiracje krasomówcze i literackie, a Gil Blas, lokaj, „pomaga” mu w pisaniu kazań.

– Jestem tylko skromnym księdzem – podjął ten człowiek, którego twarz spalona na brąz słońcem Hiszpanii przybrała okropny wyraz – ale gdyby ludzie mnie upokorzyli, zdeptali, storturowali, zdradzili, sprzedali, jak z tobą uczyniły łajdaki, o których mi mówiłeś, stałbym się jak Arab na pustyni!... Tak, poświęciłbym ciało i duszę zemście. Drwiłbym z tego, iż skończę na szubienicy, spętany na śmiertelnym wózku, wbity na pal, zgilotynowany jak u was; ale oddałbym głowę nie wprzód, ażbym zgniótł wrogów pod obcasem.

Lucjan milczał, odeszła mu już ochota bawić się kosztem księdza.

– Jedni pochodzą od Abla, drudzy od Kaina – rzekł na zakończenie kanonik. – Ja jestem krwi mieszanej: jestem Kainem dla wrogów, Ablem dla przyjaciół; biada temu, który obudzi Kaina!... Ostatecznie, ty jesteś Francuz, ja Hiszpan i, co więcej, kanonik...

„Cóż za arabska krew!” – pomyślał Lucjan przyglądając się ukradkiem zesłanemu przez niebo protektorowi.

Ksiądz Karlos Herrera nie miał w sobie nic, co by zdradzało jezuitę czy choćby duchownego. Krótki, gruby, o szerokich rękach i takimż tułowiu, o sile Herkulesa, spojrzeniu straszliwym, ale złagodzoną przybraną słodyczą, o brązowej cerze kryjącej nieprzeniknioną powłoką wszelkie uczucia, czynił on na pierwszy rzut oka wrażenie raczej odpychające. Długie i piękne włosy, pudrowane wzorem księcia de Talleyrand, dawały temu osobliwemu dyplomacie wygląd biskupa; niebieska z białą obwódką wstążka, na której wisiał złoty krzyżyk, zdradzała zresztą dostojnika kościelnego. Czarne jedwabne pończochy rysowały kształt nóg godnych atlety. Ubranie, wytwornie schludne, zdradzało tę drobiazgową staranność o swą osobę, którą u prostych księży nie zawsze się spotyka, zwłaszcza w Hiszpanii. Trójgraniasty kapelusz spoczywał na przednim siedzeniu kolasy z cyfrą korony hiszpańskiej. Mimo tylu przyczyn do odrazy, wzięcie jego, szorstkie i ujmujące razem, łagodziło wrażenie; w stosunku zaś do Lucjana, ksiądz rozwijał wyraźną zalotność, pieszczoty niemal kocie. Stroskane oko Lucjana zwracało uwagę na najdrobniejsze szczegóły. Czuł, że w tej chwili rozstrzyga się dlań śmierć albo życie, znajdował się bowiem o dwa stajania za Ruffec. Ostatnie słowa Hiszpana poruszyły wiele strun w jego sercu i, powiedzmy to na wstyd Lucjana i księdza, który przenikliwym okiem śledził piękną fizjonomię poety, te struny były z najgorszych, z tych, które drgają pod działaniem niskich uczuć. Lucjan oglądał na nowo Paryż, chwycił na nowo cugle władzy, które jego niezręczne ręce wypuściły, mścił się! Świeże porównanie prowincji z życiem Paryża – owa najsilniejsza z pobudek jego samobójstwa – zniknęło mu z oczu: miał się odnaleźć w swoim środowisku, ale wspierany dłonią polityka, dochodzącego w głębokości aż do zbrodni Cromwella.

„Byłem sam, teraz będzie nas dwóch” – mówił sobie.

Im więcej odsłaniał błędów w poprzednim swym postępowaniu, tym więcej duchowny okazywał mu sympatii. Współczucie tego człowieka rosło w miarę nieszczęścia, nie dziwił się zaś niczemu. Mimo to Lucjan pytał sam siebie, jakie może mieć pobudki ów pośrednik intryg królewskich. Najpierw zadowolił się zdawkową racją: Hiszpanie są szczodrzy! Hiszpan jest szczodry, jak Włoch jest truciciel i zazdrośnik, jak Francuz jest lekki, Niemiec prostoduszny, Żyd plugawy, Anglik szlachetny. Odwróćcie te pewniki, a ujrzycie prawdę. Żydzi zagarnęli złoto, komponują „Roberta-Diablą”, grają „Fedrę”, śpiewają „Wilhelma Tella”, zamawiają obrazy, budują pałace, piszą „Reisebilder” i cudowne poezje, są potężniejsi niż kiedykolwiek, religia ich jest uznana, udzielają kredytu papieżowi! W Niemczech dla każdej drobnostki pytają cudzoziemca: „Czy ma pan kontrakt na piśmie?”, tyle spotyka się złej wiary. We Francji okłaskuje się od pięćdziesięciu lat na scenie idiotyzmy narodowe, nosi się wytrwale nieprawdopodobne kapelusze i zmienia się rząd jedynie pod tym warunkiem, że będzie ciągle taki sam!... Anglia rozwija w obliczu świata perfidie, których ohydę można porównać tylko z jej chciwością, Hiszpan, pochłonawszy złoto dwu Indyj, nie ma już nic. Nie ma kraju na świecie, gdzie by było mniej otroczyć niż we Włoszech i gdzie obyczaje byłyby łatwiejsze i bardziej rycerskie. Hiszpanie wiele korzystali z reputacji Maurów.

Kiedy Hiszpan siadł z powrotem do kolasy, szepnął poczytlionowi do ucha:

– Co koń wyskoczy, trzy franki na wino.

Lucjan wahał się jeszcze. Ksiądz rzekł:

– No, siadaj, chłopcze.

I Lucjan wsiadł, pod pozorem zaaplikowania swemu protektorowi argumentu *ad hominem*²³.

– Mój ojciec – rzekł – człowiek rozwijający z najzimniejszą krwią zasady, które niejeden mieszcuch uważałby za głęboko niemoralne...

– I które są nimi, mój synu, oto czemu Chrystus chciał, aby zgorszenie miało miejsce; i oto czemu świat okazuje taką obawę przed zgorszeniem.

– Człowieka pańskiej miary nie zdziwi pytanie, jakie mu zadam?

– Ech, synu – rzekł Karlos Herrera – nie znasz mnie. Czy myślisz, że przyjąłbym sekretarza, nimbym się przekonał, czy ma zasady dość pewne, aby mnie nie okraść? Jestem rad z ciebie. Posiadasz wszystkie skrupuły człowieka, który myśli o samobójstwie w dwudziestu latach. Chciałeś zapytać...

– Czemu się pan mną interesuje? Jaką wartość przedstawia dla pana moja powolność?... Czemu dajesz mi wszystko? Jakie pan ma w tym wyrachowanie?

Hiszpan popatrzał na Lucjana i uśmiechnął się.

– Poczekajmy nowego wzgórza, chłopcze, pójdziemy kawał pieszo i pogadamy na świeżym powietrzu. Wnętrze kolasy nie jest dość dyskretne.

Milczenie panowało jakiś czas między dwoma towarzyszami podróży, szybkość zaś jazdy dopomogła, można powiedzieć, do moralnego odurzenia Lucjana.

– Dojeżdżamy do wzgórza, ojciec – rzekł Lucjan budząc się jak gdyby ze snu.

– A zatem, chodźmy – rzekł ksiądz krzyknawszy mocnym głosem na poczytliona, aby się zatrzymał. Wyskoczyli na gościniec.

– Dziecko – rzekł Hiszpan biorąc Lucjana pod ramię – czy przemyślałeś kiedy „Ocalenie Wenecji” Otwaya? Czy zrozumiałeś tę głęboką przyjaźń mężczyzny do mężczyzny, jaka wiąże Piotra i Jaffiera, która czyni, iż kobieta jest dla nich bagatelką, i która zmienia między nimi wszystkie pojęcia społeczne?... To mówię dla poety.

„Ksiądz kanonik zna i teatr” – pomyślał Lucjan. – Czy ojciec czytał Woltera?... – zapytał.

– Uczyniłem lepiej – odparł kanonik – wprowadzam go w czyn.

– Nie wierzy ksiądz w Boga?

– Dobryś, więc to ja jestem ateuszem! – rzeki ksiądz uśmiechając się. – Przejdźmy do rzeczy pozytywnych, moje dziecko – rzekł ujmując go wpół. – Mam czterdzieści sześć lat, jestem naturalnym synem wielkiego pana, tym samym bez rodziny, a mam serce... Ale dowiedz się tego, wyryj to w mózgu swoim, jeszcze miękkiem: człowiek lęka się samotności. A ze wszystkich samotności samotność moralna przeraża go najwięcej. Pierwsi pustelnicy żyli z Bogiem, zamieszkiwali świat najbardziej zaludniony, świat duchowy. Skąpcy zamieszkują świat wyobraźni i rozkoszy. Skąpiec ma wszystko, nawet płęć swoją, w mózgu. Pierwszą myślą człowieka, niechby to był trędowny lub galernik, zhańbiony lub chory, jest mieć towarzysza swej doli. Na zadowolenie tego uczucia, które jest zasadą samego życia, obraca wszystkie siły, całą swą potęgę, cały zapas żywotności. Bez tego najwyższego pragnienia czyż szatan byłby mógł znaleźć towarzyszy?... Tkwi w tym cały nienapisany jeszcze poemat: byłby to prolog do „Raju utraconego”, który jest tylko apologią buntu.

– A to byłaby „Iliada” zepsucia – rzekł Lucjan.

– Otóż ja jestem sam, żyję sam! Mam wprawdzie suknię, ale nie mam duszy księdza. Lubię się poświęcać, mam ten nałóg. Żyję poświęceniem, dlatego jestem księdzem. Nie lękam się niewdzięczności, a jestem wdzięczny. Kościół jest niczym dla mnie, to idea. Oddałem się na usługi królowi Hiszpanii; ale nie można kochać króla Hiszpanii, jest moim panem, unosi

²³ Argument ad hominera – argument dostosowany do typu człowieka, z którym się dyskutuje.

się wysoko nade mną. Pragnę kochać moje stworzenie, ukształtować je, ulepić na swój użytek, aby je kochać jak ojciec własne dziecko. Będę się rozpierał w twoim kabrioletcie, mój chłopcze, będę się delectował twymi powodzeniami u kobiet, będę sobie mówił: „Ten piękny młody człowiek to ja! Tego margrabiego de Rubempré ja stworzyłem i wprowadziłem w arystokrację; wielkość jego jest moim dziełem, myśli mą myślą, milczy moim milczeniem albo mówi moim głosem, radzi się mnie we wszystkim”. Ksiądz de Vermont odegrał taką rolę przy Marii Antoninie.

– Zaprowadził ją na rusztowanie!

– Nie kochał królowej!... – odparł Hiszpan. – Kochał tylko księdza de Vermont.

– Mamże zostawić za sobą rozpacz? – rzekł Lucjan.

– Mam skarby, będziesz w nich czerpał.

– W tej chwili wiele bym uczynił, aby uwolnić Sécharda – odparł Lucjan głosem, który nie dźwięczał już samobójstwem.

– Powiedz słowo, synu, a jutro rano otrzyma sumę potrzebną dla swego uwolnienia.

– Jak to! Dałbyś mi, ojczy, dwanaście tysięcy?....

– Dziecko! Czyż nie widzisz, że robimy cztery mile na godzinę? Staniemy na obiad w Poitiers. Tam, jeśli chcesz podpisać pakt, dać mi jeden jedyny dowód posłuszeństwa – jest on wielki, żądam go! – wówczas dyliżans jadący do Bordeaux zawiezie piętnaście tysięcy franków twojej siostrze...

– Gdzie są?

Hiszpański kanonik nie odpowiedział nic, Lucjan zaś pomyślał:

„Wydał się, żartował sobie ze mnie”.

W chwilę potem Hiszpan i poeta siedli w milczeniu z powrotem. Milcząc ksiądz sięgnął ręką do kieszeni kolaski, wydobyl z niej ów worek skórzany, podzielony na trzy przegródki, kształtu myśliwskiej torby, tak znany podróżnikom, po czym wygarnął zeń sto portugalskich dukatów, zanurzając po trzykroć szeroką rękę i wyjmując ją za każdym razem pełną złota.

– Ojczy, jestem twój – rzekł Lucjan, olśniony złotym strumieniem.

– Dziecko! – rzekł ksiądz całując Lucjana z czułością w czoło. – To tylko trzecia część złota, która znajduje się w tej torbie; trzydzieści tysięcy franków, nie licząc pieniędzy na podróz.

– I ojciec podróżuje sam?... – wykrzyknął Lucjan.

– Cóż to jest? – rzekł Hiszpan. – Mam więcej niż sto tysięcy talarów w przekazach na Paryż. Dyplomata bez pieniędzy to to, czym ty byłeś przed chwilą: poeta bez woli²⁴.

W chwili, gdy Lucjan wsiadał do powozu z rzekomym dyplomata hiszpańskim, Ewa wstawała, aby nakarmić syna. Znalazła nieszczęsny list i przeczytała. Zimny pot zrosił jej ciało, ciepłe jeszcze z rannego snu, w oczach się jej zaćmiło, zawołała Marynę i Kolba.

Na pytanie jej: – Czy pan Lucjan wyszedł? – Kolb odpowiedział:

– Dag, brozę bani, bzed źfidem.

– Zachowajcie największą tajemnicę o tym, co wam zwierzę – rzekła Ewa do dwojga służących – brat mój, wyszedł z pewnością, aby odebrać sobie życie. Biegnijcie oboje, zasięgnijcie ostrożnie wiadomości i przepatrzcie brzeg rzeki.

Ewa została sama, w stanie trudnym do opisanego. Wśród tego wzruszenia zjawiał się u niej o siódmej rano Petit-Claud, aby pomówić o interesach. W takich chwilach człowiek jest gotów posłuchać każdego.

– Pani – rzekł adwokat – nasz drogi Dawid. jest w więzieniu; znalazł się w sytuacji, którą przewidywałem od początku. Radziłem, mu wówczas stowarzyszyć się dla eksploatacji odkrycia z jego konkurentami, braćmi Cointet; ci ludzie posiadają środki urzeczywistnienia tego, co u pani męża jest jedynie pomysłem. Toteż wczoraj wieczór, ledwie doszła mnie nowina

²⁴ Czytelnicy „Ojca Goriot” Balzaka domyślili się zapewne tożsamości księdza Karlosa Herrery z Jakubem Collin, irnacej Vautrinem. (Przyp. tłuna.).

o aresztowaniu, cóż uczyniłem? Poszedłem do panów Cointet z zamiarem wydobywania z nich ustępstw, które by was mogły zadowolić. Jeśli zechcecie bronić tego odkrycia, życie wasze będzie w dalszym ciągu tym, czym jest: pasmem procesów, w których będziecie pobici. W końcu, wyczerpani i dogorywający, skończycie na tym, iż zrobicie, może ze swoją szkodą, z jakimś kapitalistą to, co, gdybyście posłuchali, mej rady, zrobilibyście dziś jeszcze, ku swej korzyści, z braćmi Cointet. Oszczędzicie sobie w ten sposób prywacyj, wzruszeń, walki wynalazcy z chciwością kapitalisty i obojętnością społeczeństwa. Ot! gdyby panowie Cointet spłacili wasze długi, gdyby, spłaciwszy długi, dali jeszcze sumkę, która by wam przypadła bez względu na to, jaka będzie wartość, przyszłość lub wykonalność odkrycia, przyznając Dawidowi, rozumie się, prócz tego pewien udział w eksploatacji, czy nie byłibyście szczęśliwi?... Pani staje się w ten sposób właścicielką inwentarza drukarni i sprzedaje ją pani zapewne: to da jakieś dwadzieścia tysięcy; podejmuję się znaleźć nabywcę na tych warunkach. Jeśli uzyskacie piętnaście tysięcy franków za akt spółki z panami Cointet, będziecie mieli kapitałik trzydziestu pięciu tysięcy, z czego, wedle obecnego kursu renty, uzyskacie dwa tysiące rocznie... Można żyć na prowincji za dwa tysiące. I, niech pani zauważy, będziecie mieli jeszcze ewentualność spółki z Cointetami. Powiadam ewentualność, trzeba bowiem liczyć się z niepowodzeniem. A zatem, oto punkty, które, jak sądzę, zdołałbym uzyskać: przede wszystkim., zupełne uwolnienie Dawida, następnie, piętnaście tysięcy franków jako odszkodowanie za jego pracę, płatne bez prawa do rewindykacji, gdyby nawet odkrycie okazało się nieproduktywne; wreszcie, spółka między Dawidem a panami Cointet dla eksploatacji uzyskanego przezeń patentu po wypróbowaniu (wykonanym wspólnie i pod dyskrecją!) sposobu fabrykacji na podstawach następujących: panowie Cointet poniosą wszystkie koszty. Aportem Dawida będzie jego patent; będzie miał prawo do czwartej części zysków. Pani jesteś kobietą zdrowej rady i bardzo rozsądną, co nie zawsze jest przywilejem pięknych kobiet; niech pani pomyśli nad tymi propozycjami, a uzna pani, że zasługują na przyjęcie...

– Ach, panie – wykrzyknęła biedna Ewa w rozpacz, zalewając się łzami – czemu nie przyszedł pan wczoraj wieczór ofiarować mi tę transakcję? Bylibyśmy uniknęli hańby i... o wiele gorzej.

– Dyskusja moja z Cointetami, którzy, jak mogła się pani domyślać, kryją się za Métiwierem, skończyła się o północy. Ale cóż takiego zaszło od wczoraj, co jest gorsze niż uwięzienie biednego Dawida? – spytał Petit-Claud.

– Oto straszliwa wiadomość, jaką zastałam za przebudzeniem – rzekła podając adwokatowi list Lucjana. – Dał mi pan w tej chwili dowód, że jesteś nam oddany, jesteś przyjacielem Dawida i Lucjana, nie potrzebuję tedy prosić o tajemnicę...

– Niech pani będzie bez obawy – rzekł Petit-Claud oddając list po przeczytaniu. – Lucjan się nie zabije. Stawszy się przyczyną uwięzienia szwagra, potrzebował jakiejś racji, aby was opuścić, ten list to jedynie, ot, tyrada w stylu teatralnym przed zejściem ze sceny.

Cointetowie doszli do celu. Storturowawszy wynalazcę i jego rodzinę, pochwycili chwilę, w której wyczerpanie rodzi pragnienie spoczynku. Nie wszyscy poszukiwacze tajemnic mają naturę buldoga, który zdycha ze swym łupem w zębach; Cointetowie zaś wystudowali dobrze charakter swych ofiar. Dla Wielkiego Cointeta uwięzienie Dawida było ostatnią sceną pierwszego aktu w tym dramacie. Drugi akt zaczynał się propozycją, jaką przyniósł właśnie Petit-Claud. Jako skończony gracz, adwokat ujrzał w wysoku Lucjana jedną z tych niespodzianych szans, które przyśpieszają rozgrywkę partii. Ujrzał Ewę tak ściętą z nóg ostatnim wypadkiem, że postanowił skorzystać z tego, aby pozyskać jej zaufanie, ocenił bowiem wreszcie wielki jej wpływ na Dawida. Zatem, miast grażyć panią Séchard jeszcze głębiej w rozpacz, starał się ją pokrzepić i skierował ją bardzo zręcznie ku więzieniu, myśląc, że w obecnym stanie ducha będzie wpływała na Dawida, aby zawarł spółkę z Cointetami.

– Dawid, proszę pani, mówił mi, iż pragnie fortuny jedynie dla pani i dla jej brata; ale musiała pani dojść do przekonania, że szaleństwem byłoby chcieć wzbogacić Lucjana. Ten chłopiec połknąłby trzy fortuny.

Wyraz twarzy Ewy mówił dość jasno, że ostatnie jej złudzenie co do brata uleciało: toteż adwokat uczynił pauzę, aby przekształcić milczenie klientki w pewnego rodzaju zgodę.

– Zatem w całej tej kwestii chodzi tylko o panią i o dziecko. Pani rzeczą jest ocenić, czy dwa tysiące renty starczą do waszego szczęścia, nie licząc sukcesji po ojcu. Pani teść uciął sobie już od dawna dochodzik jakich siedmiu do ośmiu tysięcy, nie licząc procentów, jakie umie wyciskać z kapitałów; ostatecznie, macie przed sobą ładną przyszłość. Po co się dreczyć?

Adwokat opuścił panią Séchard pozwalając jej zastanowić się nad tą perspektywą, dość zręcznie przygotowaną poprzedniego dnia przez Wielkiego Cointeta.

– Ukaż pan im możliwość otrzymania jakiegokolwiek sumy – rzeki ów angulemski żbik do adwokata, kiedy ów przyszedł mu oznajmić o aresztowaniu – skoro się zaś oswoją z myślą zgarnięcia jakiejś gotowizny, mamy ich; zacniemy się targować i pomalutku ściągniemy ich do kwoty, którą mamy zamiar ofiarować za ten sekret.

To zdanie zawierało poniekąd streszczenie drugiego aktu tego finansowego dramatu.

Kiedy pani Séchard, z sercem złamanym obawami o los brata, ubrała się i zesła, aby się udać do więzienia, uczuła lęk na myśl o tym, iż przyjdzie jej przebyć samej ulice Angoulême. Nie troszcząc się zgoła o stan duszy klientki, Petit-Claud wrócił wszelako, aby jej ofiarować ramię, sprowadzony myślą dosyć makiaweliczną, i mimo woli bardzo ujął Ewę, która poczytała tę przysługę za dowód delikatności; przyjął podziękowanie nie wyprowadzając jej z błędu. Ta drobna uprzejmość u człowieka tak twardego, tak bezwzględniego i w podobnej chwili wpłynęła na zmianę sądu pani Séchard o Petit-Claudzie.

– Prowadzę panią – rzekł – dalszą drogą, ale za to nikogo nie spotkamy.

– Tak, pierwszy raz nie mam prawa pokazywać się z podniesioną głową! Twardo mi to dało odczuć wczoraj...

– To był pierwszy i ostatni raz.

– Och, to pewne, że nie zostanę w tym mieście...

– Gdyby mąż pani zgodził się na propozycje na wpół już ułożone między Cointetami a mną – rzekł Petit-Claud zbliżając się z Ewą do bram więzienia – zechce mnie pani zawiadomić, przyszedłbym natychmiast z upoważnieniem Cachana, na mocy którego Dawid mógłby wyjść i prawdopodobnie nie wróciłby już do więzienia...

Te słowa, powiedziane w obliczu kaźni, były tym, co Włosi nazywają *combinazione*. U nich słowo to wyraża trudny do określenia postępek, w którym spotyka się trochę perfidii zmieszanej z legalnością, zręczność dozwolonego podejścia, wółlegalne i dobrze przygotowane szalbierstwo. Według nich noc św. Bartłomieja to była *combinazione* polityczna.

Dla przyczyn wyłuszczonej wyżej uwięzienie za długi jest wydarzeniem sądowym na prowincji tak rzadkim, że w przeważnej ilości miast nie istnieje dom karny dla tego celu. W takim razie wtrąca się dłużnika do tego więzienia, w którym zamyka się aresztowanych, uwięzionych, oskarżonych i skazanych. Takie są poszczególne nazwy, jakie w obliczu prawa kolejno przybierają ci, których lud nazywa pospolicie zbrodniarzami. Dawida umieszczono tedy tymczasowo w jednej z izdebek angulemskiego więzienia, którą może świeżo opuścił jakiś skazaniec odsiedziawszy swą karę. Wtrącony do aresztu, z przyznaną przez prawo sumą na miesięczny koszt wyżywienia, Dawid znalazł się w obliczu grubego jegomości, który dla tych nieszczęśników staje się potęgą większą niż król: dozorca więzienny! Na prowincji nie istnieje typ dozorca chudego. Przede wszystkim, to miejsce jest niemal synekurą; następnie, dozorca jest niby oberżysta niepłacący czynszu za lokal: żywi się bardzo dobrze, żywiąc bardzo lichy więźniów, których lokuje, tak samo jak oberżysta, wedle ich środków. Znał Dawida

z nazwiska, przez ojca zwłaszcza, toteż miał na tyle zaufania, aby go dobrze umieścić na jedną noc, mimo, że drukarz był bez grosza.

Więzienie w Angoulême datuje się z bardzo dawnych czasów i nie więcej doznało zmian niż katedra. Furta jego jest klasyczna: brama nabijana gwoździami, mocna, zużyta, niska, o budowie tym bardziej cyklopiej, ile że ma jakby jedyne oko na czole w otworze zwanym „judaszem”, przez który odzwierny ogląda przybysza, nim otworzy. Na parterze wzdłuż fasady biegnie korytarz; na ten korytarz wychodzą liczne cele, których okna, wysokie i opatrzone koszykami, otrzymują mdłe światło z podwórza. Dozorca zajmuje mieszkanie oddzielone od tych cel sklepioną sienią, która przegradza parter na dwie części; na końcu tej sieni znajduje się krata zamykająca wyjście na dziedziniec. Dozorca zaprowadził Dawida do pokoiku w pobliżu sieni tuż prawie koło swego mieszkania. Stary wyga pragnął zatrzymać w sąsiedztwie swoim człowieka, który, zważywszy jego wyjątkową pozycję, mógł mu służyć za towarzysztwo.

– To najlepszy pokój – rzekł widząc, iż Dawid zdumiał się na widok lokalu.

Mury były z kamienia, dość wilgotne. Okna, bardzo wysoko umieszczone, miały kraty żelazne. Kamienna posadzka wiała lodowatym chłodem. Słyszało się regularny krok strażnika, przechadzającego się w korytarzu. Ten szmer, monotony jak przyływ morza, nasuwa bez ustanku tę myśl: „Pilnują cię! Nie jesteś wolny!” Wszystkie te szczegóły, ten całokształt wrażeń, mają niezmierny wpływ na duchowy stan ucziwych ludzi. Łóżko, które wskazano Dawidowi, było ohydne; ale uwięzieni przechodzą tak gwałtowny wstrząs pierwszej nocy, że dopiero na drugi dzień uświadamiają sobie twardość legowiska. Dozorca starał się być miły i oczywiście zaproponował więźniowi, aby się przechadzał aż do zmroku. Cierpienie Dawida zaczęło się dopiero z chwilą ułożenia na spoczynek. Regulamin bronił więźniom światła, trzeba było pozwolenia samego prokuratora, aby uwięzionego za długi zwolnić z przepisów, które niewątpliwie miały na uwadze jedynie ludzi będących w zatargu ze sprawiedliwością. Dozorca ofiarował Dawidowi gościnność u siebie, ale wreszcie, w godzinie spoczynku, trzeba było więźnia zamknąć. Biedny wynalazca poznał wówczas ohydę więzienia i grubość jego obyczajów, która go przejęła odrazą. Ale, mocą reakcji właściwej myślicielom, odizolował się w tej samotności, ocalił się w niej utonawszy w owym marzeniu, jakie poeci zdolni są snuć na jawie. Nieszczęśliwy, zaczął wreszcie ogarniać myślą swoje sprawy. Więzienie popycha do rachunku sumienia. Dawid spytał sam siebie, czy spełniał obowiązki głowy rodziny. Jakaż musiała być rozpacz jego żony! Czemu, jak mówiła Maryna, nie postarał się najpierw zarobić dosyć pieniędzy, aby móc później oddać się do woli wynalazkom?

„Jak zostać w Angoulême – pomyślał – po takim skandalu? Skoro wyjdę z więzienia, co się z nami stanie? Gdzie się podziać?”

Przyszły mu wątpliwości co do odkrytej przez siebie metody. Była to chwila lęku, jaką zdolni są zrozumieć tylko wynalazcy! Z jednej wątpliwości w drugą, Dawid zaczął widzieć jasno swą sytuację i sam powiedział sobie to, co Cointetowie mówili staremu Séchard, i co Petit-Claud przed chwilą mówił Ewie:

„Przypuściwszy, że wszystko pójdzie dobrze, cóż będzie przy wprowadzaniu w praktykę? Trzeba uzyskać patent, skąd wziąć na to pieniędzy?... Trzeba mi fabryki, gdzie bym mógł przeprowadzić badania na szerszą skalę, to znaczy wydać swoją tajemnicę!... Och! Jakaż Petit-Claud miał słuszność!”

Z najciemniejszego więzienia tryska nieraz najżywsze światło.

„Ba – rzekł Dawid zasypiając na tapczanie, na który rzucono ohydny materac kryty brązowym, bardzo grubym sukniem – Petit-Claud zajdzie tu z pewnością jutro rano.”

Dawid był tedy sam z siebie bardzo dobrze przygotowany, aby wysłuchać propozycji, jakie mu żona przynosiła z obozu wrogów. Skoro Ewa uściskała męża i siadła w nogach łóżka (był tam tylko jeden najpospolitszy drewniany stołek), spojrzenie jej padło na ohydny kubek w kącie i na mury upstrzone nazwiskami i napisami poprzedników Dawida. Wówczas z oczu jej,

zacerwienionych od płaczu, zaczęły na nowo cieknąć łzy. Znalazła jeszcze łzy, po wszystkich, które wylała, na widok męża w roli zbrodniarza!

– Oto więc dokąd może zawieść żądza sławy!– wykrzyknęła. – O mój aniele, porzuć tę drogę!... Idźmy razem ubitą ścieżką, nie szukajmy nagłej fortuny... Tak mało mi trzeba, aby być szczęśliwą, zwłaszcza po tym, co wycierpiałam!... I gdybyś wiedział!... To hańbiące więzienie nie jest naszym największym nieszczęściem!... Patrz!...

Podala list Lucjana, który Dawid skwapliwie przeczytał; aby go pocieszyć, przytoczyła okrutny sąd adwokata o Lucjanie.

– Jeśli Lucjan się zabił, to już się stało – rzekł Dawid – jeśli zaś nie stało się w tej chwili, nie zabije się już: nie potrafi, jak sam mówi, mieć woli dłużej niż jeden ranek...

– Ale jak żyć w tej obawie?... – wykrzyknęła siostra, która przebaczyła bratu prawie wszystko na myśl o jego śmierci.

Powtórzyła mężowi propozycje, które Petit–Claud rzekomo uzyskał u Cointetów i które Dawid natychmiast przyjął z prawdziwym zadowoleniem.

– Będziemy mieli z czego żyć w wiosce koło Houmeau, gdzie znajduje się fabryka Cointetów, a nie chcę już nic prócz spokoju! – zawołał wynalazca. – Jeśli Lucjan ukarał się śmiercią, będziemy mieli dosyć, aby czekać fortuny po ojcu, jeśli zaś żyje jeszcze, biedny chłopiec potrafi się zastosować do naszych skromnych środków... Cointetowie zrobią z pewnością majątek na tym odkryciu; ale, ostatecznie, czymże jestem wobec kraju? Człowiekiem. Jeśli mój sekret wyjdzie na dobre ogółowi, będę zadowolony! Ot, droga Ewo, ani ty, ani ja nie jesteśmy stworzeni na handlarzy. Nie mamy ani namiętności zysku, ani tej twardości w wypuszczaniu z mieszka pieniędzy, nawet najprawowiciej należnych, a to są, jak się zdaje, główne cnoty przemysłowca; te dwie odmiany sknerstwa nazywają ludzie przezornością i talentem do interesów!

Uszczęśliwiona z tej zgodności zapatrywań, jednego z najśłodszych kwiatów miłości, interesy bowiem i poglądy mogą się nie zgadzać u dwojga nawet kochających się istot, Ewa poprosiła dozorcę, aby posłał od niej do Petit–Clauda słówko, w którym żądała uwolnienia Dawida, oznajmiając wzajem zgodę na zamierzony układ. W dziesięć minut Petit–Claud zjawił się w ohydnej izbie i rzekł:

– Niech pani wróci do domu, przyjdziemy niebawem... No i cóż, drogi przyjacielu – rzekł Petit–Claud do Dawida – dałeś się więc chwycić! Jak mogłeś popełnić ten błąd, aby wyjść z kryjówki?

– Ba! Jakże nie miałem wyjść? Oto co Lucjan pisał.

Dawid oddał Petit–Claudowi list Cérizeta; adwokat wziął go, przeczytał, obejrzał, obmacał i zaczął rozmawiać o interesach, mnąc list jakby przez roztargnienie i chowając go do kieszeni. Następnie adwokat wziął Dawida pod rękę i wyszedł z nim, w czasie bowiem tej rozmowy przyniesiono dozorczy nakaz zwolnienia, wystawiony przez komornika.

Znalazszy się w domu Dawid miał uczucie, że jest w niebie; płakał jak dziecko ściskając Lucusia i widząc się w swej sypialni po dwudziestu dniach uwięzienia, którego ostatnie godziny były, w duchu pojęć prowincji, hańbiące. Kolb i Maryna zjawili się z powrotem. Maryna dowiedziała się w Houmeau, że widziano Lucjana idącego drogą do Paryża, za Marsac. Strój dandysa zwrócił uwagę wieśniaków śpieszących z żywnością na targ. Puściwszy się konno gościńcem, Kolb dowiedział się wreszcie w Mansle, że Lucjan (którego poznał pan Marron), przejechał tamtędy w kolasce pocztowej.

– Cóż wam mówiłem? – wykrzyknął Petit–Claud. – To nie poeta, ten chłopak, to chodzący romans.

– Pocztovej! – rzekła Ewa. – Gdzież on znów mógł jechać?

– Teraz – rzekł Petit–Claud do Dawida – chodźmy do Cointetów, oczekują cię.

– Ach, panie – wykrzyknęła piękna pani Séchard – proszę, broń pan dobrze naszych, interesów, masz całą naszą przyszłość w rękach.

– Czy chce pani – rzekł Petit–Claud – aby konferencja odbyła się u państwa? Zatem zostawiam pani Dawida. Ci panowie przybędą tu dziś wieczór; przekonacie się, czy umiem bronić waszych interesów.

– Och, bardzo będę panu wdzięczna! – rzekła Ewa.

– A zatem – rzekł Petit–Claud – dziś wieczór, tutaj, koło siódmej.

– Dziękuję – rzekła Ewa ze spojrzeniem i akcentem, które dowiodły Petit–Claudowi, jakie postępy czynił w zaufaniu klientki.

– Nie lękajcie się o nic! Widzicie, miałem słuszność – dodał. – Brat pani jest o trzydzieści mil od samobójstwa. Wreszcie może dziś wieczór będziecie mieli mająteczek. Zjawia się poważny nabywca na drukarnię.

– Jeżeli tak – rzekła Ewa – czemuż nie zaczekać, nim zwiążemy się z Cointetami?

– Zapomina pani – rzekł Petit–Claud, który spostrzegł niebezpieczeństwo płynące z jego postępowania – że będziecie państwo mogli sprzedać drukarnię dopiero spląciwszy pana Métivier, ponieważ cały inwentarz jest dotąd zajęty.

Wróciwszy do domu, Petit–Claud posłał po Cérizeta. Kiedy korektor zjawił się w gabinecie, pociągnął go do okna.

– Będziesz jutro wieczór właścicielem drukarni Sécharda, a jest wszelka nadzieja, iż uzyskamy i przelanie koncesji – rzekł mu do ucha – ale, jak sądzę, nie masz ochoty skończyć na galerach?

– He? Co? Czemu na galerach?

– List do Dawida jest podrobiony i ja go mam... Gdyby wzięto na spytki Henrykę, cóż by powiedziała?... Nie chcę cię zgubić – dodał natychmiast Petit–Claud widząc, że Cérizet blednie.

– Czy pan jeszcze ma jakie żądanie? – zawołał paryżanin.

– Otóż to, czego spodziewałem się po tobie – odparł Petit–Claud. – Słuchaj uważnie! Będziesz tedy za dwa miesiące drukarzem... ale będziesz wisiał z ceną kupna i nie wypłacisz się ani za dziesięć lat!... Będziesz pracował długo na kapitalistów i, co więcej, będziesz musiał grać rolę parawana dla liberalów... Ja mam spisywać twój akt cichej spółki z panem Gannet; ułożę go w taki sposób, abys mógł kiedyś posiadać tę drukarnię na własność... Ale jeżeli założą dziennik, jeżeli ty będziesz redaktorem odpowiedzialnym, jeżeli ja będę tu pod prokuratorem, porozumiesz się z Wielkim Cointet, aby umieścić w swoim piśmie artykuły, które spowodują proces i jego zawieszenie... Cointetowie zapłacą ci sownie tę małą przysługę... Wiem, będziesz skazany, poznasz się z więziennym wiktem, ale w zamian będziesz uchodził za człowieka ważnego, prześladowanego. Staniesz się w partii liberalnej figurą w rodzaju sierżanta Mercier, Pawłem Ludwikiem Courier, Manuelem na małą stopę. Nie dopuszczę do tego, aby ci odebrano koncesję. Wreszcie, w dniu, kiedy dziennik będzie zawieszony, spalę ten list w twojej obecności... Kariera nie będzie cię kosztowała zbyt drogo...

Ludzie niewykształceni mają bardzo mętne pojęcie o prawnych rozróżnieniach fałszerstwa; toteż Cérizet, któremu już majaczyły kraty więzienne, odetchnął.

– Zostanę do lat trzech prokuratorem w Angoulême, możesz mnie potrzebować, pamiętaj o tym!

– Zrozumiano – rzekł Cérizet. – Ale pan mnie nie zna: spal pan ten list tu, wobec mnie – dodał – i polegaj pan na mej wdzięczności.

Petit–Claud popatrzał na Cérizeta. Był to jeden z tych pojedynków na oczy, gdzie spojrzenie tego, co bada, jest niby skalpel, który stara się wniknąć w duszę, badany zaś usiłuje spojrzeniem swoim wyrazić wszystkie jej zalety.

Petit–Claud nie odpowiedział nic: zapalił świecę i spalił list mówiąc sobie: „Ba, mam go i tak w ręku!”

– Ma pan we mnie człowieka oddanego na śmierć i życie – rzekł korektor.

Dawid oczekiwał z nieokreślonym niepokojem konferencji; zaprzętała go nie dyskusja o interesach ani też akt, który miano sporządzić, ale mniemanie, jakie fabrykanci powezmą o jego odkryciach. Znajdował się w położeniu autora dramatycznego wobec swych sędziów. Ambicja wynalazcy i jego obawy w chwili dojścia do celu tłumili wszelkie inne uczucia. Wreszcie, koło siódmej, w chwili gdy hrabina du Châtelet kładła się do łóżka pod pozorem migreny i zostawiała mężowi sprawowanie honorów obiadu, tak była zmartwiona sprzecznymi nowinami obiegającymi o Lucjanie, bracia Cointet, Wielki i Gruby, wchodzili z Petit-Claudem do domu współzawodnika, który wydawał się im w ręce związany jak baran. Najpierw wyłoniła się trudność, w jaki sposób zawierać akt spółki nie znając metod Dawida? Skoro by zaś Dawid raz zdradził swe metody, znajdowałby się na łasce Cointetów. Petit-Claud uzyskał to, iż akt miano sporządzić pierwaj. Wielki Cointet poprosił Dawida, aby mu pokazał niektóre swoje wytwory, wynalazca zaś przedstawił ostatnie arkusze, jakie sporządził, gwarantując cenę produkcji.

– Otóż i mamy – rzekł Petit-Claud. – Zatem byłaby podstawa aktu; możecie panowie zawrzeć spółkę na tych danych, wprowadzając klauzulę rozwiązania, w razie gdyby warunki patentu nie ziściły się w fabrycznym wykonaniu.

– Inna rzecz, drogi panie – rzekł Wielki Cointet do Dawida – inna rzecz wytwarzać na drobną skalę, w pracowni, w małej formie, próbki papieru. a co innego puścić się na fabrykację na wielką stopę. Niech pan osądzi z jednego faktu! Wyrabiamy papiery kolorowe, kupujemy, dla barwienia ich, materiały do farb zupełnie identyczne. Tak np. bierzemy indygo, którym barwimy na niebiesko nasz papier Coquille – z jednej skrzyni, z tej samej fabrykacji. Otóż mimo to nigdy nie mogliśmy otrzymać dwóch rozczynów o zupełnie jednakim odcieniu.... W procesach przygotowania materiału zachodzą fenomeny, których nie możemy pochwycić. Ilość, jakość masy zmienia natychmiast wszelkie kwestie. Kiedy pan masz w kociołku cząstkę ingrediencyj (których wskazania nie żądam), jesteś ich panem, możesz oddziaływać na wszystkie części jednomiernie, spajając je, przerabiając, miesiąc, ugniatać do woli, nadawać jednostajną spoistość... Ale kto panu ręczy, że w masie na pięćset ryz rzecz odbędzie się tak samo, i że pańskie sposoby okażą się skuteczne?...

Dawid, Ewa i Petit-Claud spojrzeli po sobie, wyrażając oczami wiele rzeczy.

– Weź pan przykład, który przedstawia niejaką analogię – rzekł Wielki Cointet po pauzie. – Zbierasz pan dwie wiązki siana z łąki i trzymasz je dobrze, mocno związane w pokoju, nie pozwoliwszy sianu się zagrzać, jak mówią chłopci; fermentacja nastąpi, ale nie spowoduje wypadku. Oprze się pan na tym, aby ścisnąć dwa tysiące wiązek w drewnianym spichrzu?... Wiesz dobrze, że siano zajęłoby się i spichrz spłonąłby jak zapalka. Jest pan człowiekiem uczonym – rzekł Cointet – sam wyciągnij wnioski... W tej chwili skosił pan dwie wiązki siana, my zaś lękamy się zapuścić ogień w papierni, gromadząc ich dwa tysiące. Mówiąc inaczej, możemy stracić mnóstwo czasu i materiału na próby, ponieść straty i znaleźć się z próżnymi rękami, wyrzuciwszy wiele pieniędzy.

Dawid był zmiądzony. Praktyka przemawiała swym pozytywnym językiem do teorii, której słowo należy zawsze do przeszłości.

– Do diaska, jeśli ja podpiszę podobną spółkę! – wykrzyknął brutalnie Gruby Cointet. – Trać swoje pieniądze, jeśli chcesz, Bonifacy; ja tam ani myślę! Ofiaruję się zapłacić długi pana Séchard i dodać sześć tysięcy... I to jeszcze trzy tysiące w akceptach – rzekł poprawiając się – na dwanaście i piętnaście miesięcy... I tak już dosyć ryzyka. Trzeba nam będzie przejąć dwanaście tysięcy na konto Métiviera. To razem piętnaście tysięcy franków!... Ale tę sumę zapłaciłbym po prostu za sekret, aby go eksploatować zupełnie na własną rękę. Ech, więc to jest ten nadzwyczajny interes, o którym mi mówiłeś, Bonifacy?... Ślicznie dziękuję, miałem cię za mądrzejszego. Nie, z takimi interesami lepiej do mnie nie przychodź...

– Kwestia, dla panów – rzekł Petit-Claud nie przerażając się tym wybuchem – sprowadza się do tego: czy chcecie ryzykować dwadzieścia tysięcy franków, aby nabyć sekret, który mo-

że was wzbogacić? Ależ, panowie, ryzyko jest zawsze w stosunku do korzyści... Jest to stawka dwudziestu tysięcy franków za szansę całej fortuny. Gracz stawia w rulecie ludwika, aby zdobyć trzydzieści sześć, ale wie, że jego ludwik idzie na stracenie. Uczynicie tak samo.

– Trzeba się zastanowić – rzekł Gruby Cointet – ja nie jestem taka głowa jak mój brat. Jestem sobie skromny, poczciwy człowiek, który umie tylko jedno: drukować po dwadzieścia su „Parafianina” i sprzedawać go po czterdzieści. Wynalazek, który dopiero jest w fazie doświadczeń, przedstawia mi się jako źródło ruiny. Uda się pierwsza próba, nie uda druga, próbuje się dalej, człowiek się wciąga, a kiedy raz włoży bodaj palec w tryby, wnet porwą go całego...

Opowiedział historię przemysłowca z Bordeaux, który się zrujnował tym, iż chciał gospodarować na landach zaufawszy uczonemu; znalazł sześć podobnych przykładów w okolicy, w przemyśle i rolnictwie; uniósł się, nie chciał niczego słuchać, przedstawienia Petit–Clauda wzmagaly jego irytację, zamiast ją uspokoić.

– Wolę raczej kupić za wyższą sumę coś pewniejszego niż to odkrycie, choćby zadowalając się małym zyskiem – rzekł patrząc na brata. – Wedle mnie, rzecz bynajmniej nie jest dojrzała do interesu – wykrzyknął na zakończenie.

– Ostatecznie, przyszlście tu panowie w jakimś celu? – rzekł Petit–Claud. – Cóż ofiarujecie?

– Uwolnić pana Séchard i zapewnić mu, w razie powodzenia, trzydzieści procent w zyskach – odparł żywo Gruby Cointet.

– Ależ, panie – rzekła Ewa – z czegoż będziemy żyli przez cały czas doświadczeń? Mąż poniósł już wstyd aresztowania, może wrócić do więzienia, nie przybędzie mu przez to ani nie ubędzie, a jakoś wreszcie spłacimy nasze długi.

Petit–Claud położył palec na ustach, spoglądając na Ewę.

– Nie jesteście panowie rozsądni – rzekł do braci. – Widzieliście papier; stary Séchard powiedział wam, że syn jego, zamknięty przezeń, wytworzył w ciągu jednej nocy, za pomocą materiałów niewątpliwie niekosztownych, doskonały papier... Jesteście tu, aby dojść do porozumienia. Chcecie nabyć, czy nie chcecie?

– Ot – rzekł Wielki Cointet – czy brat chce, czy nie chce, ja ryzykuję na własną rękę spłatę długów pana Séchard, daję sześć tysięcy franków gotówką i pan Séchard będzie miał trzydzieści od sta w zyskach; ale słuchajcie dobrze: jeżeli w ciągu roku nie urzeczywistni warunków, jakie sam postawi w akcie, odda nam sześć tysięcy, prawo zaś wynalazku zostanie przy nas, będziemy sobie radzili, jak się nam uda.

– Czy jesteś pewny siebie? – rzekł Petit–Claud biorąc Dawida na stronę.

– Tak – rzekł Dawid, który złapał się na taktykę dwóch braci i drżał, aby Gruby Cointet nie zerwał konferencji, od której zależała jego przyszłość.

– Dobrze więc, zatem ułożę akt – rzekł Petit–Claud do Cointetów i do Ewy – każda ze stron otrzyma kopię dziś wieczór; rozmyślicie to sobie przez jutrzejsze rano, następnie jutro po południu, o czwartej, po rozprawie, podpiszecie. Panowie umorzycie pretensje Métiviera. Ja wystosuję pismo do sądu, aby wstrzymano proces, i podpiszemy wzajem akty zrzeczenia.

Oto jak brzmiały w akcie zobowiązania Sécharda:

Między podpisanymi, etc.

Na podstawie twierdzenia pana Dawida Séchard–syna, drukarza w Angoulême, iż znalazł sposób jednostajnego gumowania papieru w kadzi, jak również sposób obniżenia ceny fabrykacji wszelkiego papieru o więcej niż pięćdziesiąt od sta przez wprowadzenie do miazgi materii roślinnych, bądź to mieszając je do szmat używanych obecnie, bądź też bez domieszki szmat, zawiera się, dla eksploatacji patentu, który ma być uzyskany na te metody, spółka między panem Dawidem Séchard–synem a pp. braćmi Cointet o następujących punktach i klauzulach.

Jeden z paragrafów aktu odzierał zupełnie Dawida Séchard z jego praw, w razie gdyby nie dopełnił przyrzeczeń wyrażonych w tym piśmie, starannie ułożonym przez Wielkiego Cointeta, a przyjętym przez Dawida.

Przynosząc ten akt nazajutrz o wpół do ósmej rano, Petit-Claud oznajmił Dawidowi i jego żonie, że Cérizet ofiaruje dwadzieścia dwa tysiące gotówką za drukarnię. Akt sprzedaży można podpisać jeszcze wieczorem.

– Ale – rzekł – gdyby Cointetowie dowiedzieli się o tej sprzedaży, gotowi by nie podpisać naszego aktu, dręczyć nas, wystawić na licytację...

– Czy pan jest pewien płatności? – rzekła Ewa, zdziwiona, iż dochodzi do skutku transakcja, o której zwątpiła i która trzy miesiące wcześniej byłaby ocaliła wszystko.

– Mam pieniądze u siebie – odparł wręcz.

– Ależ to czary – rzekł Dawid pytając Petit-Clauda o wytłumaczenie tego szczęścia.

– Nie, to bardzo proste: kupcy z Houmeau chcą założyć dziennik – odparł Petit-Claud.

– Ależ ja zrzekłem się prawa do tego – wykrzyknął Dawid.

– Ty... ale nie twój następca... Zresztą – dodał – nie troszcz się o nic, sprzedaj, zgarnij należność i zostaw to Cérizetowi; da sobie radę.

– Och, tak! – rzekła Ewa.

– Jeżeli pan zrzekł się prawa wydawania dziennika w Angoulême – dodał Petit-Claud – kapitaliści stojący za Cérizetem przeniosą go do Houmeau.

Ewa, olśniona perspektywą posiadania trzydziestu tysięcy franków, wydobycia się z kłopotów, patrzyła już na akt spółki jako na rzecz podrzędną. Tak więc Dawid i Ewa ustąpili co do punktu, który dał pozór do ostatniej dyskusji. Wielki Cointet żądał, aby patent był na jego nazwisko. Udało mu się wytłumaczyć, że z chwilą gdy prawa i korzyści Dawida będą w akcie zupełnie jasno określone, obojętne jest, na czyje imię będzie wystawiony sam patent. Wreszcie brat jego dodał:

– On daje pieniądze na patent, on wyklada na koszty podróży (znowuż dwa tysiące franków!), niechże go weźmie na swoje imię albo dajmy wszystkiemu spokój.

Drapieżca triumfował na wszystkich punktach. Akt spółki podpisano około wpół do piątej. Wielki Cointet ofiarował dwornie pani Séchard sześć tuzinów srebrnych nakryć i piękny szal, aby zechciała zapomnieć o żywej dyskusji, jak mówił. Ledwie wymieniono odpisy, ledwie Cachan zdążył oddać Petit-Claudowi akta procesu jak również trzy straszliwe weksle Lucjana, zabrzmiał na schodach głos Kolba, następujący tuż po ogłuszającym hałasie wózka pocztowego, który zatrzymał się przed bramą.

– Bani, bani, biednaździe dyziędzy wrangóf – krzyczał – bieżłane z Boadiers, w brafcifym biniącu, ot bana Ludzjana!

– Piętnaście tysięcy franków! – wykrzyknęła Ewa podnosząc rękę.

– Tak, pani – rzekł urzędnik wchodząc do pokoju – piętnaście tysięcy franków przywiezionych przez dylizans idący do Bordeaux, konie miały co ciągnąć, tak! Mam na dole dwóch ludzi, którzy wnoszą worki. Nadawcą jest pan Lucjan Chardon de Rubempré... Mam prócz tego dla pani mały skórzany woreczek, w którym znajduje się pięćset franków w złocie i prawdopodobnie list.

Ewie zdawało się, że śni, gdy czytała następujący list:

Droga siostrzo, oto piętnaście tysięcy franków.

Zamiast się zabić – sprzedałem swoje życie. Nie należę już do siebie: jestem więcej niż sekretarzem hiszpańskiego dyplomaty, jestem jego rzeczą. Rozpocznam na nowo straszliwą egzystencję. Może lepiej byłoby się utopić.

Bywajcie zdrowi! Dawid będzie wolny, za cztery tysiące franków będzie mógł z pewnością kupić małą papiernię i dojść do fortuny.

Nie myślcie już, proszę Was, o Waszym biednym bracie – Lucjanie.

– Powiedziane jest – wykrzyknęła pani Chardon, która weszła, na widok wnoszonych worków – że mój biedny syn, jak sam pisał, będzie wam zawsze przynosił nieszczęście, nawet czyniąc dobrze.

– Aleśmy uniknęli ładnego niebezpieczeństwa! – wykrzyknął Cointet znalazłszy się na placu. – W godzinę później błyski tego złota byłyby oświeciły akt i Dawidek byłby się wystraszyl. Za trzy miesiące, jak nam przyrzekł, będziemy wiedzieli, czego się trzymać.

Wieczorem o siódmej Cérizet kupił drukarnię i zapłacił ją, przejmując ciężar czynszu za ostatni kwartał. Nazajutrz Ewa wręczyła czterdzieści tysięcy franków generalnemu poborcy, aby kupił na imię Dawida dwa tysiące pięćset franków renty państwowej. Następnie napisała do teścia, aby jej znalazł w Marsac małą posiadłość wartości dziesięciu tysięcy franków, gdzie by mogła umieścić swą osobistą fortunę.

Plan Wielkiego Cointeta był straszliwie prosty. Na pierwszy rzut oka gumowanie w kadzi zdało mu się niepodobieństwem. Dodatek mało kosztownych materii roślinnych do miazgi ze szmat wydał mu się jedyną prawdziwą drogą do fortuny. Postanowił sobie tedy traktować jako bagatelę taniość masy, przykładać zaś ogromną wagę do gumowania w kadzi. Oto czemu. Fabryki angulemskie produkowały wówczas prawie wyłącznie gatunki papierów do pisania, zwanych: Ecu, Poulet, Ecolier, Coquille, które z konieczności są gumowane. Była to przez długi czas chwała miejscowego piapiernictwa. Zatem specjalność ta, zmonopolizowana od wielu lat przez wytwórców angulemskich, usprawiedliwiała na pozór wymagania Cointeta; papier gumowany, jak się okaże, nie wchodził w zupełności w jego spekulację. Produkcja papieru do pisania jest niezmiernie ograniczona, gdy wytwarzanie papieru drukarskiego niegumowanego jest niemal bez granic. W czasie podróży, jaką podjął do Paryża, aby wziąć patent na swoje imię, Cointet zakrzętnął się koło spraw, które mogły rozstrzygnąć o wielkich zmianach w sposobie fabrykacji. Zajechawszy do Métiviera, Cointet dał mu instrukcje, aby w ciągu roku wydrzeć dostawę dla dzienników piapiernikom, którzy mieli ją dotąd, zniżając ceny za ryżę do normy, do której żadna fabryka nie mogła się posunąć, i przyrzekając każdemu dziennikowi białość i inne przymioty wyższe od najpiękniejszych rodzajów używanych dotąd. Ponieważ umowy dzienników mają swoje terminy, trzeba było dość długich sekretnych konszachtów z wydawcami, aby dojść do zrealizowania tego monopolu; ale Cointet obliczył, iż będzie miał czas pozbyć się Sécharda, gdy Métivier będzie przeprowadzał układy z głównymi dziennikami paryskimi, których zapotrzebowanie dochodziło wówczas dwustu ryz dziennie. Cointet zainteresował oczywiście Métiviera w odpowiedniej proporcji w tych dostawach, aby mieć zręcznego reprezentanta na rynku paryskim i nie tracić czasu na podróże. Fortuna Métiviera, jedna z najznacniejszych w piapiernictwie, datuje się od tego interesu. Przez dziesięć lat miał on, bez obawy konkurencji, dostawę dzienników w Paryżu. Spokojny co do przyszłego zbytu. Wielki Cointet wrócił do Angoulême dość wcześnie, aby być obecnym na ślubie Petit-Clauda, który sprzedał kancelarię i czekał nominacji swego następcy, aby zająć miejsce pana Milaud, przyręczone protegowanemu hrabiny du Châtelet. Drugi prokurator w Angoulême został pierwszym w Limoges, minister zaś obsadził jednym ze swych beniaminków trybunał w Angoulême, gdzie miejsce pierwszego podprokuratora wakowało przez dwa miesiące. Ten przeciąg czasu był miodowym miesiącem Petit-Clauda. W nieobecności Wielkiego Cointeta Dawid dokonał zrazu wytworu pierwszej partii bez gumy, która dała papier gazetowy o wiele wyższy niż ten, którego dzienniki używały dotąd. Następna próba dała wspaniały papier welinowy, przeznaczony na ozdobne druki; drukarnia Cointetów posłużyła się nim na wydanie „Parafianina”. Materiał przygotował w sekrecie sam Dawid, nie chciał bowiem mieć przy sobie nikogo prócz Kolba i Maryny.

Za powrotem Wielkiego Cointeta wszystko zmieniło postać: obejrzał próbki uzyskanego papieru i wydał się bardzo średnio zadowolony.

– Mój drogi przyjacielu – rzekł do Dawida – przemysł Angoulême to gładki cienki papier, tzw. Coquille. Chodzi przede wszystkim o to, aby uzyskać możliwie piękny papier Coquille o pięćdziesiąt procent tańszy od dzisiejszego.

Dawid próbował wytworzyć partię miazgi gumowanej na papier Coquille i uzyskał papier szorstki jak szczotka, w którym klej zbijał się w grudki. W dniu, w którym doświadczenie było ukończone i Dawid dostał do rąk pierwszy arkusz, schronił się w kącie, aby w samotności przełknąć swą zgryzotę, ale Wielki Cointet odnalazł go, rozwinął nadzwyczajną uprzejmość, pocieszał współnika.

– Nie zrażaj się pan – rzekł Cointet – tylko śmiało naprzód! Ja jestem dobry chłop, ja rozumiem pana i gotów jestem wytrwać do końca!...

– Doprawdy – rzekł Dawid do żony, wróciwszy do domu na obiad – mamy do czynienia z zacnymi ludźmi; nigdy nie byłbym posądził Wielkiego Cointeta o tyle szlachetności!

I opowiedział rozmowę z przewrotnym współnikiem.

Trzy miesiące upłynęły na doświadczeniach. Dawid sypiał w pielni, śledził rezultaty rozmaitych kombinacji. To przypisywał niepowodzenie mieszanemu szmat z roślinnym materiałem i sporządzał partię złożoną wyłącznie z własnych ingrediencji, to próbował gumować miazgę uzyskaną wyłącznie ze szmat i, ścigając swe dzieło z cudowną wytrzymałością, pod oczyma Wielkiego Cointeta, przed którym biedny człowiek przestał się mieć na baczości, doszedł, nie mieszając teraz różnorodnych surowców, do tego, iż wyczerpał serię swoich ingrediencji kombinowanych z rozmaitymi rodzajami klejów. Przez pierwszą połowę roku 1823 Dawid żył w pielni z Kolbem, jeśli nazywa się życiem zaniedbywać wszelką troskę o swoje pożywienie, strój i osobę. Bił się tak rozpaczliwie z trudnościami, iż dla innych niż Cointetowie byłoby to zaiste szczytne widowisko, żadna bowiem myśl o zysku nie zaprzętała tego śmiałego szermierza. Była chwila, w której nie pragnął nic prócz samego zwycięstwa. Z cudowną bystrością śledził tak kapryśne wyniki substancji przemienionych ręką człowieka w przetwory odpowiednie jego potrzebom, gdzie natura jest, do pewnego stopnia, pokonana w swoich tajemnych wzdraganiach, i wyprowadzał stąd piękne prawa przemysłu, stwierdzając, iż nie można osiągnąć tego rodzaju kreacji inaczej, niż będąc posłusznym wewnętrznym stosunkom rzeczy, temu, co nazywał drugą naturą substancji. Wreszcie, w sierpniu, zdołał uzyskać papier gumowany w kadzi, zupełnie podobny temu, jaki przemysł wytwarza w tej chwili i którego używa się jako papieru korektowego w drukarniach, ale którego gatunki nie są bynajmniej jednakowe, którego gładkość nawet nie zawsze jest pewna. Rezultat ten, tak piękny w r. 1823 w stosunku do stanu pielnictwa, kosztował dziesięć tysięcy franków. Dawid spodziewał się rozwiązać ostatecznie trudności problemu. Ale wówczas rozeszły się po Angoulême i Houmeau osobliwe pogłoski: Dawid Séchard rujnuje braci Cointet! Pochłonawszy trzydzieści tysięcy franków na doświadczenia, otrzymał wreszcie, powiadano, bardzo lichy papier. Inni fabrykanci, przerażeni, trzymali się swoich dawnych procedurów; zazdrośni o Cointetów, rozszerzali pogłoski o bliskim upadku tej ambitnej firmy. Wielki Cointet tymczasem sprowadził maszyny do wyrabiania papieru ciągłego, podtrzymując opinię, że są to maszyny potrzebne do doświadczeń Dawida. Chytry jezuita mieszał do swej miazgi ingrediencje wskazane przez Sécharda, wciąż zachęcając jego samego, aby się zajmował tylko papierem gumowanym w kadzi, sam zaś wysyłał do Métiviera tysiące ryz papieru gazetowego.

We wrześniu Wielki Cointet wziął Dawida na stronę; usłyszawszy, iż wynalazca gotuje jeszcze jedno, triumfalne doświadczenie, odradził mu dalszego prowadzenia walki.

– Drogi Dawidzie, jedź do Marsac odwiedzić żonę a odpocząć po trudach; my nie chcemy się zrujnować – rzekł przyjacielsko. – To, co ty uważasz za wielki triumf, jest ledwie punktem wyjścia. Poczekamy teraz, nim się puścimy na nowe doświadczenia. Bądź sprawiedliwy! Oto rezultaty. Jesteśmy nie tylko pielnikami, ale drukarzami, finansistami; otóż ludzie szepczą sobie, że ty nas rujnujesz...

Dawid uczynił gest cudownej naiwności, aby zaręczyć za swą dobrą wiarę.

– To nie te pięćdziesiąt tysięcy wrzucone do Charenty zrujnują nas – rzekł Wielki Cointet odpowiadając na ruch Dawida – ale nie chcemy być zmuszeni, z przyczyny oszczerstw, jakie obiegają na nasz rachunek, płacić wszystkiego gotówką; bylibyśmy zmuszeni zahamować obroty. Oto stan rzeczy przewidziany w naszej umowie, trzeba się zastanowić jednej i drugiej stronie.

„Ma słuszność!” – pomyślał Dawid, który, pogrążony w doświadczeniach na wielką skalę, nie zwrócił uwagi na ruch w fabryce.

I wrócił do Marsac, gdzie od pół roku odwiedzał Ewę co sobotę wieczór i żegnał ją we wtorek rano. Za radą teścia Ewa kupiła tuż koło jego winnicy dworek zwany la Verberie z trzema morgami ogrodu i kawałkiem winnicy wcinającym się w winnicę starego. Żyła z matką i Maryną bardzo skromnie, miała bowiem do spłacenia jeszcze pięć tysięcy z ceny kupna tej ślicznej posiadłości, najładniejszej w Marsac. Domek, z dziedzińcem i ogrodem, był z białego wapiennego kamienia, kryty łupkiem i ozdobiony rzeźbami, na które, przy tym łatwym do obrabiania kamieniu, można sobie pozwolić małym kosztem. Ładne mebelki sprowadzone z Angoulême zdawały się jeszcze ładniejsze na wsi, w okolicy, gdzie nikt nie znał wówczas zbytku. Przed fasadą, od ogrodu, znajdował się szereg drzew granatu, pomarańcz i rzadkich roślin, które poprzedni właściciel, stary generał, zmarły jako pacjent doktora Marron, wyhodował własną ręką. Pod te pomarańcze, w chwili gdy Dawid zabawiał się z żoną i małym Lucusiem, w obecności ojca, komornik z Mansle przyniósł osobiście pozew braci Cointet, wzywający współnika do ustanowienia polubownego sądu, przed który, wedle aktu spółki, miało się wytaczać obopólne pretensje. Bracia Cointet żądali zwrotu sześciu tysięcy franków i własności patentu, równie jak zrzeczenia się dalszych pretensji do eksploatacji, wszystko tytułem odszkodowania za olbrzymie wydatki poniesione bez rezultatu.

– Powiadają, że ich rujnujesz? – rzekł winiarz do syna. – Przyznam ci się, że ze wszystkiego, zrobiłeś, to jedyna rzecz, która mnie cieszy.

Nazajutrz Ewa i Dawid znaleźli się o dziewiątej rano w gabinecie Petit–Clauda, który z urzędu stał się obrońcą wdów, opiekunem sierot i którego rady wydały im się jedynie godne zaufania.

Dygnitarz przyjął nader serdecznie dawnych klientów i nalegał koniecznie, aby państwo Séchard zechcieli spożyć w jego domu śniadanie.

– Cointetowie żądają od was sześciu tysięcy franków! – rzekł z uśmiechem. – Ile macie jeszcze ciężaru na waszym domku?

– Pięć tysięcy, proszę pana, ale mam na to już dwa tysiące... – odparła Ewa.

– Zachowaj pani swoje dwa tysiące – odparł Petit–Claud. – Hm, pięć tysięcy!... Trzeba by wam jeszcze dziesięć tysięcy franków, aby się dobrze zagospodarować. Otóż za dwie godziny Cointetowie przyniosą wam piętnaście tysięcy.

Ewa uczyniła gest zdziwienia.

– W zamian za zrzeczenie się wszystkich przywilejów spółki, którą rozwiążecie polubownie – rzekł urzędnik. – Czy wam to dogadza?

– I to będzie zupełnie prawnie nasze? – rzekła Ewa.

– Najzupełniej – odparł urzędnik uśmiechając się. – Cointetowie narobili wam dosyć utrapień, chcę położyć koniec ich pretensjom. Słuchajcie, dziś jestem prokuratorem, winien wam jestem prawdę. Otóż Cointetowie wyzyskują was w tej chwili, ale jesteście w ich rękach. Moglibyście wygrać proces, jaki wam wytoczą, podejmując walkę. Chcecie po dziesięciu latach jeszcze grzęznąć w tym procesie? Będą wzywać coraz nowych ekspertów i arbitrów, będziecie zdani na los najsprzeczniejszych orzeczeń... A – dodał z uśmiechem – nie widzę adwokata, który by was mógł bronić tutaj... Mój następca to człowiek bez zdolności. Ot, moim zdaniem, zła ugoda jest jeszcze lepsza niż dobry proces.

– Wszelka ugoda, która zapewni nam spokój, będzie dobra – rzekł Dawid.

– Pawle – krzyknął Petit–Claud na służącego – idź poprosić pana Ségaud, mego następ-

cę!... Podczas kiedy będziemy jedli śniadanie, on pójdzie do Cointetów – rzekł eksadwokat do swoich byłych klientów – za kilka godzin wrócić do Marsac, zrujnowani, ale spokojni. Za tych dziesięć tysięcy franków kupicie sobie jeszcze pięćset franków renty i w swojej ładnej posesyjce będziecie żyli szczęśliwie.

Po upływie dwóch godzin, jak to Petit–Claud przepowiedział, pan Ségaud wrócił z aktami formalnie podpisanymi przez Cointetów oraz piętnastoma banknotami po tysiąc franków.

– Winni ci jesteśmy dużo! – rzekł Séchard do Petit–Clauda.

– Ależ ja was zrujnowałem – odparł Petit–Claud zdumionym eksklientom. – Zrujnowałem was, powtarzam, przekonacie się z czasem; ale ja was znam, wolicie ruinę niż majątek, który może przyszedłby za późno.

– Nie jesteśmy chciwi; dziękujemy panu, żeś nam dał środki do szczęścia – rzekła pani Ewa – może pan zawsze liczyć na naszą wdzięczność.

– Mój Boże, nie błogosławcież mnie... – rzekł Petit–Claud – przyprowadzicie mnie o wyrzuty sumienia; ale sądzę, że wszystko jest dziś naprawione. Jeśli zostałem dygnitarzem, to dzięki wam, i jeśli kto powinien być wdzięczny, to ja... Bywajcie!

Z czasem Alzacyjny zmienił opinię co do starego Sécharda, który ze swej strony zaprzyjaźnił się z Alzacyjkiem, znajdując go, jak sam był, zgoła nieświadomym sztuki czytania i pisania i łatwym do zalania pałki. Eksniedźwiedz uczył ekskasjera chodzić koło wina i sprzedawać je; wychowywał go w myśli zostawienia człowieka z głową swoim dzieciom, w ostatnich dniach bowiem trapiły go wielkie i dziecinne obawy o los mienia. Zwierzał się młynarzowi Courtois.

– Zobaczysz – mówił – jak wszystko pójdzie w rękach moich dzieci, z chwilą, gdy ja znajdę się w ziemi. Och! Boże, przyszłość ich przyprawia mnie o drzenie.

W r. 1829, w marcu, stary Séchard umarł zostawiając około dwustu tysięcy franków w gruntach, które, złączone z la Verberie, stworzyły wspaniałą posiadłość, doskonale prowadzoną od dwóch lat przez Kolba.

Prócz tego Dawid i jego żona znaleźli u ojca blisko sto tysięcy talarów w złocie. Głos publiczny, jak zawsze, powiększył skarb ojca Séchard tak, iż w całym departamencie oceniano go na milion. Ewa i Dawid uzyskali koło trzydziestu tysięcy franków renty, łącząc do sukcesji swój mająteczek; zaczęli bowiem nieco z umieszczeniem kapitałów i mogli je ulokować w rencie po rewolucji lipcowej. Wówczas dopiero departament Charenty i Dawid Séchard dowiedzieli się, czego się trzymać co do fortuny Wielkiego Cointet. Wielokrotny milioner, wybrany posłem, Wielki Cointet jest parem Francji i będzie, jak powiadają, w najbliższej kombinacji ministrem handlu. W r. 1842 zaślubił córkę jednego z najwplywowszych mężów stanu, pannę Popinot, córkę Anzelma Popinot, posła miasta Paryża, mera jednego z okręgów.

Odkrycie Dawida wsiąkło w przemysł francuski jak pokarm w wielkie ciało. Dzięki wprowadzeniu materiałów innych niż szmaty, Francja może fabrykować papier tańszy niż którykolwiek kraj w Europie. Ale papier holenderski, wedle przewidywań Sécharda, przestał istnieć. Wcześniej lub później trzeba będzie wznieść królewską fabrykę papieru, jak stworzono Gobeliny, Sèvres, La Savonnerie i Drukarnię Królewską, które dotychczas przetrwały ciosy, jakie im zadali mieszczańscy wandale.

Dawid Séchard, ubóstwiany przez żonę, jest ojcem dwóch synów i córki. Ma ten dobry smak, aby nigdy nie mówić o swych usiłowaniach; Ewa zaś miała ten rozsądek, iż odciągnęła go od straszliwego powołania wynalazców, tych Mojżeszów pożeranych przez krzak Horebu. Dawid uprawia dla rozrywki literaturę, ale w istocie pędzi szczęśliwy i pełen wywczasów żywot właścicieli ziemskich. Pożegnawszy się niepowrotnie ze sławą, przeniósł się rezolutnie w krainę marzycieli i kolekcjonerów i poświęca się entomologii, bada tak tajemnicze do dziś dnia przeobrażenia owadów, znanych nauce jedynie w swej ostatniej postaci.

Wszyscy słyszeli o sukcesach Petit–Clauda jako generalnego prokuratora; jest rywalem słynnego Vineta z Provins, ambicją zaś jego jest zostać prezydentem sądu apelacyjnego w Poitiers.

Cérizet, często skazywany za przestępstwa polityczne, odegrał rolę dość głośną. Najśmielszy ze straceńców partii liberalnej, zyskał sobie przydomek Odważnego Cérizeta. Zmuszony przez następcę Petit–Clauda do sprzedaży drukarni, szukał na prowincjonalnej scenie nowej egzystencji, którą aktorski jego talent mógł uczynić świetną. Znajomość z młodą aktoreczką stała się musowym powodem wyprawy do Paryża celem szukania u nauki środków przeciw cierpieniom miłości, podczas którego to pobytu próbował spieniężyć w tym mieście fawory partii liberalnej.

Co się tyczy Lucjana, powrót jego do Paryża należy do innej opowieści²⁵.

1835–1843

²⁵ Dalsze koleje i koniec Lucjana znajdzie Czytelnik w powieści „Blaski i nędze życia kurtyzany”, „Jak kochają ladacznice”, „Po czemu miłość wypada starcom”. (Przyp. tłum.)

* * *

Honoriusz Balzac (1799–1850) postanawiając w r. 1832 skomponować z wszystkich swoich powieści i opowiadań – już napisanych lub dopiero planowanych – olbrzymi fresk historii i obyczajów współczesnego mu francuskiego społeczeństwa nazwał tę całość „Komedią ludzką”. Tytuł nasycony ironią nawiązuje do arcydzieła Dantego, lecz Balzac ściągnął wszystkie kregi Dantejskich niebios i piekieł na ziemię, na bardzo konkretny grunt i w ściśle określone warunki swojej epoki. Zaludnił scenę tej „Komedii ludzkiej” paru tysiącami postaci z wszystkich prowincji Francji i z jej stolicy, z wszystkich środowisk i warstw społecznych. Postacie te ukazują się w różnych tomach w różnych momentach swego życia, każda ma własną biografię, własną rolę w różnych scenach „komedii”, a wszystkie tchną taką pełnią życia, że zarówno w wyobraźni autora, jak czytelników stały się bardziej rzeczywiste od zwykłych otaczających nas śmiertelników.

Jak stwierdził znakomity polski balzakista Tadeusz Żelenski–Boy, naprawdę ocenić wielkość dzieła Balzaka można dopiero rozpatrując je w całości. Lecz ta całość to według katalogu zestawionego przez autora w 1845 r. sto trzydzieści siedem tytułów, z których Balzac zdążył napisać dziewięćdziesiąt sześć, nim przedwczesna śmierć wytrąciła mu pióro z pracowitej ręki. Są w tym pozycje słabsze i arcydzieła, epizody luźno związane z całością i ogniwa zasadnicze, skupiające główne wątki i odzwierciedlające myśl przewodnią. Takie zasadnicze ogniwo stanowią trzy powieści: „Dwaj poeci”, „Wielki człowiek z prowincji w Paryżu” i „Cierpienia wynalazcy” – w większości wydań dzieł Balzaka objęte wspólnym tytułem: „Stracone złudzenia”.

Zmęczony życiem paryskim, Balzac często wyjeżdżał na prowincję, do przyjaciół, u których odpoczywał albo pracował. Mimo zawodów doznawanych w stolicy nie były to jednak wyprawy tragiczne, eskapady człowieka zrozpaczonego, jak powrót Lucjana do Angoulême, w trzecim skrzydle tryptyku „Straconych złudzeń”.

„Cierpienia wynalazcy” mogłyby równie dobrze nosić tytuł „Wielki człowiek z Paryża na prowincji”. O ile jednak na początku, w „Dwóch poetach”, Lucjan mógł wydawać się tylko bohaterem komedii, dość na pozór niewinnej, teraz, po półtorarocznej niebytności, przypomina marionetkę z okrutnej tragifarsy. Falszywy entuzjazm współziomków witających Lucjana jako luminarza literatury i gwiazdę salonów stołecznych, wyzwala w nim do reszty wrodzone mu pozerstwo. Tu, w miasteczku, komplementowany i fetowany, poczuł się wreszcie kimś takim, jak de Marsay czy de Trailles, którzy tam, na arystokratycznych przyjęciach w

Faubourg Saint–Germain lekceważyli go lub nie dostrzegali w ogóle. W Angoulême dmie się, zadaje szyku, ślepy na pozastawiane nań pułapki. A tymczasem prowincjonalni intryganci, perfidią i jadem nie ustępujący paryskim, cierpliwie i skutecznie prowadzą do kompromitacji naiwnego kaboty. Straciwszy nawet szacunek swojego arcyuczciwego szwagra, na którego nie ze złej woli, ale przez głupotę ściągnął nieszczęście, Lucjan postanawia odebrać sobie życie. „...Zamyślił się nad wyborem środków: jako poeta chciał skończyć poetycznie”, pisze Balzac, nie nadając tym słowom odcienia ironii. Marionetka projektuje sobie efektowną śmierć. Ale samobójstwa nie popełnia, natykając się przypadkiem na kogoś, kto otaksowawszy błyskawicznie i należycie jej wartość handlową, wciąga ją do spółki, która ma przynosić obojętny profit. Lucjan, ambitny mięczak, stając się narzędziem Vautrina zamienia się w towar. Marks rozczytywał się w Balzaku – i wiedział dlaczego.

Ta powolna zamiana ludzi w artykuł handlowy stanowi jeden z głównych wątków „Komedii ludzkiej”, wątek udokumentowany z głęboką znajomością rzeczy. Na przykład problemy drukarstwa: Balzac sam przecież parł się tą sztuką, kłopoty Dawida Séchard były niegdyś jego własnymi. To samo dotyczy innych dziedzin – prawa administracyjnego, bankowości, medycyny. W „Komedii ludzkiej” finansiersi, lekarze, sędownicy są prawdziwymi finansistami, lekarzami, adwokatami. W oparciu o tę wiedzę Balzac mógł, jak mawiał, konkurować z urzędem stanu cywilnego, ożywiać materię duchem, przedstawiać rzeczywistość mechanizmów psychofizycznych, określać zachodzące w nich wieczne zmiany, odróżniać transformacje prawdziwe od pozornych. Ale gdyby z tym darem obserwacji nie współdziałała wyobraźnia, nie byłoby „Komedii ludzkiej” i Balzac przechwalałby się tylko zawiadamiając panią Hańską w jednym ze swoich listów, że pisze „Baśnie Tysiąca i Jednej Nocy świata zachodniego”. Napisał je, choć ich nie dokończył.

Baudelaire rozczytując się w Balzaku nazwał go, on pierwszy, wizjonerem. I wiedział dlaczego.